

**MARY BALOGH**

**OSTATNI WALC**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Och, Sam, chodź z nami - nalegała hrabina Thornhill. - Wiem, że to tylko krótki spacer nad jezioro, ale okolica jest wyjątkowo piękna, w dodatku kwitną narcyzy. No i człowiek lepiej się czuje w towarzystwie niż w samotności.

Samantha Newman najchętniej wybrałaby samotność, ale widząc zafrasowany wyraz jej twarzy, poczuła wyrzuty sumienia.

- Dzieci na pewno nie będą ci przeszkadzać, tylko musisz im stanowczo powiedzieć, żeby dały ci święty spokój - dodała hrabina.

Dzieciaków było w sumie czworo: dwoje hrabiny i dwie dziewczynki lady Boyle. Były najnormalniejsze na świecie, dobrze wychowane, choć rozhukane. Samantha bardzo je lubiła i zazwyczaj wcale nie wymagała, żeby dały jej święty spokój.

- Ależ Jenny, dzieci mi nie przeszkadzają - zapewniła kuzynkę. - Po prostu od czasu do czasu mam ochotę pobyć w samotności. Lubię chodzić na długie spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i trochę porozmyślać. Chyba się nie obrazisz?

- Nie - odrzekła hrabina. - Naturalnie że nie. Jesteś gościem, Sam, więc rób to, na co masz ochotę. Ale jakoś się zmieniasz. Dotąd raczej nie lubiłaś przebywać z dala od ludzi.

- Starzeję się... - powiedziała Samantha z uśmiechem.

- Też coś! - mruknęła pogardliwie kuzynka. - Masz dwadzieścia cztery lata, jesteś piękna jak zawsze i ciągniesz za sobą dłuższy ogon wielbicieli niż kiedykolwiek.

- A może... - włączyła się ostrożnie do konwersacji lady Boyle - Samantha tęskni za lordem Francisem.

Samantha parsknęła śmiechem.

- Tęsknię za Francisem? - powtórzyła. - Przecież siedział u Gabriela przez cały tydzień, odjechał dopiero dzisiaj rano. Owszem, w jego towarzystwie zawsze dobrze się bawię. On mi dogryza, że nie ma na mnie amatorów, a ja mu wytykam fircykowaty wygląd. Same widziałyście, wczoraj wieczorem przyszedł na obiad w jedwabnym lawendowym fraku. Na wsi, co za pomysł! Ale kiedy Francis nie ma w pobliżu, natychmiast o nim zapominam. I ośmielę się przypuścić, że on o mnie również.

- Przecież dwa razy ci się oświadczył, Sam - zauważyła hrabina.

- Źle by się dla niego skończyło, gdybym przyjęła któreś z tych oświadczeń - odparowała Samantha. - Biedak chyba by umarł od takiego wstrząsu.

Lady Boyle spojrzała na Samanthę, sama nieco wstrząśnięta, i przesłała hrabinie niepewny uśmiech.

- No, więc jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko temu, Jenny, i jeśli tobie, Rosalie, nie

sprawie tym przykrości, to wybiorę się dziś po południu na samotny spacer - powiedziała Samantha. - Ciocia Aggy odpoczywa. W taką cudowną wiosenną pogodę trzeba się żwawo poruszać, a nie spacerować zółwim krokiem.

- Mogłaś pojechać na przejażdżkę po majątku z Gabrielem i Albertem - zauważyła hrabina. - Nie mieliby nic przeciwko temu. No, ale ja znowu próbuję tobą dyrygować. Miłego popołudnia, Sam. Chodźmy, Rosalie, dzieci na pewno już łażą po ścianach z niecierpliwości.

Samantha została wreszcie sama. Miała wyrzuty sumienia, że wymówiła się od towarzystwa, które jej zaproponowano. Ale czuła też ulgę, że resztę popołudnia ma dla siebie. Zrzuciła granatowy spencerek na jaśniejszą niebieską suknię, związała pod brodą tasiemki czepka i wyruszyła na przechadzkę.

Nie mogłaby powiedzieć, że nie lubi Jenny, Rosalie albo ich dzieci. Przeciwnie. Z Jenny i jej ojcem, wicehrabią Nordal, mieszkała przez cztery lata, kiedy jako czternastoletnia dziewczynka została sierotą. Razem z Jenny miały wspólny debiut w towarzystwie. Kochały tego samego mężczyznę... Nie, o tym nie należało myśleć. Od czasu gdy Jenny sześć lat temu wyszła za mąż, Samantha często bywała w gościnie u niej i Gabriela w Chalcote. Równie często odwiedzała ich, gdy ściągali do Londynu w okresie balów i ożywienia życia towarzyskiego. Jenny była jej najlepszą przyjaciółką.

Trudno było też nie lubić Rosalie, od sześciu lat żony najlepszego przyjaciela Gabriela, sir Alberta Boyle'a. Była urocza, trochę nieśmiała i zawsze miła dla ludzi. Samantha dałaby głowę, że Rosalie za nic nie sprawiłaby nikomu przykrości.

Kłopot polegał na tym, że obie kobiety były szczęśliwymi żonami. Obie darzyły uczuciem męża, dzieci i dom. Samantha miała czasem ochotę krzyżeć, tym bardziej że Gabriel i Albert najwyraźniej odwzajemnili te uczucia.

Samantha przyjechała do Chalcote tuż przed Bożym Narodzeniem razem ze swą stałą towarzyszką, ciotką Agathą, innymi słowy lady Brill. Boyle'owie siedzieli tam już od miesiąca. Od tygodnia składał też wizytę sir Francis Kneller, jeszcze jeden przyjaciel Gabriela. Było cudownie: harmonia, radość i domowa atmosfera. Wyglądało na to, że wszystkim żyje się jak w bajce.

Tak. Samantha przyspieszyła kroku. Czasem naprawdę miała ochotę krzyżeć i krzyżeć bez końca.

Co gorsza, gryzły ją straszne wyrzuty sumienia, gdyż Jenny i Gabriel okazywali jej wprost niezwykłą życzliwość. Jenny była jej kuzynką, ale Gabriela nie łączyło z nią żadne pokrewieństwo. Mimo to okazywał jej tyle uprzejmości, a nawet sympatii, jakby i między nimi istniały więzy krwi. To, że chciało jej się krzyżeć na myśl o rodzinnym szczęściu Gabriela i Jenny, stanowiło akt potwornej niewdzięczności. Przecież ich szczęście nie budziło w niej zawiści. W gruncie rzeczy bardzo się cieszyła, że tak im się udało. Wszak ich małżeństwo zaczęło się jak najfatalniej. Miała

przeświadczenie, że po części z jej winy.

Nie, urazy w niej nie było. Tylko... Sama nie wiedziała co. Nie zazdrość i nie zawiść. Gabriel był wprawdzie przystojny, ale jakoś nigdy jej nie pociągał. Zresztą nie szukała dla siebie mężczyzny. Nie wierzyła w miłość. W każdym razie nie w to, że miłość stanie się jej udziałem. No, i nie zamierzała wyjść za mąż. Chciała pozostać wolna, niezależna. Zresztą już to niemal osiągnęła. Odkąd stała się pełnoletnia, wuj Gerald bardzo popuścił jej cugli. A w dniu dwudziestych piątych urodzin miała przejąć schedę po rodzicach, niewielką, lecz wystarczającą, by się urządzić. Nie mogła się tej chwili doczekać.

Życie spełniało jej oczekiwania. Nie czuła się samotna. Przez cały czas miała do towarzystwa ciotkę Aggy, zawsze mogła odwiedzić Jenny i Gabriela albo spotkać się z którąś z wielu przyjaciółek. Otaczała ją też niemała grupa dżentelmenów, którą Gabriel żartobliwie nazywał orszakiem. Stawiało to Samanthę w bardzo pochlebnym świetle, jeśli zważyć na jej zaawansowany wiek. Ona sama tłumaczyła jednak dużą liczbę adoratorów swoim powszechnie znanym postanowieniem, że pozostanie wolna. Dlatego właśnie panowie czuli się bezpiecznie flirtując, wzdychając do niej, a niekiedy nawet występując z oświadczeniami. Francis oświadczył jej się dwukrotnie, sir Robin Talbot raz, a Jeremy Nicholson tyle razy, że już straciła rachubę.

Życie spełniało więc jej oczekiwania. Mimo to... myśl jej uciekła. To chyba normalne, że człowiek nigdy nie jest całkiem szczęśliwy, nigdy nie osiąga pełnego zadowolenia. Samantha nie wiedziała, czego właściwie brakuje jej do szczęścia i czy naprawdę cegokolwiek jej brak. Trwała w nadziei, że po dwudziestych piątych urodzinach wszystko wreszcie ułoży się idealnie. Nie musiała już długo na to czekać.

Nie bardzo zdawała sobie sprawę z celu swojej wędrówki. Była tylko pewna, że idzie w przeciwną stronę niż nad jezioro. Znowu poczuła wyrzuty sumienia. Michael, syn Jenny, i Emily, córka Rosalie, dwoje pięciolatek, byli inteligentnymi i przyjemnymi dziećmi. Trzyletnia córka Rosalie zwana Jane bez przerwy dokazywała, natomiast dwuletnia Mary, córka Jenny, zachwycała wdziękiem. Rosalie była znowu w błogosławionym stanie i spodziewała się rozwiązania późną wiosną. Samantha pomyślała, że dla dobra Jenny może jednak powinna była iść nad jezioro.

Zorientowała się, gdzie jest, gdy ujrzała przed sobą rząd drzew. Zbliżała się do granicy między Chalcote i Highmoor. Były to dwa sąsiadujące ze sobą bardzo rozległe majątki. Highmoor należało do markiza Carew, ale Samantha nigdy go nie widziała. Rzadko przyjeżdżał do domu, teraz też go nie było.

Weszła między drzewa. W górze nie zauważyła jeszcze prawdziwych oznak wiosny, chociaż niebo miało piękny niebieski kolor, a w powietrzu wyraźnie czuło się ciepło.

Gałęzie wciąż były nagie. Wkrótce miały pojawić się na nich pąki, potem młode liście, by w końcu mógł powstać zielony baldachim. Za to między drzewami wyrastały przebiśniegi i

pierwiosnki. I biegł strumień, który stanowił granicę między posiadłościami. Samantha wiedziała o tym, mimo że nie była wcześniej w tym miejscu. Wolno doszła na sam brzeg i spojrzała w przejrzystą wodę, bulgotliwie skaczącą po kamieniach.

Trochę dalej w lewo dostrzegła bród z dużych płaskich kamieni. Namyslała się tylko chwilę, a potem skorzystała z tej przeprawy. Na drugim brzegu uśmiechnęła się, bo stwierdziła, że Highmoor wygląda zupełnie tak samo jak Chalcote i budzi w niej dokładnie takie same uczucia.

Jeszcze nie miała ochoty wracać. W domu ciotka Aggy zapewne już wyczęła i wstała, więc po powrocie trzeba by jej dotrzymać towarzystwa. Samantha naturalnie kochała ciotkę, ale... czasem po prostu lubiła samotność. Poza tym popołudnie było o wiele za ładne, żeby tracić choćby jego część wysiadując pod dachem. Samantha miała już dość zimy i zimna.

Poszła dalej między drzewami spodziewając się, że wkrótce wyjdzie na otwartą przestrzeń i zobaczy zabudowania. Przy odrobinie szczęścia miała szansę rzucić okiem na sam dwór, chociaż nie wiedziała, jaka odległość dzieli ją od niego. Nie wykluczała, że na tak rozległym terenie może to być nawet parę kilometrów. Ale Jenny opowiadała jej kiedyś o wspaniałości dworu w Highmoor, przypominającego stary klasztor, który kiedyś naprawdę tam się mieścił.

Gąszcz zieleni nie rzedł, ale teren nieustannie się wznosił, i to całkiem stromo. Samantha pięła się więc pod górę. Po drodze kilka razy przystanąła, opierając się o pień drzewa. Nie miała kondycji. Zdyszała się; słońce prażyło tak, jakby był lipiec, a nie początek marca.

W końcu jednak jej wysiłki zostały nagrodzone. Zalesiony stok biegł jeszcze wyżej, rysowała się na nim nawet całkiem wyraźna ścieżka, ale po jednej stronie teren raptownie opadał, na dole zaś ciągnęła się łąka. W oddali majaczyły zabudowania Highmoor Abbey. Samantha zaczęła się powoli przesuwać, aż w końcu stanęła tak, że miała prawie idealny widok w tamtą stronę, przeszkadzało jej tylko jedno drzewo. Mimo to nie mogła dokładnie zobaczyć dworu, a stromizna była zbyt duża, by zaryzykować zbiegnięcie.

Miała jednak doznanie czegoś wspaniałego, może nawet ekscytującego. Posiadłość wydawała się dziksza niż Chalcote, było w niej więcej magii.

- Tak, z tym drzewem trzeba coś zrobić - odezwał się głos za jej plecami. Samantha podskoczyła spłoszona. - Właśnie to samo przyszło mi do głowy.

Mężczyzna stał przy drzewie, oparty o nie plecami i podeszwą wysokiego buta. Samantha doznała natychmiastowej ulgi. Spodziewała się bowiem ujrzeć wyniosłego i zgorzonego jej występkiem markiza Carew, chociaż nigdy wcześniej go nie widziała. Gdyby właściciel przyłapał ją na swoim terenie, zagapioną na jego rodową siedzibę, przeżyłaby nieznośne upokorzenie. I bez tego jednak sytuacja była przykra.

Pierwszy domysł, że to ogrodnik, odsunęła od siebie, zanim jeszcze zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować na niespodziewane słowa. Sądząc po akcencie, mężczyzna był człowiekiem

wykształconym, mimo iż ubrany był bardzo niedbale. Jego brązowy surdut przyparłby Westona z Old Bond Street o tydzień nieustannych drgawek, spodnie do konnej jazdy sprawiały takie wrażenie, jakby włożył je wyłącznie dla wygody, nie dbając o rozmiar, a wysokie buty pamiętały nie tylko lepsze dni, lecz z pewnością również lepsze lata.

Miał wygląd bardzo przeciętnego dżentelmena. Nie był ani wysoki, ani niski, ani umięśniony jak Herkules, ani szczególnie wąły, ani przystojny, ani odpychający. Kapelusza nie nosił, włosy miał w trudnym do nazwania odcieniu brązu. Oczy wydawały się szare.

Samantha z zadowoleniem stwierdziła, że dżentelmen nie wygląda groźnie. Widocznie był to tylko rządcą markiza albo nawet pomocnik rządcy.

- Ja... ja bardzo przepraszam - wyjąkała. - Zdaje się, że, no... znalazłam się na cudzym terenie.

- No, nie będę sprowadzał tu konstabli, żeby panią aresztowali i doprowadzili do sędziego - odparł. - Przynajmniej nie tym razem. - Oczy mu się śmiały. Samantha uznała, że są ładne, zdecydowanie zwracały uwagę w tej pod innymi względami zupełnie przeciętnej twarzy.

- Przyjechałam w gościnę do Chalcote - powiedziała, wskazując ręką w dół. - Do mojej kuzynki, hrabiny Thornhill. I jej męża, hrabiego Thornhill - dodała całkiem niepotrzebnie.

Mężczyzna nadal spoglądał na nią roześmianymi oczami, poczuła się więc swobodniej.

- Pierwszy raz widzi pani Highmoor Abbey? - spytał. - Robi wrażenie, prawda? Z tego miejsca miałaby pani najlepszy widok, jaki można sobie wymarzyć, gdyby nie to drzewo. Trzeba je przenieść.

- Przenieść? - Przesłała mu szeroki uśmiech. - Przesadzić tak jak kwiat?

- Tak - potwierdził. - Po co zabijać drzewo, skoro nie musi umierać? - Mówił całkiem poważnie.

- Ale ono jest takie wielkie - zauważyła ze śmiechem. Odbił się od pnia i podszedł do niej. Wyraźnie utykał na jedną nogę. Samantha zauważyła też, że prawe ramię trzyma nieco sztywno wzdłuż boku, z dłonią zwróconą ku biodru. Nosił skórzane rękawiczki.

- Ojej, czy pan sobie coś zrobił? - spytała.

- Nie. - Stał koło niej. Był od niej niewiele wyższy, choć uważano ją za osobę niskiego wzrostu. - W każdym razie nie ostatnio.

Rumieniec zalał jej policzki. Co za gafa. Ten człowiek jest okaleczony, a ona pyta, czy coś sobie zrobił.

- Widzi pani? - Wskazał w dół zdrowym ramieniem. - Po przesadzeniu tej zawady będzie znakomity widok na dwór od frontu. Budynek znajdzie się dokładnie pośrodku między innymi drzewami na stoku. Stąd są do niego jeszcze trzy kilometry, ale nawet artysta nie wymyśliłby lepszej kompozycji na płótnie. Tylko koniecznie trzeba zabrać to drzewo. Ale bądźmy artystami i

wyobraźmy sobie, że już go tu nie ma. Wkrótce naprawdę go nie będzie. Wie pani, artysta może posługiwać się przyrodą tak samo jak farbami olejnymi czy akwarelami. Rzecz tylko w tym, by zauważać, co może być malownicze, majestatyczne lub po prostu miłe dla oka.

- Czy pan jest tu rządcą? - spytała.

- Nie. - Popatrzył na nią nad wyciągniętym ramieniem i dopiero po chwili je opuścił.

- No, bo ogrodnikiem chyba pan nie jest - powiedziała. - Akcent zdradza dżentelmena. - Znów się zarumieniła. - Bardzo przepraszam. To zupełnie nie moja sprawa, tym bardziej że weszłam tu bez pozwolenia. - Nagle przyszło jej do głowy, że przecież on mógł zrobić to samo.

- Nazywam się Hartley Wade - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Miło mi pana poznać - odrzekła. Wyciągnęła do niego prawą rękę, uznawszy, że nie jest to typ człowieka, przed którym należy wykonać dyg. - Samantha Newman.

- Bardzo mi przyjemnie, że możemy zawrzeć znajomość, panno Newman. - Wymienił z nią uścisk dłoni. Samantha wyczuła przez rękawiczkę, że ręka jest szczupła, a palce sztywno zgięte. Bała się nawet odrobinę ścisnąć dłoń. Żałowała, że uległa odruchowi i wyciągnęła rękę. - Mam opinię takiego właśnie artysty od krajobrazu - wyjaśnił. - Włóczę się po majątkach najdostojniejszych angielskich posiadaczy ziemskich i radzę im, jak najlepiej mogą urządzić swoje parki. Wielu ludzi sądzi, że wystarczy dobrze utrzymany ogród przed domem i regularnie strzyżone trawniki.

- A nie jest tak? - spytała.

- Nie zawsze. Nawet nieczęsto. - Oczy znów zaczęły mu się śmiać. - Takie regularne ogrody nie są zbyt atrakcyjne, szczególnie jeśli teren przed domem jest płaski i nie ma możliwości sadzenia roślin na różnych wysokościach. Żeby docenić w pełni taki ogród, powinno się zawisnąć w powietrzu i spojrzeć z góry, na przykład z balonu. A park to zwykle coś więcej niż dom i, powiedzmy, kilometrowy szmat ziemi przed domem. To może być wspaniałe miejsce do spacerów, odpoczynku i uczyty duchowej, jeśli tylko ktoś zada sobie trochę trudu, by właściwie je zaprojektować i urządzić.

- Ojej! Czy właśnie to robi pan tutaj? Czy markiz Carew zatrudnił pana, żeby powłóczył się pan po jego parku i coś mu doradził?

- No, przynajmniej jedno drzewo będzie musiał przesadzić - powiedział pan Wade.

- Czy markiz nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Kiedy ktoś prosi o radę, powinien być przygotowany na to, że jakieś rady usłyszy. Tu już zresztą trochę zrobiono, żeby natura prezentowała się jak najokazalej. Pani chyba rozumie, nie jestem tu pierwszy raz. Ale zawsze można sobie wyobrazić nowe ulepszenia. Tak jak z tym drzewem. Nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób przedtem umknęło mojej uwagi. Kiedy już drzewo stąd zniknie, można będzie wymurować kamienną grotę, na wypadek gdyby markiz i jego goście

chcieli miło spędzać czas na podziwianiu widoku.

- To prawda. - Samantha rozejrzała się. - Znakomite miejsce. Idealny spokój. Gdybym tu mieszkała, zapewne spędzałabym dużo czasu w tej grocie. Rozmyślałabym sobie i marzyła.

- Oto dwie stanowczo nie doceniane czynności - powiedział. - Cieszę się, że pani przywiązuje do nich wagę, panno Newman. A co do groty, to mogłaby też kusić, żeby posiedzieć tam z kimś szczególnym, z kim można bez skrępowania i rozmawiać, i milczeć.

Spojrzała na niego z nagłym zrozumieniem. Tak. Właśnie o to jej chodziło. O ten brak. Wyczuwała to przecież, zastanawiała się nad tym, łamała sobie głowę. I oto miała odpowiedź tak prostą, że wcześniej w ogóle nie przeszła jej przez myśl. Brakowało jej towarzystwa kogoś szczególnego. Nie знаła nikogo, z kim mogłaby pomilczeć bez skrępowania. Nawet ze swymi najdroższymi krewnymi, ciotką Aggy i Jenny, zawsze czuła się w obowiązku prowadzić rozmowę.

- Tak - powiedziała z dziwnym, bolesnym uczuciem, umiejscowionym jakby w krtani. - To byłoby przyjemne. Bardzo przyjemne.

- Czy śpieszy się pani z powrotem do Chalcote? - spytał pan Wade. - Może kogoś tam niepokoi pani nieobecność. Na przykład przyzwoitkę?

- Już wyrosłam z przyzwoitek, panie Wade. Mam dwadzieścia cztery lata.

- Nie wygląda pani na tyle - stwierdził z uśmiechem. - Czy wobec tego zechce mi pani towarzyszyć na wzgórze i obejrzyć niektóre gotowe już ulepszenia? I posłuchać, jakie jeszcze mam pomysły?

Wiedziała, że propozycja jest szalenie niestosowna. Bądź co bądź, była panną dobrze ułożoną, a znajdowała się w zadrzewionym miejscu, w towarzystwie dziwnego mężczyzny. Nie miało znaczenia, że ów mężczyzna jest też bardzo zwyczajny i dość niechlujny. Należało bardzo zdecydowanie zawrócić w stronę domu. Ale w tym człowieku nie dostrzegła nic groźnego. Był sympatyczny. I rozbudził w niej ciekawość. Chciała zobaczyć, jak można dla wygody człowieka zmieniać naturę, nie niszcząc jej i nie wyrządzając szkód.

- Chętnie - zgodziła się, spoglądając ku szczytowi wzgórza.

- Zawsze uważałem, że markizowi dopisało szczęście - powiedział. - Mieć takie wzgórze na swoim terenie, podczas gdy posiadłość hrabiego Thornhill w sąsiedztwie jest zupełnie płaska. Wzgórza dają duże możliwości. Czy pani potrzebuje pomocy?

- Nie. - Roześmiała się. - Tylko trochę wstyd mi, że się tak zadyszałam. To przez tę niekończącą się zimę. Stanowczo za długo nie miałam żadnych forsownych ćwiczeń.

- Jesteśmy już prawie na szczycie - uspokoił ją. Uwagę Samanthę zwróciło, że wprawdzie pan Wade utyka bardzo wyraźnie, ale jest w dużo lepszej kondycji niż ona. - Tam stoi altanka, widoczna ze wszystkich stron. Na ogół nie jestem taki obcesowy, ale pan markiz zapewnił mnie, że wszyscy jego goście z wdzięcznością tam odpoczywają.



Samantha również czuła wdzięczność. Siedzieli obok siebie na kamiennej ławie i spoglądali nad czubkami drzew na pola i łąki rozpościerające się w dolinie. Dwór znajdował się teraz nieco z boku i widok nie był już taki wspaniały jak dotąd. Pan Wade pokazał miejsca, z których w ubiegłych latach usunięto drzewa, a także te, gdzie można było zobaczyć drzewa już przesadzone. Potem pokazał dwie ścieżki biegnące w dół stromego zbocza, prowadzące do altanek ustawionych z pietyzmem tam, skąd rozpościerały się najpiękniejsze widoki. Dodał też, że ze szczytu prawie widać jezioro, którym zajął się w tym roku.

- Tajemnica polega na tym - ciągnął - żeby zostawić otoczenie w takim stanie, jakby całe jego piękno było dziełem natury. Gdy zakończę pracę, jezioro musi wyglądać tak, jakby dookoła wszystko rosło dziko, choć w istocie wprowadziłem kilka zmian. Potem panią tam zabiorę i wszystko pokażę, naturalnie jeśli pani będzie miała ochotę.

Na razie jednak nie zrobił najmniejszego ruchu, by urzeczywistnić zapowiedź. Altanka chroniła ich przed powiewami lekkiego wiatru, a słońce padało prosto na nich, było więc prawie ciepło. Na drzewach śpiewały ptaki, przeważnie niewidoczne, chyba że któryś poderwał się na chwilę z gałęzi, by zaraz opaść na inną. Zewsząd napływały aromaty budzącej się wiosny.

Siedzieli w milczeniu przez wiele minut, chociaż Samantha właściwie nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie było w tym nie niezręcznego, nie miała poczucia, że zaraz trzeba coś powiedzieć. Za wiele piękna ich otaczało, by mieć ochotę na rozmowę.

- To jest cudowne - westchnęła wreszcie z zachwytem. - Cudownie odprężające. Mogłam iść nad jezioro w Chalcote, razem z moją kuzynką, lady Boyle i ich dziećmi. Ale wolałam samotność, choć omal ich tym nie obraziłam.

- A ja zniweczyłem pani starania - zauważył pan Wade.

- Nie. - Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. - Z panem było mi tak dobrze, jakbym była sama. - Roześmiała się, odrobinę zakłopotana. - Boże, wcale nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Miałam na myśli to, że dobrze mi w pana towarzystwie i nie czuję skrępowania. Dziękuję, że otworzył mi pan oczy na to, co wcześniej nawet nie wpadło mi do głowy.

- Już jest za późno, żeby zejść nad jezioro - powiedział. - Minęła już pora herbaty, w Chalcote będą pani szukać. Może innego dnia?

- Bardzo chętnie - odrzekła. - Ale pan pracuje. Nie chciałabym zajmować panu czasu.

- Artystom, muzykom, pisarzom często zarzuca się marnotrawienie czasu, kiedy po prostu patrzą na to, co ich otacza. Tymczasem bywa, że są to dla nich chwile najbardziej wytężonej pracy. Na przykład teraz siedziałem tutaj z panią, panną Newman, i gromadziłem pomysły do wykorzystania w moim... w parku mojego chlebobdawcy. Gdyby pani nie przyszła, prawdopodobnie bym tu nie siedział i nie wpadłyby mi do głowy te pomysły. Czy przyjdzie pani znowu? Na przykład jutro. W to samo miejsce i o tej samej porze co dzisiaj?

- Tak - powiedziała, podjąwszy nagle decyzję. Nie mogła przypomnieć sobie bardziej udanego popołudnia w czasie prawie trzymiesięcznego już pobytu w Chalcote. Pomyślawszy tak, od razu poczuła się nielojalna w stosunku do Jenny i Gabriela, którzy tak miło się wobec niej zachowywali. - Przyjdę.

- Chodźmy więc - powiedział wstając. - Odprowadzę panią do strumienia.

Oczy zaśmiały mu się w ten sam pociągający sposób co przedtem. To bodaj jedyne, co mnie w nim pociąga, pomyślała Samantha.

- Muszę mieć pewność, że pani bezpiecznie dotarła do granicy posiadłości markiza Carew - dodał.

Samantha obawiała się, że nadmiar chodzenia zaszkodzi panu Wade, ale nie chciała znów wspominać o jego ułomności. Mężczyzna przekuśtykał więc razem z nią całą drogę w dół do strumienia. Przez cały czas rozmawiali, chociaż potem Samantha nie umiałaby powiedzieć, o czym.

- Proszę uważać - powiedział, gdy przechodziła na swoją stronę kamiennym brodem, starając się nie zadzierać zanadto spódnic. - Wpadnięcie do wody o tej porze roku mogłoby być trochę zbyt podniecającym przeżyciem.

Przystanęła na drugim brzegu, by przesłać mu jeszcze jeden uśmiech i pożegnać go uniesieniem dłoni. Pan Wade stał z lewą ręką założoną na plecy; prawa zwisała wzdłuż boku, tak jak w chwili ich spotkania. Samancie przemknęło przez myśl, że może pan Wade jest z natury leworęczny.

- Dziękuję za miłe popołudnie - powiedziała.

- Będę niecierpliwie czekał na jutrzejsze spotkanie, panno Newman - odpowiedział. - Miejmy nadzieję, że pogoda okaże się łaskawa.

W chwilę potem Samantha wyłoniła się spomiędzy drzew i przez łąkę ruszyła ku rozległym trawnikom parku w Chalcote. Z pewnością musiano już podać herbatę, pomyślała. Jeśli Jenny i Rosalie zdążyły wrócić znad jeziora, to będą się niepokoić, gdzie się zawieruszyła.

Czy powiedzieć im prawdę? Że była na spacerze i przez ponad godzinę siedziała w altance z całkiem obcym człowiekiem? Że umówiła się z nim znowu na jutro? Nie mogła. Brzydko by to zabrzmiało, choć w samym zdarzeniu nie było nic złego. Przeciwnie. Trudno o bardziej zwyczajnego i sympatycznego dżentelmena, takiego, z którym można się czuć równie swobodnie. A także o dżentelmena, z którym spotkanie byłoby bardziej wyzute z wszelkiego romantyzmu. W ogóle nie zwracali uwagi na to, co fizyczne.

Ale gdyby powiedziała prawdę, ciotka Aggy bez wątplenia postanowiłaby wybrać się z nią nazajutrz w charakterze przyzwoitki. I wtedy trzeba byłoby prowadzić rozmowę we troje. Takie popołudnie wcale nie byłoby przyjemne.

Nie, postanowiła nie mówić. Miała przecież dwadzieścia cztery lata. Wystarczająco dużo,

by robić to i owo samodzielnie. I wystarczająco dużo, by mieć trochę prywatnych spraw w życiu.

Postanowiła, że nic nie powie. Wiedziała jednak, że następnego popołudnia będzie wyczekiwać z dużą niecierpliwością.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Hartley Wade, markiz Carew, patrzył śladem odchodzącej Samantha. Stał jak wrośnięty w ziemię po swojej stronie strumienia jeszcze długo po tym, gdy znikła między drzewami.

Była to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. Zdecydowanie najpiękniejsza. Drobna, zgrabna, delikatna i pełna wdzięku. Miała blond włosy w odcieniu miodu, dość krótkie, ale kręcone. Czepek bynajmniej nie ujmował im uroku. Oczy Samantha były intensywnie niebieskie, rzęsy długie i ciemniejsze niż włosy. Twarz pełna uroku, uśmiechnięta, promieniująca wigorem i inteligencją.

Żałośnie uśmiechnął się pod nosem. Mimo dwudziestu siedmiu lat reagował jak uczeń, któremu nadarzyła się rzadka okazja zerknięcia na osobę płci przeciwnej. Był na dobrej drodze do zakochania się po uszy.

Odwrócił się ku szczytowi wzgórza. Bokiem prawej ręki potarł udo. Wiedział, że wieczorem będzie boleśnie wspominał ten spacer. A może nie tak bardzo boleśnie?... Wprawdzie przez ostatnie miesiące chodził niewiele, ale za to bezlitośnie ćwiczył. Uśmiechnął się na wspomnienie miny Jacksona, właściciela znanego klubu bokserskiego w Londynie, gdy trzy lata temu pierwszy raz tam wszedł, a właściwie wkuśtykał. Teraz Jackson był dumny ze swego ucznia i miał ochotę zaprezentować go kilku innym swoim klientom. Ale markiz otaczał swe wizyty w klubie dyskrecją, i trenował jedynie z samym gospodarzem. Nie zamierzał robić z siebie jarmarcznego widowiska.

Doszedł do miejsca pod szczytem, w którym pierwszy raz zobaczył pannę Samantha Newman. Tak, to drzewo stanowczo należało przesadzić. Widok byłby wtedy niezrównany.

Nie od razu zorientował się, że panna Newman nie wie, z kim ma do czynienia. Cóż, prawdopodobnie ani Thornhill, ani jego żona nie opisali jej sąsiada. To porządni i sympatyczni ludzie. A może, opisując go, nie wspomnieli cechy najbardziej rzucającej się w oczy. Nowa znajoma mogła nie słyszeć, że markiz Carew jest kaleką. Wiedział, że takim mianem go określano, choć nie w pełni odpowiadało ono prawdzie. Gdyby dotarło do uszu panny Newman, z pewnością od razu by wiedziała, kogo ma przed sobą.

Przedstawił się z pewnymi oporami, ale nawet jego nazwisko nic dla niej nie znaczyło. „Miło mi pana poznać”, powiedziała uprzejmie. Spodziewał się zmiany w jej zachowaniu, nie takiego jednak nie nastąpiło.

Pokusa była bardzo silna. Postanowił nie ujawniać, kim jest. Skoro nikt jej przedtem markiza nie opisał, a ona nie kojarzyła nazwiska z tytułem, nie miała szans odgadnąć jego tożsamości, nawet jeśli wałęsał się po swoim terenie. Dla wygody ubrał się przecież w stare ubranie. Nie dalej jak rano lokaj wyraźnie mu zapowiedział, że jeśli jego lordowska mość będzie się upierał przy włożeniu tych butów jeszcze jeden raz, to on roześle anons do wszystkich gazet, że nie

odpowiada za wygląd swego pana.

Ale buty były bardzo wygodne, a groźby lokaja to nie nowość. Hargreaves pracował u niego od jedenastu lat i przez ten czas odgrzązał się nieustannie.

Markiz doszedł na szczyt wzgórza i usiadł na kamiennej ławie, na której wcześniej odpoczywał z panną Newman. Jego towarzyska prowadziła konwersację bardzo swobodnie i słuchała go z zainteresowaniem, które wydawało się niekłamane. Przez dobry kwadrans siedziała też obok niego w milczeniu i wyraźnie było jej z tym dobrze. Nie czuła potrzeby zapełniania ciszy zbędnymi słowami ani zachęcania go do mówienia.

Powiedziała... jak ona to ujęła? Skupił myśli. „Dobrze mi w pana towarzystwie i nie czuję skrępowania”. Zabrzmiało to całkiem szczerze. Od innych kobiet słyszał tylko te słowa, które były na początku, takiego zakończenia nigdy. W dodatku dotąd żadna kobieta nie była z nim szczerą.

Ostatnimi czasy mało udzielał się towarzysko, chociaż nie był jeszcze kompletnym odludkiem. Jeśli mógł, unikał jednak kobiet. Upokarzał go i raził natychmiastowy błysk zainteresowania i pożądlivosti w oczach rozmówczyni, gdy tylko go przedstawiono. Potem aż do końca przyjęcia lub wizyty był przedmiotem tyleż gorliwych, co podszytych fałszem umizgów. Jego tytuł bez wątpienia robił wrażenie - Hartley był ósmym markizem Carew. No, i naturalnie miał Highmoor, posiadłość w Yorkshire, a oprócz niej drugą, równie rozległą i przynoszącą duże dochody, w Berkshire. Sam nie wiedział, co robić z nadmiarem bogactwa.

Może powinien się przyzwyczać do nieszczerych komplementów. Wielu dżentelmenów jego stanu nie miało innego wyjścia. wiata się nie zmieni. Ale czasem, gdy zjawił się gdzieś niespodzianie, zdarzało mu się ujrzeć w kobiecych oczach pogardę. A zdarzało się jeszcze coś gorszego: niechęć lub nawet odraza na widok jego groteskowego chromania i skrzywionej ręki. Teraz rzadko wychodził z domu bez rękawiczek, zwłaszcza bez rękawiczki na prawej dłoni.

Naturalnie lord Byron też utykał i to jeszcze przydawało mu atrakcyjności w oczach kobiet, ale markiz Carew nie miał ani urody lorda Byrona, ani jego charyzmy.

Zastanawiało go, jak panna Samantha Newman zareagowałaby na jego tytuł. Czy ujrzałby w jej oczach dobrze znany błysk chciwego zainteresowania? Przyznała wszak, że ma dwadzieścia cztery lata. Trochę już przekroczyła wiek, w którym normalnie kobiety wychodziły za mąż, aczkolwiek Carew nie potrafił odgadnąć przyczyny. Nawet gdyby nie miała posagu, była bardzo piękna.

Piękna i bestia, pomyślał żałośnie, kładąc lewą dłoń na kamieniu, w miejscu gdzie niedawno siedziała panna Newman. W jej oczach nie widział odrazy. Tylko zatroskanie, gdy pomyślała, że coś sobie zrobił, a potem zakłopotanie, kiedy uświadomiła sobie popełnioną gafę. Ale może byłaby tam odraza, gdyby panna Newman знаła jego tożsamość i widziała w nim mężczyznę, którego względy dobrze by było sobie zaskarbić.

Nie. Zamknął oczy i wystawił twarz ku zachodzącemu słońcu. Nie chciał mieć takiego jej obrazu. Spodobała mu się. Nie tylko z wyglądu, choć na sam jej widok zaparło mu dech. Miał wrażenie, że ją lubi. Nawet więcej..

Otworzył oczy i wstał. Czas wrócić do domu. I tak nie poszedłby już nad jezioro zastanawiać się nad ulepszeniami w otoczeniu. Może nazajutrz pójda tam razem i wtedy będzie mógł przy niej pomarzyć i przedstawić swoje pomysły. Jeśli utrzyma się pogoda. Chmury gromadzące się na zachodzie nie wróżyły nic dobrego. Żeby tylko pogoda się utrzymała. Wyczekiwał przecież następnego dnia z taką niecierpliwością, z jaką dawno mu się to nie zdarzyło.

Może do jutra panna Newman sama się dowie, kogo spotkała. Jeśli opisz go hrabiemu Thornhill albo jego żonie, na pewno jej powiedzą, z kim spędziła popołudniową godzinę. A może po prostu nie przyjdzie. Może to popołudnie nie znaczyło dla niej tyle co dla niego, więc nie dotrzyma słowa. W każdym razie jeśli panna Newman jednak przyjdzie, musi jej powiedzieć, kim jest. Zaryzykuje, żeby zobaczyć, jak zmieni się jej zachowanie. Tymczasem postanowił pouczyć służbę, by nie rozpowiadano o jego nieoczekiwanym powrocie do domu. Miał nadzieję, że pogoda się utrzyma. Miał nadzieję, że panna Newman przyjdzie na spotkanie.

Tak, zdecydowanie było w tym coś więcej niż tylko jej uroda. I niż to, że ją polubił. Wyraźnie cofnął się uczuciowo do chłopięcych lat. Był zadurzony po uszy. Piękna i bestia, nie ma dwóch zdań!

Przez dwa dni przez okna dworu w Chalcote było widać nieustanną paskudną mżawkę. Nawet mężczyźni nie odważyli się wyjść na zewnątrz, chociaż hrabia Thornhill narzekał, że ma ważną sprawę do załatwienia.

Dzieci były coraz bardziej rozdrażnione, a ich opiekunka odchodziła od zmysłów, żeby wymyślić im jakąś rozrywkę. W końcu pan hrabia przyprowadził ją o poważny wstrząs, przeprowadził bowiem kawaleryjską szarżę, galopując po całym domu z dziećmi na plecach. dzielnie go w tym wspomagał sir Albert Boyle. Opiekunka zwierzyła się ze swych przeżyć gospodyni spotkanej przy schodach i dodała, że właściwie nic jej już nie powinno zdziwić, skoro od pięciu lat obserwuje niekonwencjonalne metody wychowawcze jego lordowskiej mości. Lady Boyle również była wstrząśnięta, lecz zarazem nieco zauroczona tym wydarzeniem, wkrótce więc przyłączyła się do hałaśliwej zabawy w chowanego, która odbywała się w całym domu z wyłączeniem kuchni. Nawet lady Brill dała się namówić do udziału. Po pewnym czasie, gdy szukano jej już ponad pół godziny i uznano, że musiała wymyślić wyjątkowo wspaniałą kryjówkę, która do tej pory nikomu nie przyszła do głowy, znaleziono ją wreszcie wyciągniętą na jej własnym łóżku. Smacznie spała.

Zabawy trwały z niewielkimi przerwami przez dwa dni. Drugiego dnia na obiad ściągęli goście, sąsiedzi, z którymi przez ostatnie trzy miesiące spotykano się na zmianę to tu, to tam. Była więc gra w karty, trochę muzyki i poobiednie pogaduszki. Czas minął bardzo miło. Szkoda tylko,

powiedziała potem hrabina, że markiz Carew jeszcze nie wrócił do Highmoor Abbey. Przyjemnie byłoby zobaczyć dla urozmaicenia jakąś inną twarz.

- Markiz by ci się spodobał, Sam - powiedziała Jenny. - Jest bardzo sympatycznym dżentelmenem. Tylko jakoś tak wychodzi, że nigdy nie ma go tutaj równocześnie z tobą. Musimy starannie zaplanować twoją następną wizytę.

- Samancie niepotrzebny jeszcze jeden kawaler w orszaku - stwierdził zdecydowanie hrabia. - I tak ma ich na pęczki. W końcu zawrócą jej w głowie i zrobi się zarozumiała. - Porozumiewawczo mrugnął do żony starając się, żeby Samantha to widziała.

Samantha miała na końcu języka nowinę o specjaliście od krajobrazu, który przebywa w Highmoor. Bądź co bądź, był dżentelmenem. Wyraźnie widziała to po jego sposobie prowadzenia konwersacji i zachowaniu. Pomyślała jednak, że pan Wade mógłby się czuć skrępowany takim eleganckim towarzystwem, może nawet nie miał stroju, który pozwoliłby mu zasiąść do obiadu u boku takich ludzi jak Gabriel czy Albert. Zresztą... Och, zresztą tymczasem pragnęła zachować znajomość z panem Wade'em w sekrecie. Nie miała ochoty patrzeć, jak wszyscy siłą się na uprzejmość wobec dżentelmena należącego wyraźnie do innej sfery. Choć naturalnie Gabriel i Jenny na pewno okazałyby mu całkiem szczerą sympatię.

Przez dwa deszczowe dni dobrze się bawiła, chociaż nie podobało jej się, że musi siedzieć w domu. Była rozżalona na los, który odebrał jej szansę na następny spacer z panem Wade'em. Tak wielką przyjemność sprawiło jej jego towarzystwo. Po powrocie do Chalcote uświadomiła sobie, że nikt dotąd nie traktował jej jak istoty myślącej. Była przyzwyczajona jedynie do mężczyzn spoglądających na nią z jawnym zachwytem i pożądaniem. Pochlebiali jej to, naturalnie, często jednak odnosiła wrażenie, że jest dla nich tylko zabawką, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Pan Wade nie zdradzał żadnych oznak pożądania. Czerpał przyjemność z wprowadzania jej w swoje teorie i pomysły. No i zapewne również z towarzyszenia jej w pięknym miejscu. Może było to głupie, skoro ich znajomość trwała jeszcze bardzo krótko, ale Samantha czuła, że mogliby zostać przyjaciółmi. Miała bardzo mało prawdziwych przyjaciół, chociaż miło usposobionych znajomych mogła liczyć na kopy. Jak pan Wade to wyraził? Zamyśliła się głęboko, próbując dokładnie przypomnieć sobie jego słowa: ktoś szczególny, z kim można bez skrępowania i rozmawiać, i milczeć.

Znów ogarnęło ją to samo wrażenie odkrycia, które miała, gdy pierwszy raz usłyszała te słowa. W odróżnieniu od większości kobiet, nie pragnęła miłości. Jej jedyne miłosne doświadczenie, które przeżyła w wieku osiemnastu lat, było upokarzające i wyjątkowo bolesne. Nie chciała doświadczyć tego ponownie. Pragnęła tylko - a uświadomiła sobie to dopiero, gdy pan Wade tak zręcznie to przy niej wyraził - towarzystwa kogoś szczególnego.

Przeczuwała, że pan Wade był dla niej właśnie kimś szczególnym. Może śmiesznie było tak

myśleć, skoro spotkała go tylko raz w życiu. Może zapomniał o niej natychmiast, gdy odwrócił się plecami do strumienia.

Może nie przyszedłby na spotkanie, nawet gdyby nie padało. Musiała też liczyć się z tym, że już go nie zobaczy. Mógł przecież skończyć pracę w Highmoor i wyjechać. Gdyby nigdy więcej nie mieli okazji się spotkać, byłaby bardzo zasmucona.

Na trzeci dzień deszcz wreszcie ustał. Przez cały ranek straszyły jeszcze niskie chmury, ale około południa zaczęło się przejaśniać i wkrótce przez wąskie szczeliny padły na ziemię pierwsze promienie słońca.

Hrabia ze swym przyjacielem, sir Albertem, i rządcą majątku wyjechali wczesnie rano wyjaśnić jakieś nieporozumienie z mieszkającym daleko dzierżawcą. Wrócili wczesnym popołudniem i oznajmili, że jest znakomita pora na rodzinną przejażdżkę konno, bo podczas spaceru można tylko zmoczyć buty.

- Rosie na pewno chętnie by odpoczęła. Prawda, kochanie? - Sir Albert zwrócił się z uśmiechem do ciężarnej żony. - Emmy będzie absolutnie bezpieczna na tym kucu, którego Gabriel jej wybrał zaraz po naszym przyjeździe, a Jane wezmę na siodło do siebie.

Lady Boyle bała się koni, więc wydawała się całkiem zadowolona, że błogosławiony stan wyklucza jej udział w tej ekspedycji.

- Gabrielu, musisz zapowiedzieć Michaelowi, żeby jechał cały czas stępą - odezwała się hrabina. - Bo inaczej Emily będzie się czuła w obowiązku mu dorównać. Wówczas ja dostanę palpacji na miejscu, a Rosalie wtedy, gdy się o tym dowie.

Hrabia mrugnął do niej i uśmiechnął się szeroko.

- Mary będzie siedzieć ze mną i błagać o kawaleryjską szarżę - powiedział.

Hrabina cmoknęła z dezaprobatą.

- Wobec tego lepiej będzie, jeśli pojedzie ze mną - powiedziała. - Sam, musisz mi pomóc w temperowaniu tego szaleńca.

- Jeśli nie będzie ci to bardzo przeszkadzało - odparła Samantha - wolałabym chyba odbyć przechadzkę.

- O, szalenciec ją wystraszył - stwierdził hrabia. - Nie bój się, droga Samantho, to będzie szarża bez szabli.

- Wobec tego również bez celu - zripostowała z uśmiechem. - Czyżby ci przeszkadzało, że chcę pospacerować?

- Jak to możliwe, że nie masz ochoty na przejażdżkę z czworgiem piszczących dzieciaków, szalonym kawalerzystą, zrzędliwą kobietą i tylko jednym normalnym mężczyzną? - spytał. - Niektórzy ludzie są bardzo dziwni. Naturalnie, Samantho, że wcale nam to nie przeszkadza. Rób to, co ci sprawia największą przyjemność. Po to cię tu zaprosiliśmy.



- Wcale nie jestem zrędliva - zaprotestowała z oburzeniem hrabina. - I przestań do mnie mrugać, Gabrielu, jakby ci coś wpadło do oka. Sam, przemokną ci nogi i zabłocisz sobie cały dół sukni. No dobrze, już nie zrędzę. Przestań się śmiać, Gabrielu. Popatrz, Sam, wytrzymałam sześć lat czegoś takiego. No, powiedz, czy nie jestem aniołem?

- To ja jestem - oświadczył hrabia. - Archaniołem Gabrielem.

Hrabina ponownie cmoknęła z dezaprobatą, a potem zaczęła chichotać razem z Albertem i Rosalie.

Samantha opuściła towarzystwo. Przypomniała sobie, jak kiedyś, zaraz po pierwszym spotkaniu, ochrzciły hrabiego Thornhill Lucyferem, bo miał ponury, sataniczny wygląd. Gdy dowiedziały się, jak mu na imię, dostrzegły w tym ironię losu, co jednakże w owym czasie wcale nie wydało im się zabawne. Naprawdę miały go za Lucyfera, który świadomie doprowadził do zerwania zaręczyn Jenny z Lionelem.

Samantha zadrżała. Rzadko wydobywała z zakamarków pamięci to imię albo ukrytą pod nim osobę. Diabła przebranego za anioła: Jedynego człowieka, którego kochała i miała kiedykolwiek kochać. Tamto przykre doświadczenie wystarczyło jej na całe życie.

Przebrała się w starszą suknię i naciągnęła botki, chociaż już miała nadzieję, że skoro zima się skończyła, przez dłuższy czas nie będzie trzeba ich nosić. Potem wzięła pelerynę, bo choć od czasu do czasu pojawiała się słońce, wydawało jej się, że jest dość chłodno. Wreszcie zawiązała pod brodą tasiemki czepka.

Wychodząc z domu pomyślała, że pana Wade'a zapewne nie będzie na umówionym miejscu. Nawet jeśli nadal siedzi w Highmoor, nie wpadnie na pomysł przyjścia na spotkanie z dwudniowym opóźnieniem. Poza tym mimo miłego, choć chłodnego i wietrznego popołudnia trawa wciąż była zupełnie mokra.

Pogodziwszy się z nieobecnością pana Wade'a, postanowiła mimo wszystko odbyć spacer. Kamienna ława w altance na szczycie wzgórza z pewnością była sucha i wystarczająco osłonięta, by można było na niej usiąść i choć przez chwilę ponapawać się pięknym widokiem i samotnością. Chwila samotności wydawała jej się atrakcyjniejsza niż przejażdżka konno z resztą kompanii.

Zaskoczyło ją słowo, które nagle wyłowiała z potoku myśli. Nie była samotna. W żadnym wypadku. Prawie zawsze otaczało ją sympatyczne towarzystwo. Życie spełniało jej oczekiwania. Dlaczego nagle przyszło jej na myśl, że jest samotna?

Pokonała bród i zaczęła się wspinać na wzgórze. Ani razu nie przystanęła dla zaczerpnięcia tchu. Powietrze wydawało jej się bardzo orzeźwiające, nawet bardziej niż trzy dni temu. A niebo wyglądało uroczo, białe chmury pędziły po błękitnie. Dotarła na szczyt, starając się niczego nie oczekiwać, tłumacząc sobie, że chce pobyć w altance sama, żeby bez przeszkód rozkoszować się widokiem.

Ujrawszy altankę, przystanąła. I nagle ogarnęła ją wielka radość. Uśmiechnęła się i ruszyła naprzód. Pan Wade wstawał z kamiennej ławy i patrzył na nią roześmianymi oczami.

- Co za wspinaczka - powiedziała. - Chyba nigdy nie odzyskam tchu.

- Niech się pani postara. Bardzo proszę - odparł. - Nie jestem pewien, czy miałbym ochotę znosić zwłoki z takiej stromizny.

Inni znajomi dżentelmeni pośpieszyliby z pomocą, korzystając z tego pretekstu, by jej dotknąć, wziąć za rękę, a może nawet zaryzykować otoczenie ramieniem w tali. A potem rozpoczęliby flirt, ożywiony, lecz całkiem nieszkodliwy. Pan Wade po prostu wskazał jej miejsce na ławie.

- Niech pani sobie usiądzie - powiedział. Roześmiała się i mimo wyraźnej zadyszki, podeszła do niego sprężystym krokiem.

Policzki i nawet czubek nosa miała zaróżowione od chłodu i wiatru, loczki pod czepkiem nieco rozczochrane. Dół jej zielonej sukni spacerowej, a także peleryny, pociemniał od wilgoci na wysokość dobrych dziesięciu centymetrów. Do przemoczonych botków przyklejały się źdźbła trawy.

Wyglądała jeszcze ładniej, niż zapamiętał. Siedząc na wzgórzu, usiłował sobie wmówić, że panna Newman nie przyjdzie i że wcale nie będzie go to szczególnie obchodziło. Był przecież bardzo zajęty pomysłami ulepszeń w parku, do których urzeczywistniania można było przystąpić, kiedy tylko wiosna nieco się ośmieli. Jeśli panna Newman nie przyjdzie będzie mógł bez przeszkód rozmyślać i pracować. Gdy dotarł na szczyt, postanowił nie czekać długo, najwyżej dziesięć minut.

Zjawiła się po kwadransie. Hartleya trochę spłoszyła nagła myśl, że nigdy w życiu nie czuł się taki szczęśliwy.

- Lepiej? - spytał, gdy panna Newman usiadła obok niego. Otaczał ją ten sam zapach, który zwrócił jego uwagę poprzednim razem. Fiołki? Aromat był bardzo delikatny. Wydawało mu się, że pochodzi od niej samej, a nie od perfum.

- Chyba tak - odrzekła, trzymając dłoń na sercu. Roześmiała się znowu, dźwięcznie i szczęśliwie. - Wiem prawie na pewno, że przeżyję.

- Cieszę się - powiedział. Jakże miękki byłby w dotyku jej lok, gdyby owinać go wokół palca.

- Czy ten deszcz nie był paskudny? - spytała. - Przez dwa dni bawiliśmy się z dziećmi w chowanego i nieustannie musieliśmy udawać, że ich nie widzimy, nawet kiedy włożyły za przezroczyste firanki albo pod biurko.

- Znudziło to panią? - spytał, rażony nagłym i całkiem niestosownym wyobrażeniem panny Newman z niemowlęciem przy piersi.

- Ani trochę. To była doskonała zabawa. W głębi serca chyba wciąż jestem dzieckiem, choć

to dość niepokojąca myśl. Ale byłam bardzo rozczarowana, że nasz spacer nie doszedł do skutku. Nie wiedziałam, czy pan już nie wyjechał z Highmoor. No, i nie byłam pewna, czy wpadnie panu do głowy, żeby przyjść dzisiaj zamiast przedwczoraj. Nie oczekiwałam, że się spotkamy, ale mimo to przyszedł. - Uśmiechnęła się do niego. - Tak na wszelki wypadek.

Naprawdę chciała przyjść. Dwudniowy deszcz sprawił jej olbrzymi zawód. A od rana była niespokojna... bała się, że pan Wade nie przyjdzie. Mimo to przyszła. Na wszelki wypadek.

Hartley zaplanował sobie tę część spotkania, w razie gdyby jednak się zobaczyli. Miał zamiar odwrócić się do niej i powiedzieć, że bardzo mu przykro, ale ostatnim razem wprowadził ją w błąd. Postąpił tak, bo wydawała się zmieszana odkryciem swej obecności na cudzym terenie, więc nie chciał jeszcze pogłębiać jej zaniepokojenia. W rzeczywistości jest bowiem nie tylko Hartleyem Wade'em, lecz również markizem Carew.

Tak zamierzał powiedzieć. Ale panna Newman naprawdę chciała się z nim spotkać. Przyszła z nadzieją, że zobaczy go dziś, zamiast przedwczoraj. Chciała spędzić popołudnie z tym, kogo poznała, z kaleką o bardzo przeciętnym wyglądzie, bez żadnych upiększeń.

Chciała spędzić czas z Hartleyem Wade'em, ogrodnikiem - pejzażystą. I wydawała się zadowolona z tego, że z nim jest.

Jak by zareagowała, gdyby poznała jego tożsamość? Nie był pewien, czy chce się o tym przekonać. Dobrze mu było w skórze Hartleya Wade'a. Nigdy nie czuł się lepiej. Postanowił zostawić sprawę tak jak były jeszcze tylko na to popołudnie. Na odchodnym albo następnym razem, jeśli będzie następny raz, powie jej prawdę. Ale jeszcze nie teraz.

- Pewnie spędzę w Highmoor jeszcze trochę czasu - powiedział. - Muszę dopracować kilka projektów i porozmawiać o nich z markizem, gdy wróci do domu. A potem nadzorować wykonanie, jeśli markiz zaakceptuje projekty i poleci mi natychmiast przystąpić do pracy. Deszczem zaś również byłem rozczarowany. Przyszedłem więc dzisiaj, bo wreszcie przestało padać. Na wszelki wypadek, gdyby pani też przyszła.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem. Miała białe, równe zęby. Kąciki jej ust zachęcająco się uniosły. Nigdy jeszcze nie widział ust, które tak bardzo chciałby pocałować.

- No dobrze, już odzyskałam dech, panie Wade - powiedziała. - Czy chce mi pan pokazać jezioro? Czy to daleko? A przede wszystkim, czy droga prowadzi w dół?

- Owszem, ale z powrotem pod górę - odparł. - Za to jest naprawdę niedaleko. - Wstał, ale nie wyciągnął do niej ręki. Bał się jej dotknąć. Nawet gdyby prowadził ją po lewej stronie, dodatkowo zwróciłby uwagę na swoje kalectwo. Mogłaby poczuć zakłopotanie albo wręcz niechęć.

- Spodoba się tam pani. To najbardziej odludna i urokliwa część posiadłości.

- Zastanawiam się, czy markiz Carew lubi swój dom. Często go nie ma, prawda? Gdybym to ja była właścicielką takiego piękna, nie jestem pewna, czy mogłabym długo bez niego wytrzymać.

Tylko że mieszkając w takim miejscu, trzeba było sobie radzić z samotnością, taką samotnością, na którą nawet goście nie są do końca lekarstwem. Właśnie w domu najbardziej dotkliwie odczuwał brak kobiety w swoim życiu. I dzieci. Ale stracił już nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się znaleźć kobietę, która kochałaby jego samego, a nie jego bogactwo.

Sam zresztą też nigdy nikogo nie kochał, chociaż darzył głębokim przywiązaniem damę, która przez pięć lat była jego kochanką, póki półtora roku temu nie zabrała jej nagle śmierć. Ale uczucia, jakie dla niej żywił, nigdy nie osiągnęły głębi miłości. Podejrzewał, że uczucia do panny Samantha Newman mogą stać się inne, chociaż na razie był w niej zwyczajnie po uszy zadurzony.

- Markiz lubi tę posiadłość - powiedział. - Czemu miałby poświęcać na nią tyle pieniędzy, gdyby tak nie było?

- Może po to, by było tu jeszcze więcej do pokazania. Ale to nieuprzejme przypuszczenie z mojej strony. Proszę mi wybaczyć. Przecież nawet nie znam markiza. A Jenny, to znaczy moja kuzynka, lady Thornhill, mówi, że to bardzo miły człowiek.

Chwała żonie hrabiego. Zawsze odnosiła się do niego z wielką uprzejmością i sympatią, chociaż była bardzo piękną kobietą.

- No, jesteśmy - powiedział. - Proszę uważać, gdzie pani staje. Zbocze jest dosyć strome. Nie chciałbym, żeby pani sturlała się na dół, prosto do wody.

- Mogłoby mnie to na zawsze zniechęcić do tego miejsca - odrzekła ze śmiechem.

Ale w chwilę później przestała się śmiać. Przystanąła z wrażenia, gdy byli jeszcze wysoko, prawie na szczycie. Między wzgórzem i drzewami zobaczyła bowiem niewielkie jezioro. Przez pewien czas nie była w stanie się poruszyć ani odezwać.

- Ojej - westchnęła w końcu. - To chyba jest najpiękniejsze miejsce na ziemi.

W tym momencie Hartley uświadomił sobie, że nie jest w niej zadurzony jak uczeń w pierwszej lepszej pięknej pannie. Choć ich znajomość trwała krótko, nie wątpił już, że kocha tę kobietę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dookoła działał niepojęty czar. Jezioro w Chalcote było ładne, duże, z przystanią i miało trawiaste brzegi, na których urządzano rodzinne pikniki i zabawy. Tu było inaczej. Tu było jakoś magicznie.

Samantha pomyślała, że takie wrażenie sprawia zapewne strome zbocze wzgórza i te drzewa po drugiej stronie. Otaczały to miejsce ciasnym pierścieniem, czyniąc z niego zamknięty świat. Woda pośrodku wydawała się głęboka i nieruchoma.

- Zejdziemy na dół? - spytał. - Z samego brzegu jest jeszcze ładniejszy widok.

Krok po kroku zbliżali się do jeziora. Samantha zauważyła, że stromizna powoli łagodnieje i bliżej brzegu jest już prawie płasko, więc można bez trudu stanąć albo usiąść. Była zadowolona, że pan Wade nie podał jej ręki ani nie zaproponował ramienia. Zauważyła, że nigdy tego nie robi. Większość dżentelmenów postąpiłaby tak bez wahania, budząc w niej poczucie, że jest słabą kobietą. Ale dotyk oznaczał też fizyczną bliskość. Budził świadomość, że towarzyszem jest człowiek innej płci.

Przy panu Wade nie miała takiego poczucia i była z tego zadowolona. W jej przekonaniu mogłoby to zniszczyć coś, co uważała za kielkującą przyjaźń. Nigdy jeszcze nie doświadczyła przyjaźni z mężczyzną. Prawdziwej przyjaźni.

Gdy stanęli nad wodą, pomyślała, że pan Wade słusznie zachęcił ją do zejścia. Wpatrywali się w przeciwległy brzeg.

- Spokój - powiedziała cicho. - Idealny spokój. To przypomina człowiekowi o... och, sama nie wiem o czym?

- O obecności Boga? - podsunął.

- Tak. - Zamknąwszy oczy, wciągnęła do płuc zapach wody i mokrej roślinności. - Tak, bywają takie miejsca, prawda? Większość kościołów. Ale nie tylko. Tu też się to czuje.

- Zawsze podobało mi się, że tu jest tak dziko, chociaż chętnie zostawiłbym ślad zachwytu człowieka. Może kapliczkę. - Zaśmiał się cicho. - Ale to byłoby egzaltowane. Tu stanowczo nic nie może zdradzać ludzkiej działalności. Kiedyś myślałem o łodziach i przystani, ale natychmiast zrezygnowałem. A co pani o tym sądzi?

- Łódki nie - powiedziała.

- Może mostek - rozmyślał głośno, wskazując zwięzający się kraniec jeziora, do którego wpadał strumień, spływający wodospadem ze stromizny. - Ten pomysł do mnie wraca. Ale mostek donikąd też wydaje mi się egzaltowany.

- Kamienny mostek - powiedziała. - Z łukami. Chyba trzema. Do małego pawilonu albo letniego domku.

- Tak. - Przez chwilę milczał. - Domek oszklony ze wszystkich stron, sześciu lub ośmiu. Taki, gdzie można usiąść, żeby było ciepło.

- I sucho - dodała. Roześmiała się. - Schronienie przed deszczem. Jezioro musi prześlicznie wyglądać w deszczu, kiedy mgła spowija drzewa i wzgórza.

- Schronienie przed deszczem - powiedział cicho. - Podoba mi się ten pomysł.

- To byłoby bardzo przytulne miejsce, oaza spokoju. Gdybym tu mieszkała, na pewno spędzałabym w nim wiele czasu.

- Mostek i schronienie przed deszczem - mruknął. - Tak będzie. Przez wiele lat zastanawiałem się, co tu zrobić, i oto pani pomogła mi rozwiązać ten problem.

- Może powinien mnie pan zatrudnić jako pomocnika, panie Wade?

Zwrócił do niej głowę i uśmiechnął się. Samantha nieczęsto widywała tak ujmujący uśmiech, promieniujący od oczu. Czowała, że musi odpowiedzieć w ten sam sposób.

- Czy byłoby mnie na to stać? - spytał.

- Prawdopodobnie nie - odrzekła. - Zresztą, czy markiz Carew nie uzna, że jest pan szalony, kiedy zaproponuje mu pan w tym miejscu mostek i schronienie przed deszczem?

- To możliwe. Ale markiz ceni sobie moje zdanie. A gdy zobaczy wynik pracy, zakocha się w tym miejscu bez dalszych zastrzeżeń.

- Mam nadzieję. Nie chciałabym, żeby te budowle niszczały.

Stali obok siebie, rozglądając się po okolicy. Panowała absolutna harmonia, idealny spokój.

- Mogłabym tu mieszkać do końca życia - powiedziała w końcu Samantha. Westchnęła, zaraz jednak roześmiała się. - Gdybym była typem pustelnika.

- Nosiłaby pani Włosienicę i każdego rana kąpałaby się w jeziorze.

- Brrr. - Wstrząsnęła się na tę myśl i oboje się roześmiali. Samantha nagle otrzeźwiała. - Chyba muszę wracać do Chalcote. Na pewno jestem tutaj już ponad godzinę. Czas płynie.

- Czy widziała pani kiedyś wnętrze dworu w Highmoor? - spytał.

Pokręciła głową.

- A chciałaby pani? Jutro. Z przyjemnością panią oprowadzę.

- Wydaje mi się dość niestosowne zwiedzać dom dżentelmena pod jego nieobecność - zaprotestowała. Podczas jego obecności byłoby to jeszcze bardziej niestosowne, pomyślała.

- Przejdziemy tylko po pokojach, które są udostępniane publiczności - powiedział. - W lecie jest tu bardzo dużo zwiedzających. Gospodyni ma prawo pokazywać im część domu, nie używaną do celów prywatnych. Akurat najwspanialszą. Znam ją dostatecznie dobrze, by panią po niej oprowadzić.

Highmoor Abbey wyglądało z oddali bardzo zachęcająco. Pokusa była silna. A w oczach pana Wade'a gościł przepiękny uśmiech.

- Jutro? - spytał.

- Ojej. - Poczula się nagle jak dziecko, któremu nie dano łakocia. - Jutro jedziemy z wizytą. Chyba nie mogę być niegrzeczna i wymówić się od towarzystwa.

- Więc pojutrze? - nalegał.

- A pojutrze sami spodziewamy się gości. - Zrobiła smutną minę i uśmiechnęła się przepraszająco. Nagle jednak wpadł jej pewien pomysł do głowy. - Może pan też przyjdzie? Gabriel i Jenny, to znaczy hrabia z żoną, na pewno bardzo by się ucieszyli. - Pożałowała jednak swoich słów natychmiast po tym, gdy je wymówiła. Wydawało się to głupie, ale nie miała najmniejszej ochoty dzielić się z rodziną swym przyjacielem.

- Chyba lepiej nie - odparł cicho. - Wolę zostać tutaj i przynajmniej udawać, że pracuję. W każdym razie dziękuję pani.

Wymienili uśmiechy pełne żalu. Samantha miała wyjątkowo miłe wrażenia z obu spotkań. Pomyślała, że po spotkaniu z panem Wade'em nie będzie już umiała czerpać przyjemności z całkiem zwyczajnych popołudni, które niekiedy spędzała w towarzystwie dżentelmenów na przejażdżkach czy przyjęciach pod gołym niebem, wypełniając je flirtowaniem. Przyjaźń dawała znacznie więcej zadowolenia.

- Mogłabym przyjść po południu za dwa dni - powiedziała z nadzieją w głosie. - Czy jeszcze pan tu będzie?

- Tak. Tylko nie byłem pewien, czy ma pani ochotę na odwiedzinę we dworze. To byłby długi spacer. Czy pani jeździ konno?

- Naturalnie - potwierdziła.

- Może wobec tego wyjadę pani na spotkanie. Powiedzmy do bramy posiadłości. O tej samej porze co dzisiaj, zgoda?

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Naprawdę powinnam już iść - powiedziała. - Nie musi mnie pan odprowadzać. Do strumienia i z powrotem jest długa droga.

- Ale ja tak samo jak poprzednio muszę się upewnić, czy opuściła pani cudzy teren. Czuję się odpowiedzialny za strzeżenie granic Highmoor.

Szybko wspięli się na wzgórze, po czym razem zeszli do brodu na strumieniu, za którym ciągnęły się grunty Chalcote. Przez cały czas swobodnie gawędzili na najróżniejsze tematy. Przed wejściem na pierwszy kamień Samantha odwróciła się do towarzysza.

- Dziękuję panu - powiedziała. - To był bardzo miły spacer.

- Dla mnie również - odrzekł. - Będę niecierpliwie czekał na spotkanie za dwa dni.

Po drugiej stronie strumienia jeszcze raz się odwróciła, żeby pomachać mu ręką, zanim zasłonią go drzewa. Pan Wade jest dżentelmenem, pomyślała. Samotnym dżentelmenem. A mimo

to przez dwa popołudnia była z nim ponad godzinę sam na sam w ustronnym miejscu. Nikt nie wiedział, dokąd się wybrała. W dodatku za drugim razem umówili się na spotkanie. Właściwie na schadzkę. Było to potwornie niestosowne, nawet dla kobiety dwudziestoczteroletniej. Ciotka Aggy dostałaby ataku hysterii, gdyby się o tym dowiedziała. Gabriel ponuro zmarszczyłby czoło i znów wyglądałby jak Lucyfer. Nawet Jenny patrzyłaby na nią z wyrzutem.

Dlaczego więc nie widziała w tych spotkaniach nic niestosownego? Czy dlatego, że nie flirtowali ze sobą, nie próbowali się dotykać ani romansować? Czy raczej ze względu na powierzchowność pana Wade'a? Wyglądał przecież tak zwyczajnie, może z wyjątkiem chwil, gdy miał uśmiech na twarzy lub choćby tylko w oczach. Nie przejmował się modą. Poza tym miał okaleczoną rękę, stale nosił rękawiczki i chromał. Może jednak to były tylko zewnętrzne pozory? Spróbowała go sobie wyobrazić jako przystojnego, pięknie zbudowanego mężczyznę. Czy wtedy odczuwałaby, że te wspólnie spędzone minuty to coś niestosownego? Miała wrażenie, że tak. Taki mężczyzna pociągałby ją fizycznie.

Do pana Wade'a nie czuła najmniejszego pociągu. Interesował ją jak przyjaciel. Uśmiechnęła się. Jak ktoś szczególny.

Dni wlokły się bez końca. Cóż, za osamotnienie, w jakim przebywał, ponosił winę tylko on sam. Gdyby dał znać w sąsiedztwie, że wrócił do majątku, już miałby gości. Jedynymi z pierwszych byłiby właściciele Thornhill. A i on odwiedzałby sąsiadów. Miałby zaproszenia na obiady. Występowałby z zaproszeniami. Tak, zdecydowanie sam był sobie winien.

A wszystko z powodu doskonałej istoty, która wydawała mu się tak nieosiągalna jak gwiazda w odległej galaktyce. Wszystko przez to, że bał się odkryć przed nią swoją tożsamość, żeby nie zobaczyć, jak panna Newman się zmienia, żeby nie dostrzec u niej cech czysto ludzkich.

Nie chciał być dla niej bajecznie bogatym markizem Carew, którego dobrze by było usidlić. Wolał, żeby nadal widziała w nim zwyczajnego, bardzo zwyczajnego Hartleya Wade'a.

Każdy uśmiech, którym obdarzała Hartleya Wade'a, był skarbem, który należało zachować w pamięci, by w przyszłości zachwycać się jego wspomnieniem. W każdym takim uśmiechu odbijała się bowiem jej otwartość i szczerłość. Starannie zatrzymywał też dla siebie każde jej słowo. „To chyba jest najpiękniejsze miejsce na ziemi... Może powinien mnie pan zatrudnić jako pomocnika... Mogłabym tu mieszkać do końca życia... Może pan też przyjdzie?... To był bardzo miły spacer”.

Na razie nie mógł powiedzieć jej prawdy. Chciał, żeby marzenie snuło się dalej, jeszcze przez jedno popołudnie. Zamknął się więc przed ludźmi, nie opuszczał granic posiadłości, żeby ktoś przypadkiem go nie zobaczył i nie rozpuścił pogłoski o powrocie markiza. Przez dwa nie kończące się dni na zmianę jeździł konno i spacerował po swym parku. Wciąż o niej myślał, marzył, a siebie wyzywał najróżniejszymi słowami, najłagodniejsze z nich brzmiało - „idiota”.



Nie mógł spać, bo nie opuszczał go jej obraz, a kiedy wreszcie zasnął, męczyły go sny, w których panna Newman zawsze była tuż poza zasięgiem jego ramion. Zawsze też uśmiechała się i mówiła, że było jej bardzo przyjemnie.

Drugiego wieczoru, zwolniwszy lokaja na noc, stanął przed wysokim lustrem, ubrany tylko w koszulę i obcisłe spodnie do kostek, i zaczął mierzyć się wzrokiem. Rzadko to robił. Zwykle wystarczały mu zdawkowe spojrzenia.

Żałośnie się uśmiechnął na widok swego odbicia i zamknął oczy. Ależ z niego imbecyl. Ułożył prawą dłoń na lewej i lewym kciukiem zaczął ją masować, mocno uciskając wszystkie ścięgna po kolei. Potem zaczął kolejno prostować sobie palce. Panna Newman była najpiękniejszą istotą na świecie. Czy istniał mężczyzna, który spojrzawszy na nią nie pokochałby jej i nie poczuł, że jej pragnie? Mogła przebierać w kandydatach do woli. Mogła wziąć sobie najprzystojniejszego mężczyznę w Anglii. Bez wątpienia miała szeroką rzeszę wielbicieli. Pozostawała niezamężna w wieku dwudziestu czterech lat niewątpliwie dlatego, że trudno jej się było zdecydować na jednego z niezliczonych chętnych. I on ośmielał się pragnąć jej dla siebie?

Otworzył oczy i przymusił się, żeby jeszcze raz otaksować swoje odbicie. Obserwował, jak masuje i ćwiczy swą cienką, powykręcaną rękę, której nigdy nie udało mu się usprawnić. I on ośmielał się pragnąć zdobyć pannę Newman dla siebie?

Diabeł podpowiadał mu, że gdyby wiedziała, z kim ma do czynienia, może by go zechciała. A jeśli nie chciałaby jego, to przynajmniej jego tytułu. Albo posiadłości. Albo bogactwa.

Żadna kobieta nigdy nie będzie chciała jego samego. Chociaż Dorothea mnie kochała, przypomniał sobie. Nie od razu. Początkowo był tylko mężczyzną którego stać na opłacenie jej względów i zapewnienie jej bytu. Potem jednak rozwinęła się z tego miłość. Tak mu powiedziała, a on jej uwierzył. Zawsze będzie wdzięczny tej biedaczce. Bardzo ją lubił.

Ale Dorothea miała obfite ciało, dość pospolitą urodę i dziesięć lat więcej niż on. Gdy przyszedł do niej, by stracić dziewictwo, już była starzejącą się kurtyzaną. Żadna inna kobieta nigdy go nie zechce. Z pewnością zaś nie panna Samantha Newman. Z tego marzenia mógł się tylko głośno śmiać. Zaśmiał się więc i spuścił oczy.

Ale przecież panna Newman była zadowolona z ich dwóch wspólnie spędzonych popołudni. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. I czekało ich następne spotkanie. Będzie mógł jej pokazać swój największy skarb, swój dom. I zachowa na zawsze wspomnienie o tym, jak chodziła po Highmoor Abbey, z zachwytem rozglądając się po wszystkich najpiękniejszych pomieszczeniach. Bo jej zachwyty był pewien. A on przez cały czas będzie dyskretnie zachwycał się swym gościem i zapisywał w pamięci każdy gest dziewczyny, każde słowo.

Tak, jeszcze przez to popołudnie stanowczo pozostanie panem Hartleyem Wade'em. Modlił się o dobrą pogodę.

Tymczasem dni zdawały się ciągnąć bez końca i straszliwie go nużyły. Jedynym sposobem na osiągnięcie względnego spokoju była dla niego przechadzka nad jeziorem. Stanąwszy na brzegu zapatrzył się tam, gdzie miał powstać mostek z trzema kamiennymi łukami i schronienie przed deszczem. Uśmiechnął się na myśl o tym, jaką nazwę panna Newman nadała temu, co dla niego było pawilonem. Latem budowla będzie już na miejscu.

Wreszcie nadszedł ranek trzeciego dnia, a potem także popołudnie. Okazało się, że wszystkie jego modlitwy zostały wysłuchane. Nie tylko nie padał deszcz, ale jeszcze po bezchmurnym niebie wędrowało słońce. I było wręcz gorąco. Zanim wyszedł z domu, wydał ściśle instrukcje. Uznał, że póki służba nie zobaczy panny Newman, by móc wyciągnąć wnioski na swój użytek, będzie myślała, że pan oszalał. Najpierw stanowczo zakazał rozpowiadać o swoim powrocie, a teraz zabronił wszystkim zwracać się do siebie z należnym szacunkiem.

Długim, krętym podjazdem dotarł do bramy posiadłości i zatrzymał się, wciąż niewidoczny dla nadjeżdżających osób. Przez cały czas próbował sobie wmówić, że nie będzie rozczarowany, jeśli panna Newman nie przyjedzie.

Gdy jednak ujrzał ją mniej więcej w dwie minuty po przybyciu na miejsce, uświadomił sobie, że byłby bardzo rozczarowany. Prawie zrozpaczony.

Zobaczyła go niemal natychmiast i powitała uniesieniem dłoni. W tej samej chwili jej uroczą twarz rozjaśnił uśmiech szczęścia. Tak, szczęścia. Panna Newman cieszyła się, że go widzi.

Była ubrana w bardzo elegancki i modny kostium do konnej jazdy z ciemnozielonego aksamitu. Nosila też dopasowany kolorystycznie fantazyjny kapelusik, przekrzywiony na bok, spod którego wysuwały się blond loki. Na kapelusiku miała nieco jaśniejsze pióro, które zalotnie opadało na ucho i sięgało aż pod brodę. Hartley szukał w myślach bardziej pochlebnego określenia wyglądu niż „piękny”, ale nie znalazł.

- Czy widział pan kiedyś ładniejszy wiosenny dzień? - zawołała do niego wesoło, gdy podjechała dostatecznie blisko.

- Prawdę mówiąc, nigdy - odrzekł z uśmiechem. Nigdy nie widział i już nigdy nie zobaczy.

Nie zaprowadził jej od razu do wnętrza domu. Najpierw skręcili z podjazdu między stare, rosnące w dużych odstępach drzewa.

- Tu była kiedyś gęsta puszcza - wyjaśnił. - Dostępna tylko dla drobnych zwierząt. Poleciałem trochę oczyścić ten teren z krzaków, żeby przyciągnąć płową zwierzynę. No i żeby można było przejechać konno albo przejść. - Roześmiał się. - Naturalnie markiz zaraz postanowił, że w jego posiadłości nie będzie się polować. Jelenie mają tutaj boskie życie.

- Ojej, jak się cieszę - powiedziała. - Czy pan wolałby, żeby było inaczej? - Miała nadzieję, że nie. Miała nadzieję, że pan Wade nie gustuje w krwawych sportach, aczkolwiek cechowało to prawie wszystkich mężczyzn.

Niechęć do polowania traktowali jak plamę na honorze. Szacunek Samantha dla markiza Carew znowu wzrósł.

- Nie - odparł. - Stworzyłem ten park rozumiejąc, że markiz chce w nim chronić naturę. Proszę popatrzeć. - Wskazał szpicrutą. Ukazało im się pięć jeleni, pięknych i dostojnych. Zupełnie się nie bały, chociaż musiały widzieć i słyszeć konie oraz ludzi. Były oddalone o nie więcej niż trzydzieści metrów.

- Jak ktoś może chce do nich strzelać? - spytała, a pan Wade spojrział na nią z uśmiechem w oczach. Pokazał jej dalszą część parku, ale ani na chwilę nie stracili z oczu dworu. Budynek od frontu wciąż jeszcze wyglądał jak katedra. Na pozostałych trzech ścianach można było zaobserwować dziwną mieszanicę stylów architektonicznych. Wyraźnie zaznaczyli tam swój wkład kolejni markizowie Carew. Mimo to wynik był zaskakująco przyjemny dla oka. Samantha widziała wiele spośród najbardziej majestatycznych angielskich dworów, a mimo to nie przypominała sobie, by którykolwiek bardziej ją zachwyił.

- Dziękuję - powiedział pan Wade, gdy podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem.

- Czyżby przyłożył pan rękę także do wyglądu budynku? - spytała.

Przez moment patrzył na nią w trudny do określenia sposób, a potem wybuchnął śmiechem.

- Nie - powiedział. - Ale przekażę pani komplement markizowi. Po prostu uprzedzam jego reakcję i odpowiadam, póki jeszcze może pani usłyszeć odpowiedź.

- Co za pomysł.

Park był zaprojektowany w bardzo niekonwencjonalny sposób. Przed domem nie urządzono regularnego trawnika, lecz zrobiono duży, wyłożony kamieniami taras ziemny z kilkoma wielkimi donicami, pustymi o tej porze roku. Były jednak klomby i ogródki skalne, niektóre już się zieleniły. Na zacienionym klombie obficie kwitły krokusy i pierwiosniki. Kwiaty nie rosły jednak symetrycznie. Większość z nich pojawiała się w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Ich położenie rozplanowano wykorzystując układ terenu.

- Dziwnie to wygląda - powiedziała. - Ale bardzo mi się podoba. Czy to pańska praca?

- Jeśli chodzi o pracę, to muszę oddać sprawiedliwość ogrodnikom. Ale mój jest projekt. Przypuszczam, że istotnie robi dziwne wrażenie. W każdym razie na ludzkim umyśle, który pragnie porządku i symetrii. Natura nie stawia takich wymagań, zauważyła to pani? Weźmy dla przykładu to drzewo na stoku wzgórza, tam gdzie pierwszy raz się spotkaliśmy. Czasem więc muszę wdać się w spór z naturą coś od niej uzyskać. Ale nie zawsze. Wolę pracować pozostając z nią w zgodzie, żeby wszystko w parku wyglądało jak naturalne, nawet jeśli takie nie jest.

- Musi pan spędzać tutaj wiele czasu - powiedziała. - Markiz bez wątpienia żywi głęboki szacunek dla pańskiej pracy. - Właściciel tego majątku znów zyskał w jej oczach.

- Markiz nie ma artystycznego zmysłu - odrzekł pan Wade z błyskiem w oku. - Ale potrafi

dostrzec artyzm i wykrzesać go z innych ludzi. Projektowałem także parki w innych częściach Anglii. Jednak ten lubię najbardziej.

- Czy pan mieszka gdzieś w pobliżu? - spytała. Pomyślała, że byłoby bardzo szkoda, gdyby poświęcił tyle czasu i energii twórczej na stworzenie takiej krainy piękna, a potem rzadko miał okazję widzieć ją w rzeczywistości.

- Nie bardzo. Może zaprowadzimy konie do stajni, żeby obejrzeć wewnątrz domu?

- Chętnie - zgodziła się. Miała nadzieję, że nie przeżyje rozczarowania. Skoro znalazła się tak blisko, bardzo chciała zobaczyć Highmoor Abbey od środka. Trochę obawiała się tylko, co pomyśli służba. Czy ją tu znają? Czy będą zgorszeni widokiem samotnej kobiety w towarzystwie ogrodnika - pejzażysty, najętego przez ich pana? Ale nie zamierzała pozwolić, by służba zepsuła jej popołudnie. I tak wydawało jej się, że trzydniowa zwłoka była o trzy dni za długa. Dziś poczuła się taka szczęśliwa, gdy zobaczyła przy bramie pana Wade'a. Swojego przyjaciela. Przekroczywszy próg, Samantha z wrażenia straciła dech. Przedśionek był wysoki na dwa piętra, pełen strzelistych, rzeźbionych kolumn i gotyckich łuków. Robił wrażenie katedry.

- Oto najstarsza i najbardziej majestatyczna część budynku - powiedział pan Wade. - Oprócz podłogi, którą położył dziadek... dziadek mojego chlebodawcy, wszystko wygląda tu prawie tak samo jak wtedy, gdy Henryk VIII skonfiskował klasztor.

- Ojej! - Był to najbardziej inteligentny komentarz, na jaki potrafiła się w tej chwili zdobyć.

Lokaj, przyzwany przez pana Wade'a, skłonił się przed nią, wziął od niej kapelusik, szpicrutę i kubraczek od kostiumu jeździeckiego. Potem wykonał bardzo sztywny ukłon przed panem Wade'em i bez słowa wziął szpicrutę oraz kapelusz również od niego. Samantha aż przygryzła dolną wargę, widząc w zachowaniu lokaja oczywisty przejaw lekceważenia. Uznała, że służba traktuje pana Wade'a jak człowieka ze swojej sfery, niewiele lepszego od nich, mimo iż niezaprzeczalnie był dżentelmenem. Służący potrafią być o wiele bardziej nieuprzejmi niż ich panowie. Ale pan Wade nie zrobił na ten temat żadnej uwagi. Może nie zauważył.

Na oglądaniu publicznych pokoi spędzili ponad godzinę. Byli w wielkiej sali balowej, w sieni i w sypialni, którą kiedyś zaszczylił swą obecnością król Karol II. Obejrzała obrazy Rembrandta i Van Dycka, i jedną imponującą marinę Reynoldsa. Wszystko było o wiele wspanialsze, niż się spodziewała.

- Można sobie wyobrazić, że się tu mieszka - powiedziała do pana Wade'a, gdy byli w sali balowej. Rozrzuciła ramiona i wykonała dwa obroty. - Że ma się to wszystko na własność.

- Podobałoby się pani? - spytał.

- Pewnie nie - odparła. - Otoczenie to nie wszystko. Są inne względy, ważniejsze. - Roześmiała się. - W każdym razie nie powstrzyma mnie to przed wyobrażaniem sobie, że tutaj mieszkam.

- Powinna pani wziąć ślub z markizem Carew.

- Istotnie - przyznała i wybuchnęła śmiechem. - On jest do wzięcia, prawda? Ile ma lat? Czy jest młody i przystojny? A może trzęsący się i stary? Wszystko jedno. Niech go pan sprowadzi, a ja postaram się go oczarować.

- Byłaby pani gotowa? - Uśmiechnął się do niej, przekrzywiając głowę na bok.

- Markiza Carew... - Ospale poruszyła przed twarzą wymagowanym wachlarzem. - Całkiem ładnie to brzmi. Powinien pan się przede mną skłonić, sir.

- Naprawdę? - Nie usłuchał.

- Chyba będę musiała skrócić pana o głowę za nieposłuszeństwo - stwierdziła, wpatrując się w niego z wyniosłą miną. - Powiem mężowi, markizowi Carew, żeby wydał rozkaz w tej sprawie. Jestem przecież markizą. Panią na Highmoor Abbey w hrabstwie Yorkshire.

Zamachała mu dłonią przed nosem. Jednak nie złożył na niej pocałunku.

- Tak jak mówiłam, w głębi serca jestem jeszcze dzieckiem - oświadczyła, z powrotem odyskując własną postać. - Nie próbowałabym oczarować markiza, nawet gdyby był wysokim, przystojnym i posepnym dżentelmenem, takim jak Gabriel. Nie zamieniłabym wolności nawet na coś takiego. - Zatoczyła ramieniem półkole po sali balowej, nie odrywając wzroku od twarzy pana Wade'a.

- Czyżby aż tak ceniła sobie pani wolność? - spytał.

- Tak. Czy nie zastanowiło pana, że w moim wieku pozostaję panną? To dlatego, że postanowiłam nigdy nie wyjść za mąż.

- Aha. - Oczy mu się uśmiechały, ale po chwili posmutniał. Większość ludzi nawet nie zdałaby sobie z tego sprawy. - Ktoś musiał panią bardzo głęboko urazić.

Wzdrygnęła się zaskoczona. Dżentelmeni mieli zwyczaj mówić jej, że jest najbardziej radosną i pogodną osobą wśród znanych im kobiet.

- Tak - przyznała. - Dawno temu. Ale to już przestało mieć dla mnie znaczenie.

- Tyle że zatrulo pani życie - zauważył pan Wade.

- Nie zatrulo - zaprotestowała. - Wcale nie. Och, pan mówi bardzo dziwne rzeczy.

- Proszę wybaczyć. - Uśmiechnął się wesoło. - Zapraszam panią do mojego gabinetu na herbatę. Naturalnie w rzeczywistości jest to gabinet markiza, ale przywłaszczyłem go sobie, póki tu jestem, a jego nie ma.

Przyjaciele się rozumieją pomyślała. Pan Wade dostrzegł coś, co przeoczyli wszyscy ludzie przed nim. Co więcej, dostrzegł także coś, czego nie widziała ona sama, a przynajmniej nie przyznawała, że widzi. Czyżby naprawdę miała zatrute życie? Czyżby pozwoliła, by tamten człowiek zyskał nad nią tak wielką władzę?

- Dziękuję - powiedziała. - Chętnie się napiję.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dobrze zrobił, że postanowił poczęstować ją herbatą w gabinecie, a nie w salonie. Salon bowiem wydawał mu się zimny i bardzo oficjalny, chyba że zgromadziło się w nim jednocześnie wiele osób. Kiedy spędzał czas w domu, lecz nie w swoich prywatnych pokojach, najczęściej siedział właśnie w gabinecie. Było to przytulne miejsce, choć wcale nie bardzo małe, za to wypełnione jego osobistymi skarbami. No i zawsze panował tam pewien nieład, bo służące nauczyły się nie ruszać książek, szczególnie tych, które leżały otwarte.

Posadził pannę Newman na wygodnym antycznym krześle, stojącym blisko ognia. Sam zajął identyczne krzesło po drugiej stronie kominka, w którym służba paliła natychmiast, gdy zauważyła powrót pana do domu. Wiele lat temu jego ojciec zamierzał wyrzucić oba te krzesła, twierdząc, że sprowadzają niesławę na tak godne miejsce jak Highmoor Abbey, ale Hartley zawłaszczył je i postawił u siebie w gabinecie. Nie przypuszczał, by kiedykolwiek miał ochotę się ich pozbyć.

Teraz nabrał co do tego pewności. Wiedział też, że w przyszłości gabinet zyska dla niego jeszcze większe znaczenie, tam bowiem w pewne popołudnie podjął herbatą największy skarb swego życia. Na masywnym krześle panna Newman sprawiała wrażenie osoby drobnej i kruchej, ale wydawało mu się, że jest jej wygodnie.

Cieszył się, że obróciła w żart pomysł małżeństwa z markizem Carew. Chyba jakiś diabeł podkusił go, by wysunąć taką sugestię. Przykro mu jednak było, że ktoś kiedyś złamał pannie Newman serce. Wprawdzie teraz się tym nie przejmowała i zawsze wydawała się pogodna, ale chyba nie przesadził mówiąc, że ten człowiek zatrzał jej życie. Kobiety w jej wieku przeważnie są od dawna mężatkami i mają dzieci. Szczególnie tak urocze kobiety. Tylko że w istocie żadna nie jest tak urocza...

Panna Newman popatrzyła po tytułach książek leżących na stoliku i zaczęli rozmowę o literaturze. A także o muzyce, operze i teatrze. Gusty mieli podobne, choć w odróżnieniu od niego panna Newman nigdy nie uczyła się greki ani łaciny i nigdy nie czytała sztuk widzianych na scenie. Poza tym wolała głos tenorowy od sopranowego i przedkładała wiolonczelę nad skrzypce. Ale oboje najbardziej lubili fortepian.

Hartley nie znał drugiej kobiety, z którą tak łatwo by się rozmawiało. Ale też nigdy nie znał kobiety, która byłaby nieświadoma jego tożsamości. Zastanawiał się, czy stwarza to jakąkolwiek różnicę. W sali balowej powiedziała, że nie zabiegałaby o względy markiza Carew, nawet gdyby miała okazję. Ale gdyby wiedziała, że to on jest markizem, a nie jakimś tam dżentelmenem, któremu los nie sprzyjał do tego stopnia, że uczynił z niego najemnego ogrodnika - pejzażystę... czy stanowiłoby to dla niej różnicę, gdyby o tym wiedziała? Czy czułaby się przy nim mniej

swobodnie? Czy wyraźniej odczuwałaby niestosowność ich zachowania? W tej chwili wydawała się całkiem tego nieświadoma, choć w gruncie rzeczy wspólne siedzenie w gabinecie było naprawdę bardzo niestosowne, o wiele bardziej niż wcześniejsza przechadzka po parku.

- Jak to się stało? - spytała cicho.

Uświadomił sobie, że przez dłuższą chwilę panowało milczenie, które między nimi nigdy nie budziło skrępowania, i wtedy on odruchowo popadł w jeden ze swoich nawyków. Lewym kciukiem zaczął masować prawą dłoń i kolejno prostować sobie palce. Panna Newman wpatrywała się w jego rękę.

- Czy to był wypadek, czy urodził się pan... - Przeniosła spojrzenie na jego twarz i splonęła rumieńcem. - Och, przepraszam. To nie moja sprawa. Proszę mi wybaczyć.

Pomyślał, że to, być może, jest miarą przyjaźni, jaka się między nimi zawiązuje. On mógł powiedzieć pannie Newman, prawie obcej osobie, że nieszczęśliwa miłość, której szczegółów nie znał, zatrąła jej życie, a ona mogła go spytać, w jaki sposób okaleczył prawą stronę ciała. Gdyby byli zwyczajnymi znajomymi, dobre manieri nakazywałyby im pominąć milczeniem takie osobiste sprawy.

- Wypadek. - Uśmiechnął się powtarzając kłamstwo, którym posługiwał się od dawien dawna. Nigdy nikomu nie powiedział prawdy, nawet rodzicom zaraz po tym zajściu, nie było więc sensu silić się na szczerość akurat teraz. - Miałem wtedy sześć lat. Jechałem na kucu, którego parę dni wcześniej dostałem w prezencie. Towarzyszył mi kuzyn, cztery lata starszy, więc popisywałem się, żeby dotrzymać mu kroku. Masztalerza zostawiliśmy daleko z tyłu. Chciałem pokazać, że umiem galopować. Skoczyłem przez płot, ale mi się nie udało, spadłem prosto na ogrodzenie. Połamałem sobie kości i pozrywałem ścięgna. Lekarz powiedział ojcu, że trzeba mi będzie amputować nogę i ramię. Na szczęście matka słysząc to dostała ataku hysterii. - Znów się uśmiechnął, widząc jej grymas przerażenia. - To było dawno - powiedział. - Lekarz zrobił, co mógł, żeby nastawić złamane kości, ale okaleczenie pozostało. I ojcu, i mnie powiedziano, że już nigdy nie będę mógł używać ani prawej ręki, ani prawej nogi. Ale ja czasem potrafię być uparty.

- Dzielny - poprawiła go. - Wytrwały i zdecydowany.

- Uparty. - Parsknął śmiechem. - Kiedy matka zobaczyła pierwszy raz, jak kuśtykam, narobiła strasznego krzyku. Przeraziła się, że jeszcze gorzej się okaleczę. Ojciec tylko mnie postraszył, że wystawię się na pośmiewisko.

- Biedny pan był. - Patrzyła na niego ze współczuciem szeroko rozwartymi niebieskimi oczami. - Dzieci nie powinny tak cierpieć.

- Cierpienie może odmienić ludzkie życie - powiedział. - Może stanowić siłę niosącą dobro. Nie chcę, żeby zabrzmiało to zarozumiale, ale jestem dość zadowolony z tego, jakim człowiekiem się stałem. Może nie byłbym równie zadowolony z siebie, gdybym uniknął tego wypadku. - Pewnie

na zawsze zostałbym rozkapryszonym, płaczącym, litującym się nad sobą tchórzem, takim jak przed upadkiem z konia.

- Przepraszam za to niestosowne wścibstwo - powiedziała. - Niech mi pan wybaczy.

- Nie ma czego wybaczać - odparł. - Przyjaciele rozmawiają szczerze. A mnie się zdaje, że zostaliśmy przyjaciółmi. Mam rację?

- Tak. - Uśmiechnęła się bardzo ciepło. - Właśnie przyjaciółmi, panie Wade.

W jej oczach nie było ani śladu porozumiewawczego błysku, że te słowa znaczą więcej, niż się zdaje. Naturalnie. Co za głupiec z niego, że ośmielił się marzyć o czymś takim, a co gorsza ludzię nadzieją. Ale widok panny Samantha Newman, która ze słodkim uśmiechem przyznała, że są przyjaciółmi, wydał mu się niewiarygodnie piękny.

- A teraz przyjaciel - powiedział, niechętnie wstając z krzesła - powinien odprowadzić panią do Chalcote, zanim zaczną pani szukać wszyscy konstable w tym hrabstwie. Rozumiem, że nie powiedziała pani hrabiemu Thornhill ani jego żonie, dokąd się pani wybiera.

- Nie. - Wstała bez pomocy. Twarz zalał jej rumieniec, wywołany dość poważnymi wyrzutami sumienia. - Mogliby uznać, że to jest niestosowne. Moja ciotka, czyli lady Brill, chciałaby mi pewnie towarzyszyć jako przyzwoitka. To chyba istotnie jest niestosowne i powinnam mieć przyzwoitkę, ale osobiście nie widzę w naszym spotkaniu nic złego i nie czuję potrzeby bycia pod damską opieką. A jeśli ktoś nie potrafi polegać na własnym osądzie i nie chce zażyć odrobiny wolności w tak zaawansowanym wieku jak mój, to niech lepiej siedzi w klatce. - Roześmiała się cicho.

- Odprowadzę panią do bramy posiadłości - powiedział, otwierając przed nią drzwi gabinetu. - Na jezioro jest także widok z altanki, której jeszcze pani nie pokazałem. A za domem, w miejscu gdzie strumień spływa ze zbocza, tworzą się kaskady. Myślę o zrobieniu tam czegoś jeszcze bardziej efektownego, na przykład większego wodospadu, więc chętnie usłyszałbym pani zdanie na ten temat. Czy wobec tego mogę zaprosić panią na spacer nad strumień, powiedzmy za trzy dni po południu?

Tymczasem wyszli z domu. Samantha znów miała na sobie jeździecki kubraczek, a kapelusik przekrzywiła jeszcze bardziej figlarnie niż przedtem. Uśmiechnęła się do pana Wade'a.

- Z przyjemnością. Będę stanowczo opierać się wszelkim próbom zorganizowania mi innych rozrywek tego popołudnia. I będę bardzo pokornie modlić się o dobrą pogodę.

- Na szczycie wzgórza o tej porze co zwykle? - spytał.

- Dobrze. - Roześmiała się. - Gdy wrócę do Londynu udzielać się towarzysko, będę najwytrwalszą tancerką w każdej sali balowej. Będę uśmiechać się ze współczuciem do pań i panów, sapiących po pierwszym kontredansie.

Żałował, że nie może tańczyć. Zawsze miał na to ochotę, choć wiedział, że nigdy nie będzie



w stanie tego dokonać. Unikał sal balowych. Chociaż w ciągu roku spędzał w Londynie prawie tyle samo czasu co inni dżentelmeni, rzadko przyjmował zaproszenia do udziału w wydarzeniach tamtejszego sezonu towarzyskiego. Mimo swej rangi, majątku i kawalerskiego stanu, nie był więc szeroko znany w towarzystwie, a na pewno nie wśród dam.

- Chciałbym tam być i to zobaczyć - powiedział. Wyjechali ze stajni i skierowali się do bramy, od której dzieliły ich jakieś dwa kilometry. - Ten trawnik ciągnie się aż do granic posiadłości, jest długi i równy. To kusi. Czy pani lubi galopować?

Spojrzała na niego i zaraz skupiła wzrok na okaleczonej nodze. Już otworzyła usta, żeby spytać, czy jest pewien, że powinien... Hartley nie wątpił, że to właśnie zamierzała powiedzieć. Zamiast tego jednak przygryzła wargę, a gdy ich spojrzenia się spotkały, w oczach panny Newman igrał diabelski ogień.

- Ścigajmy się! - zawołała i nim zdołał otrząsnąć się z zaskoczenia, śmignęła do przodu. Jej śmiech dźwięczał przenikliwie, prawie jak krzyk ptaka.

Przez cały wyścig pozostawał o pół długości konia za nią, ciesząc się jej podnieceniem i energią, a także znakomitym jeździeckim rzemiosłem. Jeszcze jeden epizod do zapisania w pamięci, pomyślał, wyprzedzając ją w ostatniej chwili, tuż przed bramą. Odwróciwszy głowę, roześmiał się z jej zawiedzionej miny.

- To nieuczciwe - wysapała. - niesprawiedliwe. Gabriel dał mi konia ochwaconego na wszystkie kopyta.

- Za tę potwarz może się pani smażyć w piekle - powiedział, przyglądając się jej wspaniałemu kasztanowi. - Hrabia Thornhill ma najlepsze stajnie w okolicy, w każdym razie tak słyszałem. A my nie ustaliliśmy nagrody.

- Och - jęknęła, udając złość po klęsce. - Co niby mam panu dać?

- Ma pani wspaniałe pióro w kapelusiku.

- Też coś... - Zdjęła kapelusik z głośnym śmiechem. - Nie jestem pewna, czy można je oderwać, a nie chciałabym dać panu całego kapelusika. Jeśli jest dla kobiety coś bardziej skandalicznego niż konna przejażdżka bez przyzwoitki, to tylko konna przejażdżka bez nakrycia głowy. Gdyby ktoś mnie zobaczył, nigdy nie uwolniłabym się od powszechnej klątwy. No, jest. - Podała mu zakręcone zielone pióro.

- Dziękuję. - Skłonił głowę z uśmiechem przyglądając się, jak panna Newman z powrotem wkłada figlarny kapelusik. - Gdyby ktoś pytał, może pani powiedzieć, że piórko zdmuchnął wiatr.

Pożegnał ją uniesieniem dłoni. Potem starannie przełożył pióro do prawej dłoni, a lewą znów uchwycił wodze i zawrócił w kierunku domu.

Zastanawiał się, co pomyślałaby panna Newman, gdyby wiedziała, że nagrody, którą właśnie od niej dostał, będzie strzegł do końca życia z większym pietyzmem niż różnych

należących do niego bezcennych przedmiotów. Dobrze, że nie można zajrzeć człowiekowi do głowy ani do serca, pomyślał. Wyszedłbym przed nią na głupca. I jeszcze bym ją przeraził.

Trzy dni. Jak miał je wypełnić? Jak nie zniżyć się do odliczania godzin, co przystoi najwyżej młokosowi?

Wreszcie nadszedł ten dzień i okazało się, że jest pogodny. Przynajmniej na początku. Słońce świeciło bez przerwy przez wszystkie dni, które nastąpiły po jej wizycie w Highmoor Abbey. A że po siedmiu latach tłustych przychodzi siedem chudych, Samantha w każdej chwili obawiała się deszczu. Mimo to miała nadzieję, że nie spadnie jeszcze tego dnia. To głupie, ale nawet się o to modliła.

Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo ceni sobie przyjaźń pana Wade'a. Był to przecież człowiek bardzo pospolitej powierzchowności. Domyślała się też, że mimo szlachetnego urodzenia jest ubogi. Ponieważ jednak nie patrzyła na niego jak na ewentualnego kandydata do małżeństwa, wygląd i status majątkowy były dla niej całkiem bez znaczenia. Doszła do wniosku, że właśnie dlatego tak sobie ceni tę przyjaźń. Jeśli chodzi o jej orszak - powoli zaczynała się przyzwyczajać do określenia Gabriela - to do wszystkich dżentelmenów, którzy go tworzyli, czuła pewien pociąg fizyczny. Nie mogła jednak ich nadmiernie zachęcać, więc tylko flirtowała z nimi i trzymała ich na odpowiedni dystans.

Do pana Wade'a wcale nie czuła pociągu. Naturalnie nie czuła także odrazy, mimo jego widocznego kalectwa. Dzielili za to... no, ciepło przyjaźni. Samantha nie pamiętała, by jakikolwiek człowiek, czy to mężczyzna, czy kobieta, sprawiał jej swym towarzystwem większą przyjemność niż on. Pomyślała czując się okropnie nielojalnie, że nawet Jenny nie jest aż tak drogą przyjaciółką jak pan Wade.

Miała nadzieję, że nowy przyjaciel nie będzie musiał wkrótce wyjechać. Wspomnił przecież o planach związanych z kaskadami na strumieniu, po północnej stronie dworu. Wspomnił o doglądaniu prac nad jeziorem, które mają zacząć się w lecie. Gdy coś projektuje z pewnością, nadzoruje potem wykonanie, póki praca nie przynosi owocu. Czyżby więc miał zostać w Highmoor przez całe lato?

Nagle drgnęła, przypomniała sobie bowiem, że sama nie zostanie tu tak długo. Na sezon wydarzeń towarzyskich wróci do Londynu. Zawsze jeździła w tym okresie do Londynu. To miał być już siódmy raz. Gdyby szukała męża, niechybnie wzdrygałaby się na samą myśl o tej liczbie. Wiele młodych dam uważało za koszmarnie upokorzenie powrót na drugi sezon towarzyski bez męża lub narzeczonego.

Jenny i Gabriel nie myśleli w tym roku o Londynie. Nie zawsze ściągali tam na sezon, o wiele lepiej czuli się bowiem u siebie na wsi, gdzie zabawiali się z dziećmi. W dodatku Jenny wyjawiała Samancie w chwili szczerości, że starają się o następne dziecko. Była po tym zwierzeniu

śmiertelnie zawstydzona.

Samancie przyszło do głowy, że mogłaby w tym roku także zostać w Chalcote. Natychmiast jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Jenny i Gabriel byli dla niej gościnni i bardzo mili, ale jednak przynajmniej przez część roku powinni mieć swój dom dla siebie. A siedziały w Chalcote z ciotką Aggy już trzy miesiące. Za długo. Samantha postanowiła, że wkrótce, gdy tylko wejdzie w posiadanie swojego majątku, urządzi się gdzieś samodzielnie, żeby móc spędzać we własnym domu te długie miesiące, kiedy życie toczy się zwawiej jedynie w dworach na wsi.

Nie, nie mogła zostać w Chalcote. Niebawem musiały z ciotką Aggy wrócić do Londynu. Odsunęła jednak od siebie tę myśl. To dopiero za parę tygodni. Tymczasem będzie miała okazję pooglądać Highmoor z panem Wade'em. Naturalnie, jeśli zechce jej coś pokazać. Jeśli nie zmęczy się jej przyjaźnią.

Nie pojmowała, na czym właściwie polega czar przyjaźni. Nawet nie próbowała pojąć. Za bardzo zajmowało ją rozkoszowanie się tym czarem.

Wiedziała jednak, - że czar wkrótce minie. Siedziała przy śniadaniu, wpatrując się w przestrzeń. Gabriel z Albertem pojechali załatwić jakąś sprawę, a Jenny była w dziecięcym pokoju z Mary, która w nocy wypadła z łóżeczka i nabiła sobie guza, wciąż potrzebowała więc czułych słów i objęć matki.

Ciotka Agatha zeszła do pokoju śniadaniowego, jak zwykle znosząc stertę listów, które dostała od przyjaciółek z Londynu. Ucałowała kuzynkę, wymieniła z nią uprzejmości, wzięła sobie grzanekę z kawą po czym zasiadła do czytania najświeższych wiadomości i ploteczek z wielkiego miasta, Samantha zapewniła ją bowiem, że nie będzie jej przykro, jeśli ciotka przez kilka minut powstrzyma się od prowadzenia konwersacji.

- O jejku - powiedziała ciotką po jakichś trzech minutach. - O jejku, jejku. Biedna Sophie.

- Czy lady Sophie jest chora? - spytała uprzejmie Samantha.

- Jakiś niewydarzony stangret najechał na nią, gdy przechodziła ulicę - powiedziała ciotka, zasepiona nad listem. - Do tego miał czelność zwymyślać ją i odjechać bez zatrzymania. A Sophie została odniesiona do domu ze złamaną nogą.

- To fatalnie - stwierdziła zatroskana Samantha. - Mam nadzieję, że nie cierpi zbyt mocno.

- Cierpi bardzo - odrzekła lady Brill. - Ale najgorsze, że doskwiera jej brak towarzystwa. Biedna Sophie. Wiesz przecież, kochanie, że ona żyje odwiedzinami znajomych i nowinkami. To jest dla niej bardzo ważne.

- Tak. - Samantha niezupełnie mogła zapanować nad uśmiechem. Uwieszenie w domu z powodu złamanej nogi musiało być wręcz zabójcze dla najlepszej przyjaciółki ciotki Aggy. Zaraz jednak uśmieszek znikł jej z warg.

- Muszę do niej jechać - stanowczo oświadczyła lady Brill. - Biedna, droga Sophie. W

mieście nie ma prawie nikogo, kto by jej składał wizyty. Muszę posiedzieć z nią w chwili nieszczęścia. To przynajmniej mogę dla niej zrobić. Tak, kochanie.

Tknięta egoistycznym odruchem, Samantha natychmiast jasno zrozumiała, co to oznacza dla niej samej. Równie jasno rozumiała jednak swoje zobowiązania.

- Kiedy wyjeżdżamy? - spytała.

- Ach! - Lady Brill spojrzała na nią i zrobiła jeszcze bardziej zafrasowaną minę. - Będziesz musiała rozstać się z drogą Jennifer i lordem Thornhill kilka tygodni wcześniej, niż planowałyśmy. Ale chyba nie możesz tutaj zostać, prawda, kochanie? Nie miałabyś z kim wrócić do Londynu w przyszłym miesiącu, a nie ma mowy, żebyś wracała sama. Czy bardzo nie masz ochoty jechać? Bo wiesz, Sophie jest taka biedna.

Samantha przechyliła się przez stół i dotknęła dłoni ciotki. Istotnie, zupełnie nie miała ochoty, lecz z powodu, który był tak głupi, że nie podlegał dyskusji.

- Naturalnie, pojedę - powiedziała. - Moim zdaniem to bardzo ładnie z twojej strony, że chcesz wrócić, żeby dotrzymać towarzystwa przyjaciółce. A co do mnie, to jak mogłabym nie mieć ochoty na Londyn, nawet jeśli sezon towarzyski jeszcze się nie zaczął? Zawsze mam tam coś do zrobienia. Zresztą potrzebuję wielu nowych strojów. Moje kreacje już się wszystkim opatrzyły.

- Bardzo jesteś miła, kochanie - powiedziała lady Brill z widoczną ulgą. - Naprawdę bardzo. Może wreszcie w tym roku znajdziesz sobie wymarzonego kawalera. Bo on się zjawi, wspomnisz moje słowa, zjawi się, nawet jeśli będziesz twierdzić, że go nie szukasz. Osobiście zresztą w życiu nie słyszałam większej nedorzecznosci.

Samantha uśmiechnęła się.

- Kiedy chcesz wyjechać? - spytała. Proszę, tylko nie dzisiaj, pomyślała. Tylko nie dzisiaj.

- Jutro rano? - zaproponowała ciotka z wyraźnym poczuciem winy. - O jak najwcześniejszej porze. Czy to nie będzie dla ciebie zbyt pośpiech, kochanie?

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła lady Thornhill. Uspokoila je, że wprowadzie Mary, która normalnie nie jest rozpieszczonym dzieckiem, z upodobaniem celebrowała swą tragedię, ale już jej się znudziło, bo nabrała wielkiej ochoty na zabawę z Emily i Jane. Natomiast Michael pojechał razem z mężczyznami.

- Ojej! - powiedziała, gdy lady Brill przekazała jej najświeższe wiadomości i wytłumaczyła, co w związku z tym zamierza zrobić. Wydawała się szczerze zawiedziona. - Czyżbyśmy mieli stracić was obie? Liczyłam, że pobędziecie jeszcze przynajmniej dwa, trzy tygodnie.

Mimo wszystko Jenny musiała poczuć pewną ulgę, gdy dowiedziała się, że już wkrótce będzie miała Gabriela i dzieci tylko dla siebie, pomyślała Samantha wchodząc na górę, żeby polecić służącej rozpoczęcie pakowania do niespodziewanego wyjazdu. Albert z Rosalie wyjeżdżali za tydzień.

Przez sześć lat Samantha nie zazdrościła kuzynce stanu małżeńskiego. Zdarzało się jedynie, że jej współczuła, choć małżeństwo Jenny po katastrofalnym początku szybko przeistoczyło się w związek scementowany głęboką miłością, o czym Samantha dobrze wiedziała. Tego dnia pierwszy raz poczuła... no, nie zazdrość. Nie. I nie osamotnienie. Tylko... nie mogła znaleźć nazwy dla swego uczucia.

Bardzo jednak żałowała, że spotkanie, na które umówiła się po południu z panem Wade'em, będzie ostatnie. Wydawało się nieprawdopodobieństwem, by jeszcze kiedykolwiek miała zobaczyć tego człowieka, mimo iż sprawiał takie wrażenie, jakby wcześniej już kilka razy był w Highmoor. Nierozsądnie byłoby jednak oczekiwać, że przypadkiem przyjedzie tam kiedyś akurat w tym samym czasie co ona. A spotkanie w innym miejscu właściwie nie wchodziło w grę.

Wszystko wskazywało więc na to, że ich dzisiejsze popołudnie będzie definitywnie ostatnie. Nie mogła zaproponować panu Wade'owi nawet korespondencji, mimo iż byli przyjaciółmi. Bądź co bądź, oboje pozostawali w stanie wolnym, a przy tym nie łączyło ich pokrewieństwo. Stanowczo nie mogli korespondować. Pewne rzeczy były zbyt niestosowne, by w ogóle brać je pod uwagę.

Wyszła z domu na długo przed umówioną godziną. Mimo to pędziła ku swemu przeznaczeniu tak, jakby była spóźniona. Nogi ją niosły, lecz serce miała ciężkie. Nie chciała, by ta przyjaźń się skończyła. Nienawidziła myśli, że musi się skończyć wyłącznie z powodu konwenansów, które są bardzo niechętne wszelkim związkom mężczyzny z kobietą nie prowadzącym ich prosto do ołtarza. Strasznie to było głupie.

Nie miała najmniejszej ochoty iść do ołtarza z panem Wade'em. Ale bardzo, bardzo chciała, żeby pozostał jej przyjacielem. Przez chwilę próbowała dociec, dlaczego tak jest.

Na umówione miejsce dotarła o wiele za wcześnie. Nie miała zegarka, ale zdawało jej się, że pośpieszyła się przynajmniej o pół godziny. Przed nią było długie oczekiwanie. Nie chciała czekać. Zbyt ceniła sobie to popołudnie. Ich ostatnie wspólne popołudnie.

Gdy jednak ujrzała altankę na szczycie wzgórza, pan Wade podniósł się z kamiennej ławy i stojąc odczekał, aż Samantha do niego podejdzie. Ubrany był tak samo niedbale i niemodnie jak zawsze. Uśmiechał się. Ten uśmiech dał jej więcej ciepła niż słońce.

- Widzi pan? - zawołała. - Doszłam tutaj i jeszcze nie straciłam tchu.

- Moje najszczęśliwsze gratulacje - odrzekł.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Była ubrana od stóp do głów na różowo, z jednym, jedynym wyjątkiem - miała słomkowy kapelusik. Wyglądała jak z obrazka. Miała rumieńce i lśniące oczy. Przez chwilę cieszył się wyobrażeniem, że ta dziewczyna idzie spotkać się z kochankiem... z nim. Cieszył się, choć miał poczucie niedorzeczności tej fantazji.

- Skoro nie straciła pani tchu - powiedział - to naturalnie nie potrzebuje pani ani chwili odpoczynku. Wobec tego pójdziemy od razu nad strumień, dobrze?

- No, no, ale z pana dżentelmen. - Roześmiała się. - Zdemaskował pan moje samochwalstwo. - Minęła go i z ostentacyjnym wychnieniem usiadła na ławie. - Przyszedł pan wcześniej.

- Pani też. Przecież szkoda marnować taką pogodę. - Usiadł obok niej uważając, żeby zostało kilka centymetrów wolnej przestrzeni.

- Ile czasu będzie pan jeszcze w Highmoor? - spytała. - Długo? Czy też wkrótce pan wyjeżdża?

Domyślił się, że pannie Newman zaczyna przeszkadzać niestosowność sytuacji. Może coraz trudniej jej znaleźć rozsądne wymówki dla krewnych. Pyta więc z nadzieją że wkrótce będzie musiał wyjechać. Bo jeśli tak, to nie ma potrzeby ogłaszać końca ich spotkań. Ogarnął go bezbrzeżny smutek.

- Pewnie jeszcze trochę tu posiedzę - powiedział. - Ale...

- Jutro odjeżdżam - wyrzuciła z siebie. Twarz miała zwróconą ku niebu, ale powieki mocno zaciśnięte. - Muszę wrócić do Londynu z ciotką. Jej przyjaciółka miała wypadek, jest przykuta do łóżka. Ciotka chce jej dotrzymać towarzystwa. Wyruszamy wczesnym rankiem.

Poczuł ogarniającą go panikę.

- Niedługo zaczną się w Londynie bale i inne rozrywki - powiedział. - Nie pomyłę cię chyba twierdząc, że będzie pani szczęśliwa z powrotu.

Otworzyła oczy i zaczęła się przyglądać polom i łąkom u stóp wzgórza.

- Owszem - przyznała. - Mam w Londynie wielu przyjaciół i z każdym tygodniem będą ścierać nowi. Tam zawsze jest coś do zrobienia. A tu za tydzień sir Albert i lady Boyle też wyjadą. Jenny i Gabriel na pewno się ucieszą, że znowu mają dom dla siebie, choć są za grzeczni, żeby to powiedzieć, nawet między sobą. Tak, chętnie znów zobaczę Londyn.

Usiłował zapamiętać jej profil: niebieskie oko z długimi rzęsami, prosty, niewielki nos, ślicznie wygięte wargi, lśniące blond loki pod rondkiem kapelusika, bardzo kobiecą choć wcale nie budzącą drożnych myśli krzywiznę górnej części ciała. Zastanawiał się, czy nie grzeszy beznadziejnym marzycielstwem i romantyzmem wierząc, że zawsze będzie pamiętał i kochał pannę

Newman.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. Próbował sobie wmówić, że jest w jej oczach cień smutku.

- Po moim wyjeździe będzie pan mógł bez przeszkód pracować - powiedziała.

- Tak. - Nie chciał myśleć o tym, jak będzie się czuł, gdy panna Newman wyjedzie.

- Naprawdę nie zachowuje się pan jak dżentelmen. - Uśmiechnęła się szerzej. - Powinien mnie pan zapewnić, że wcale nie przeszkadzałam i że będzie mnie panu brakowało.

- Wcale mi pani nie przeszkadzała - powiedział. - Będzie mi pani brakowało.

- Mnie też będzie pana brakowało - odrzekła. Jeśli nawet było coś melancholijnego w jej minie, natychmiast sobie z tym poradziła. - Nigdy przedtem nie spotkałam ogrodnika - pejzażysty. Nawet nie wiedziałam, że ktoś robi takie rzeczy. Zdawało mi się, że po prostu chodzi po dworze ze szpadlem, łopatką, nasionami i zakłada ogrody.

Roześmiał się.

- Myślałam, że altanki same wyrastają z ziemi, i to przypadkiem w najbardziej malowniczych miejscach - ciągnęła. - W swojej naiwności przypuszczałam nawet, że wszystkie jeziora, wodospady i piękne widoki stworzyła natura. Nie miałam pojęcia, że są ludzie, którzy lubią podążać śladem Boga i poprawiać jego błędy.

Roześmiał się ponownie.

- Czyżbym ja to robił? - spytał. - W takiej sytuacji moje szanse rysowałyby się dość marnie, nie sądzi pani? Czy pani zdaniem Bóg może poczuć się obrażony?

Zachichotała razem z nim, ale nie odezwała się, gdy przysła jej kolej. Kiedy przebrzmiał śmiech, znieruchomieli w milczeniu, patrząc na siebie z bardzo bliska. Pierwszy raz wkradło się między nich skrępowanie i odczuli potrzebę, by przerwać milczenie. Samantha odezwała się pierwsza.

- Gdzie są te kaskady? - spytała. Pan Wade poderwał się z ławy.

- Spory kawałek drogi stąd - powiedział. - Mam nadzieję, że pani pantofle są wygodne. - Były wygodne, ale także stanowczo za lekkie jak na wiosenną pogodę, tego popołudnia zrezygnowała bowiem z botków. Hartley pomyślał, że bosa stopa panny Newman zmieściłaby mu się w dłoni.

- Jeśli porobią mi się pęcherze, to mam przed sobą kilka dni w powozie na kurację - powiedziała. - Co za potworna myśl. Nie znoszę długiej podróży powozem. Po przyjeździe na miejsce zawsze czuję się tak, jakby przestawiono mi wszystkie kości, co do jednej. Strach potem spojrzeć w lustro z obawy, że człowiek się nie pozna. - Roześmiała się wesoło.

Przez resztę popołudnia jeszcze dużo razem się śmiali. Rozmawiali przede wszystkim o bagatelach. Było im znów radośnie i dobrze ze sobą. Ale pod powierzchowną wesołością

nieustannie kryło się skrepowanie. Zawsze jest trudno ze świadomością, że coś dobrego się kończy, pomyślał Hartley. Opuszcza wtedy człowieka cała radość, bo wiadomo, że czegoś już więcej nie będzie.

To popołudnie było dla niego jednym wielkim cierpieniem. Pamiętał, jak siedział przy łóżku Dorothei, gdy dożywała swych dni. Koniec przyszedł niewiarygodnie szybko. Była przytomna, słyszała go i mogła nawet parę słów powiedzieć. Tak trudno było wtedy do niej mówić. Krępowała go świadomość, że każde słowo może być ostatnie. A Dorothea dała mu tyle dobra. Chciał powiedzieć jej coś godnego zapamiętania, mimo iż miała przed sobą tak niewiele czasu.

Wreszcie to ona powiedziała coś, co na zawsze wryło mu się w pamięć. Tak mi się udało, szeptała do niego raz po raz w godzinie, która okazała się ostatnia. Pomyślał, że udało jej się, bo umiera, póki jeszcze jest jego utrzymanką, póki się nią nie znużył. Poczul się upokorzony jej oddaniem. I dlatego zdobył się na największe kłamstwo swego życia i nigdy potem go nie żałował. Kocham cię, szepnął.

Rozstania są okropne, rozdzierają serce. Z zachowania Samantha widział, że i ona wcale nie tęskni do tej chwili, ale dla niej naturalnie kończyła się tylko przyjaźń. Będzie żałować, ale nie będzie tak cierpieć, pomyślał. Tego popołudnia miał na barkach dodatkowy ciężar, musiał bowiem ukryć swój ból. Przez trzy dni liczył godziny do spotkania. Teraz liczył minuty nie wiedząc, ile jeszcze ich zostało.

Kaskady bardzo jej się spodobały. Na progach z wody sterczały nagie, poszczerbione skały, a baldachim zieleni i szum wody biegnącej po kamieniach stwarzały wrażenie całkowitego odgrózenia od świata. Na kilka minut ustał śmiech i beztraska rozmowa. Samantha w milczeniu przechadzała się po skalistym brzegu, Hartley przyglądał się jej.

- Duży wodospad nie byłby dobry - powiedziała wreszcie. - To byłoby za dużo, przytłaczałoby. Tutaj najważniejsza jest dzikość natury, nie może być nic, co skupiałoby uwagę w jednym miejscu. Ale gdyby trochę wyraźniej zarysować progi tej kaskady... tak, to byłoby ulepszenie, jeśli w ogóle można coś takiego zrobić. Tu jest pięknie, panie Wade. Bardzo zazdroszczę markizowi Carew jego domu.

Myślał dokładnie o tym samym, kilka następujących po sobie małych wodospadów dawało znacznie lepszy efekt, niż gdyby był tylko jeden wielki. Można było nad nimi stać albo spacerując podziwiać grę światła i cienia.

- Przepraszam - powiedziała po chwili ze skrucą w oczach. - To pan jest specjalistą od krajobrazu. Ja miałam tylko pochwalić albo zganić pański pomysł. Jeśli powie mi pan teraz, że jednak planował pan tutaj wielki wodospad, to spalę się ze wstydu.

- Pani umysł jest nastrojony tak samo jak mój - powiedział. - Zaproponowała pani dokładnie to, co zdawało mi się najlepsze.



Przekrzywiła głowę w charakterystycznym geście, który miał mu się już zawsze z nią kojarzyć. Wykonywała go zawsze, gdy myślała o czymś szczególnie ważnym.

- No, tak - powiedziała. - To dlatego jesteśmy przyjaciółmi. Podobnie myślimy.

- Ale pani nie lubi sopranu.

- Lubię. - Uśmiechnęła się. - Ale wolę tenor. Znow zaczęli się przekomarzać i śmiać. A w duszy smucić.

Hartley miał ochotę zaprosić ją do domu na herbatę. Ale za dużo czasu zajął im spacer. Poza tym zdawało mu się, że tego popołudnia siedzenie w pokoju, przy herbacie, byłoby dla nich krępujące. Zastanawiał się też nad pójściem z panną Newman do altanki nad jeziorem, o której wspomniał poprzednio. Ale było za późno. Poza tym również siedzenie w takim spokojnym, odludnym miejscu groziło atmosferą skrępowania. Nie sądził, by tego dnia mogli czuć się swobodnie siedząc w milczeniu.

- Czas na mnie - powiedziała cicho, znow posmutniawszy.

- To prawda. Krewni będą się zastanawiać, gdzie pani jest.

Powrotna droga do strumienia ciągnęła się bardzo długo. Hartley miał wrażenie, że panna Newman ma ochotę przejść ją jak najszybciej, musiała jednak dostosować się do jego chromania. Wprawdzie mógł zaproponować, tak jak poprzednio ona, by nie szli razem do granicy Highmoor, ale tego nie zrobił. Nie mógł pozwolić, by odeszła wcześniej, niż było to nieuniknione, choć przez ostatnie minuty okropnie cierpiał.

Szli w milczeniu. Światło załamywało się w kroplach wody rozpryskującej się nad korytem strumienia. Między drzewami na drugim brzegu Hartley dostrzegł pąki narcyzów. Były już nabrzmiałe, bliskie kwitnienia.

- Dziękuję za te popołudnia - powiedziała oficjalnie Samantha, odwracając się do pana Wade'a. - Były bardzo przyjemne.

- A ja dziękuję pani. - Lekko skłonił głowę. - Mam nadzieję, że dojedzie pani do Londynu bez kłopotów. I będzie się tam dobrze bawić w towarzystwie.

- Dziękuję - odparła. - Mam nadzieję, że markiz Carew zaakceptuje ulepszenia, które pan zaplanował.

Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił ten uśmiech.

- No, tak - powiedziała energicznie. - Do widzenia, panie Wade.

- Do widzenia, panno Newman. - Spodziewał się, że wyciągnie do niego dłoń, ale się omylił. Może dotyk mojej prawej ręki jest dla niej zbyt przykry, pomyślał, choć w rzeczywistości nie wierzył, że to właśnie jest przyczyną.

Panna Newman odwróciła się i zaczęła pokonywać bród. Na jednym z kamieni trochę się pośliznęła i na moment podciągnęła wtedy spódnice, tak że zobaczył zgrabne kostki. Czekał na

ostatnią chwilę pożegnania, przygotował już na nią uśmiech i lewą rękę, by jeszcze pannie Newman pomachać. Nie odwróciła się jednak. W chwilę później znikła między drzewami.

Poczuł się tak, jakby odebrano mu coś bezcennego. Coś absolutnie niezastąpionego. Został z wrażeniem pustki, paniki i bólu, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał, nawet w ciągu roku po „wypadku”, gdy był sześciolatkiem. Ten ból nie był fizyczny i Hartley zupełnie nie wiedział, jak się z niego wyleczyć. I czy można się wyleczyć.

Trzy razy musiał przełknąć ślinę, żeby stłumić dziwny, bulgotliwy dźwięk, dobywający mu się z krtani. Zawrócił i znużonym krokiem powlókł się do Highmoor Abbey.

Samantha wyściskała dzieciaki i zostawiła je w pokoju zabaw z opiekunką. Potem wyściskała Rosalie, chociaż Albert ostrzegł ją żeby była ostrożna i nie udusiła mu dziedzica, za co zresztą został skarcony wymownym spojrzeniem przez pąsowiejącą żonę. Z Albertem Samantha wymieniła uścisk dłoni, a potem powtórzyła ceremonię z Gabrielem i podstawiła mu do całusów oba policzki. Gabriel przez chwilę przytrzymał jej dłoń i powiedział, żeby odwiedziła ich, gdy tylko orszak jej na to pozwoli. Może mieszkać w Chalcote tak długo, jak zechce.

- Jesteś dla Jennifer jak siostra - powiedział. - Pamiętaj, żebyś jej nie zaniedbała. Niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy, że się narzucasz i wykorzystujesz naszą gościnność.

- Dziękuję - szepnęła i mocno uściśnęła mu dłoń. Nienawidziła pożegnań. Absolutnie nienawidziła.

A potem, już przy samym powozie, patrzyła, jak Jenny całuje ciotkę Aggy, a Gabriel pomaga starszej pani dostać się do środka. Wreszcie Samantha sama uściskała Jenny.

- Cudownie mi było u was - powiedziała. - Dziękuję, za gościnę. Żałuję, że w sezonie nie przyjeździecie do Londynu. Wieki nie będziemy się widzieć.

- Zdaje mi się - szepnęła kuzynka - a właściwie to wiem na pewno, że mam tej wiosny ważny powód, żeby trzymać się z dala od miejskiego gwaru. Trzymaj za mnie kciuki.

- Cóż tak szepczesz, kochanie? Zwierzasz sekrety? - spytał Gabriel, obrzucając żonę surowym spojrzeniem. - Czy ona ci opowiada, Samantho, że zamierzamy zwiększyć przyrost naturalny na świecie?

Roześmiał się i oboje się zarumienili.

- Pozwól, proszę. - Gabriel pomógł Samancie wsiąść do powozu.

Wnet znalazła się obok ciotki Aggy, która ocierała oczy chusteczką i usilnie starała się nie pochlipywać. Samantha pocieszająco poklepała ciotkę po kolanie.

Powóz ruszył. Obie wychyliły się przez okno, żeby jeszcze pomachać miłym gospodarzom. Stali przytuleni, Gabriel obejmował żonę w talii. Albert i Rosalie stali na progu, trzymając się za ręce. Czasem Samancie trudno było zrozumieć, dlaczego darzy miłość i małżeństwo taką nieufnością. Ale prawdę mówiąc, widziała znacznie więcej par małżeńskich odnoszących się do

siebie obojętnie albo nawet z otwartą wrogością niż związków, w których króluje uczucie. Z własnych przeżyć wiedziała zaś, że miłość jest wyjątkowo przykrym doświadczeniem.

Wygodnie rozparła się na siedzeniu i zamknęła oczy. Odetchnęła wolno i głęboko. Nie zносиła pożegnań, nawet na krótko.

- No, to już po wszystkim - powiedziała z ożywieniem ciotka, dość głośno wydmuchując nos. Odłożyła chusteczkę do torebki. - Zawsze, gdy już się pożegnam i kawałek odjadę, wpadam w wyborny nastrój. Muszę powiedzieć, kochanie, że bardzo nam się udał ten pobyt. Szkoda tylko, że poznałaś tak mało kawalerów.

Ciotka Agatha niezmiennie wyznawała pogląd, że już wkrótce w życiu młodej kuzynki pojawi się książę i porwie ją w baśniową rzeczywistość.

- Bardzo mi było przyjemnie przez ten tydzień, kiedy przyjechał Francis - powiedziała Samantha. - Zawsze świetnie się bawię w jego towarzystwie.

- On cię uwielbia - powiedziała ciotka. - Ale mnie się nie podoba pomysł, żebyś wychodziła za mąż za mężczyznę, który ma słabość do lawendowych fraków.

Samantha wybuchnęła śmiechem.

- Wielka szkoda - ciągnęła ciotka - że znowu nie było w domu markiza Carew. Jest kawalerem, w dodatku zamożnym, tak przynajmniej słyszałam. Ale nie miałam dotąd okazji poznać go osobiście. To dziwne, prawda? Chyba musi stronić od towarzystwa. Tyle że gdyby tak było, często siedziałyby w domu, a bardzo trudno go zastać.

- Może jest niesamowicie przystojny - podsunęła Samantha. - I gdybym go poznała, natychmiast zakochałabym się w nim do szaleństwa, i to z wzajemnością. W miesiąc później już stalibyśmy na ślubnym kobiercu. - Zawsze lubiła pokpiwać sobie z ciotki, która miała nie za wiele poczucia humoru, zwłaszcza że przeważnie nie potrafiła zauważyć, kiedy ktoś żartuje.

- No cóż, kochanie. Muszę wyznać, że nie ustaję w nadziei, odkąd po ślubie Jennifer z lordem Thornhill przyjechałyśmy pierwszy raz do Chalcote i zobaczyłyśmy, że ta posiadłość graniczy z Highmoor. Może następnym razem. Aczkolwiek nie wykluczam, że zanim znów odwiedzimy Chalcote, znajdziesz swojego wymarzonego kawalera. W Londynie co sezon widać nowe twarze.

Mijały właśnie imponującą kamienną bramę Highmoor. Za nią, słabo widoczny, stał domek stróża. A jakieś dwa kilometry dalej było Highmoor Abbey. Jeszcze sporo dalej rosły drzewa i płynął strumień z kaskadami. A po prawej stronie wznosiły się wzgórza z jeziorem i znowu płynął strumień, wyznaczający granicę między Highmoor i Chalcote.

Samantha czuła w sercu ból, który zagnieździł się tam już poprzedniego popołudnia, Intrygowało ją to doznanie. Owszem, znała jego przyczynę. Ale ból i żal, który mu towarzyszył, wydawały jej się stanowczo za silne jak na okoliczności.

Te popołudnia były cudowne, wszystkie cztery. Niekonwencjonalne, beztrioskie popołudnia z pokrewną duszą. Pan Wade nie był przystojny ani pociągający pod innym względem, w każdym razie fizycznie. Nie dostrzegła nic, co pomogłoby wyjaśnić to dziwne przygnębienie, w jakie zapadła uświadomiwszy sobie, że nigdy więcej go nie zobaczy i nigdy więcej nie spędzą razem czasu.

Wczoraj po przekroczeniu strumienia nie była w stanie nawet się odwrócić, żeby mu pomachać, tak jak robiła to przy poprzednich pożegnaniach. To głupie, ale bała się, że wybuchnie płaczem. Teraz żałowała, że mu nie pomachała. Nie spojrzała na niego jeszcze jeden, ostatni raz. „

Nagłym ruchem pochyliła się do przodu i wyjrzała przez okno. Żywopłot prawie natychmiast zakrył widok. Ale nie, nie omyliła się. Przez ułamek sekundy w oddali mignął jej budynek Highmoor Abbey.

Po chwili rozległ się jej niepohamowany szloch. Przygryzła górną wargę, aż pokazały się na niej kropelki krwi, ale nie była w stanie stłumić bólu, który rozrywał jej krtań, ani powstrzymać łez płynących po policzkach. Miała nadzieję, że ciotka już zasnęła. Było jednak na to o wiele za wcześnie.

- Och, moje biedactwo - powiedziała ciotka, klepiąc ją po plecach tym samym gestem, którym Samantha kilka minut wcześniej klepała ją po kolanie. - Jesteście z Jennifer tak blisko, że aż miło na to popatrzeć. Bardzo ci współczuję, że musiałaś wyjechać. I wszystko przez to, że chciałam dotrzymać towarzystwa drogiej Sophie. No, nic. Odjedziemy trochę od Chalcote, zatrzymamy się na lunch, to poczujesz się lepiej.

- Tak - chlipnęła Samantha. - Wiem o tym. Głupio się zachowuję. - Miała straszne poczucie winy.

Życie w samotności szybko się skończyło. Markiz przestał utrzymywać w tajemnicy swój powrót. Zaczęli się zjeżdżać goście. Pierwszy, zgodnie z oczekiwaniami, zawitał lord Thornhill, w towarzystwie przyjaciela, sir Alberta Boyle'a. Thornhill z markizem zdążyli się całkiem nieźle zaprzyjaźnić, choć w dzieciństwie różnica wieku między nimi była zbyt duża, chętnie bawili się razem.

Markiz dostał zaproszenie do Chalcote na następny wieczór, na obiad. Bardzo przyjemnie spędził czas w towarzystwie życzliwych gospodarzy oraz ich przyjaciół.

Z rozbawieniem przyglądał się, jak z oczu wyjątkowo nieśmiałej lady Boyle szybko znika trwoga, gdy po prezentacji przekonała się, że mimo olśniewającego tytułu markiz Carew wcale nie jest groźny ani imponujący z wyglądu. Postanowił pomóc Rosalie, żeby poczuła się swobodniej, znalazł więc temat, który rozwiązał jej język i całkiem ją odprężył. Nim wieczór dobiegł końca, miał wrażenie, że zna dzieci Rosalie nie gorzej niż reszta obecnych, chociaż na oczy ich nie widział. Domyślał się, że trzecie dziecko, które było już wyraźnie widoczne mimo luźnych fałd

sukni lady Boyle, nie będzie stanowić dla niej ciężaru.

- Szkoda, że nie wrócił pan do domu dwa dni wcześniej, milordzie - powiedziała lady Thornhill. - Właśnie wyjechała do Londynu moja ciotka z kuzynką. A mieszkały tutaj trzy miesiące. Szkoda, że nie miał pan okazji ich poznać.

- Panna Newman jest obdarzona i młodością, i urodą - stwierdził rozweselony hrabia Thornhill. - Zdaje mi się, Carew, że moja żona ma skłonności do swatania.

- Ach, ty wstręciuchu! - wykrzyknęła jego żona, zmieszana. - Wcale nie mam takich skłonności, milordzie. Myślałam tylko, że obu stronom byłoby przyjemnie, gdyby miały okazję zawrzeć znajomość. Przestań do mnie szczyrzyć zęby, Gabrieliu, bo się rumienię.

Markiz zawsze lubił Thornhillów jako parę. Niewątpliwie byli grzeczni i dobrze wychowani, ale w ich odnoszeniu się do siebie często zauważał przejawy swobody i głębokiego uczucia.

- Gabriel chce powiedzieć, że Jennifer jest bardzo blisko ze swą kuzynką i niczego nie pragnęłaby bardziej niż mieć ją za sąsiadkę - wyjaśnił sir Albert.

- No, wiesz! - zaperzyła się hrabina. - To przechodzi wszelkie wyobrażenie. To jest haniebne! Teraz już na pewno się rumienię. Co pan sobie o nas pomyśli, milordzie?

Roześmiał się.

- Zaczynam żałować, że nie dane mi było spojrzeć na ten chodzący ideał. Niestety, znowu się spóźniłem. Taki mój los. Lady Boyle, czy powietrze Yorkshire dobrze służy pani dzieciom? My tutaj śmiejemy się, że będziemy je butelkować i wysyłać na południe dla zysku. - Udało mu się zmienić temat.

Byli też inni goście i inne zaproszenia. U Ogdenów akurat składała wizytę siostrzenica, toteż gospodarze żywili wielkie nadzieje, mogąc przedstawić jej markiza Carew, który przyszedł do nich na obiad. Ale gdy dziewczyna przestąpiła próg pokoju i zobaczyła jego dłoń odzianą w rękawiczkę, na jej twarzy odmalowało się tak głębokie przerażenie, że markiz nie kłopotał jej konwersacją w czasie wieczoru. Ograniczył się do grzecznościowej wymiany kilku zdań. Gospodarze przeżyli więc ciężki zawód.

Markiz przebywał teraz bez towarzystwa dużo rzadziej niż zaraz po przyjeździe. Gdyby chciał, mógłby w ogóle zapomnieć o samotności. Ód okolicznych posiadaczy ziemskich dostawał mnóstwo najrozmaitszych zaproszeń zarówno na rozrywki w ciągu dnia, jak i bardziej oficjalne wizyty wieczorem. Markiz zawsze jednak lubił spędzać dużo czasu w odosobnieniu.

Większą część dni bez deszczu, a niekiedy i deszczowych, spędzał na przechadzkach po parku. Wiele razy był nad jeziorem z nadzieją, że udzieli mu się spokój tego zakątka. Wciąż jednak patrzył w miejsce, gdzie miały stanąć mostek i altanka. I za każdym razem słyszał głos mówiący, że będzie tam schronienie przed deszczem.

Poszedł nad strumień z kaskadami i próbował wniknąć w harmonię tej samotni. Miał przed oczami pannę Newman, która idąc wzdłuż brzegu mówi mu, że powinno tam być raczej kilka małych wodospadów, a nie jeden duży. Widział też, jak panna Newman przechyliła głowę na bok i mówi, że są przyjaciółmi, bo podobnie myślą.

Usiadł na kamiennej ławie na szczycie wzgórza i położył dłoń na miejscu obok. Nie mógł znieść, że jest puste i zimne. Miła samotność raptem stała się dręczącym osamotnieniem.

Poszedł do brodu, który łączył Highmoor z posiadłością hrabiostwa Thornhillów. Popatrzył na żółto kwitnące narcyzy i zaraz wyobraził sobie pannę Newman, znikającą między drzewami w różowej sukni, spencerku i słomkowym kapelusiku. Ale nie odwróciła się. A tak chciał się do niej uśmiechnąć i pomachać jej na pożegnanie. Nie odwróciła się jednak.

Spoczął przy kominku w gabinecie, wpatrując się w puste krzesło po drugiej stronie. Dotkliwie puste. I zaraz usłyszał, jak panna Newman pyta go, co mu się stało, czy to był wypadek, czy też taki się urodził. Przypomniawszy sobie, że nie zdobył się na powiedzenie prawdy. Wyłgał się przed nią tym samym kłamstwem co zawsze. Chociaż gdyby siedziała w gabinecie w tej właśnie chwili, znów chyba nie powiedziałaby jej prawdy.

Nie mógł pracować w gabinecie. Musiał zabrać książki na górę. Doszedł do wniosku, że zaproszenie panny Newman do Highmoor Abbey wcale nie było dobrym pomysłem. Teraz było mu tu smutno.

Rzadko zdarzało mu się pić alkohol, najwyżej odrobinę dla towarzystwa, z gośćmi lub będąc w gościnie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się upił. Ale któregoś wieczoru po wyjeździe panny Newman zalał swoje troski. Siedział w gabinecie, miał pod ręką karafkę brandy i wpatrywał się w puste krzesło naprzeciwko, z każdym łykiem coraz bardziej litując się nad sobą.

Piękna i bestia. Jedyną szansą dla niego, by zyskać choćby cień nadziei na dalszy ciąg tej znajomości, było ujawnić swą tożsamość i liczyć, że zdoła tym wzbudzić zainteresowanie panny Newman wychodzące poza ramy przyjaźni. Ale wtedy zacząłby nią gardzić, i sobą również, bo tworzenie takich sytuacji jest równie godne pogardy, jak ich wykorzystywanie.

Piękna i bestia. Tak uroczej kobiety jeszcze nie widział nawet w marzeniach. Jej piękno przekraczało sferę czysto fizyczną. Miała w sobie słoneczne światło, ciepło, inteligencję i śmiech.

Nie zorientował się, że jest pijany, dopóki nie musiał wstać, by udać się do łóżka. Niespodziewanie znalazł się na czworakach na podłodze, a pokój szaleńczo zawirował. Jakoś udało mu się przyzwać lokaja, który mimo zdumienia pomógł mu wdrapać się na schody i rozebrać. Na dobre jednak poczuł skutki pijaństwa, gdy znalazł się w łóżku. Miał wrażenie, że za chwilę polecą spirala w górę. Kurczowo chwycił za brzegi materaca lewą, a nawet prawą ręką. A potem skompromitował się doszczętnie, nie zdążył bowiem nachylić się nad nocnikiem i zabrudził wymiocinami duży kawał podłogi.

O późnej, bardzo późnej godzinie następnego dnia podjął decyzję. Zwykle trzymał się z dala od Londynu w okresie największego rozkwitu życia towarzyskiego. W tym roku postanowił zrobić wyjątek od tej zasady. Pojedzie do Londynu. Ujrzy pannę Newman jeszcze raz, nawet jeśli ona go nie zobaczy. Nie rozumiał, dlaczego nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Czemu nie miał jeszcze trochę się podręczyć? Ból i tak nie mógł już być gorszy. A początek sezonu towarzyskiego był tuż - tuż. Panny Newman nie było w Chalcote już od miesiąca.

Tak, pomyślał, uszczęśliwiony, że wreszcie nadał kierunek swemu życiu. Nie dbał o to, że najprawdopodobniej kierunek ten okaże się zgubny. Koniecznie chciał jechać do Londynu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miła była wiosna w Londynie. Samantha zawsze bardzo się nią cieszyła. Jej życie przybrało dobrze znany rytm i z każdym tygodniem stawało się coraz bardziej wypełnione. Coraz więcej znajomych i przyjaciół ściągało bowiem na nową sesję parlamentu i sezon atrakcji towarzyskich.

Samantha chodziła do krawcowych na długie posiedzenia z przymiarkami, oglądaniem wykrojów i wyborem materiałów. Szukała po sklepach pantofli, wachlarzy, rękawiczek, czepków i dziesiątków innych rzeczy. Siadywała w bibliotece, odwiedzała galerie, spacerowała i odbywała przejażdżki powozem po parku. Składała i przyjmowała wizyty.

A miała kogo przyjmować - cały swój orszak. Często uśmiechała się, przypominając sobie, że to Gabriel tak nazwał grono jej wielbicieli. Pierwszy zjawił się lord Francis Kneller i powiadomił ją, że po siódmym sezonie, którą to liczbę Samantha pochopnie przy nim wspomniała, panna zyskuje oficjalnie przydomek „starej”, powinna przeto przenieść się na dobre na wieś, zabierając z sobą kufer wielkich białych czepków.

- Lepiej uniknij tej hańby, Samantho - powiedział z rozleniwieniem, obracając w palcach tabakierkę wysadzaną klejnotami, której jednak w końcu nie otworzył. - Weź mnie za męża.

- Rozumiem, że mam wybór między kufrem pełnym czepków i mężem, który nosi różowe i lawendowe fraki. Dobrze mówię, Francis? - spytała, w zamyśleniu przesuwając palcem po policzku. - Bardzo trudno mi się zdecydować. Poważnie przemyślę tę propozycję w trakcie sezonu i dam ci odpowiedź później, zgoda?

- Będzie ci łatwiej wybrać, gdy zobaczysz, że mój nowy frak jest turkusowy. Wiesz, aksamit i do tego srebrna kamizelka z turkusowym haftem. Przewrócisz się z wrażenia.

Roześmiała się i z sympatią poklepała go po ramieniu. Przemknęło jej przez myśl pytanie, jak zareagowałby, gdyby przyjęła oświadczenia. Pewnie byłby głęboko wstrząśnięty. Może nawet przerażony. Grał z nią w tę grę, bo wiedział, że jest bezpieczny. Osobiście Samantha wątpiła, czy Francis kiedykolwiek się ożeni, chyba że ze względu na wywiązanie się z obowiązku wobec rodu. Był zbyt wielkim leniem i pięknoduchem.

- Czekam niecierpliwie - powiedziała.

Jeden za drugim odwiedzali ją także inni kawalerowie, którzy wrócili do Londynu. Pan Wishart przyszedł na herbatę i przyniósł z sobą bukiet polnych kwiatów. Pan Carruthers towarzyszył jej do biblioteki i wydawał się zaskoczony, gdy wyszła stamtąd z dwoma dramatami. Jego doświadczenia kazały mu wierzyć, że damy czytają wyłącznie powieści. Z sir Robinem Talbotem spędziła bardzo przyjemne popołudnie w National Gallery. Odbyli tam ciekawą rozmowę o sztuce. Pan Nicholson wziął ją na przejażdżkę po parku i raz jeszcze się oświadczył, a ona raz jeszcze mu odmówiła. Miała wrażenie, że jest to jedyny z jej adoratorów, który naprawdę chce się z



nią ożenić. Mimo to klęskę zawsze przyjmował z uśmiechem. Być może nie zależało mu na tym małżeństwie aż tak bardzo, bo przecież gdyby tak było, po tylu odmowach powinien mieć złamane serce.

Wszystko to było bardzo przyjemne. Samantha cieszyła się pobylem w Londynie, gwarem i wielością zajęć, krótko mówiąc, powrotem do dobrze znanego świata. Naturalnie sezon towarzyski miał wkrótce rozpocząć się na dobre, co stanowiło dla niej gwarancję, że nie będzie miała ani chwili na rozmyślanie nad tym, czy jest szczęśliwa, czy smutna, pełna werwy czy znużona, radośnie podniecona czy wyczerpana. W sezonie dostawała na każdy dzień więcej zaproszeń, niż doba miała godzin.

Czasami przystawała zamyślona usiłując pochwycić ulotne doznanie. Nigdy jednak jej się to całkiem nie udało. Doznanie nie było przyjemne. Objawiało się tak, jakby opadał jej żołądek albo rozstąpiła się pod nią ziemia, a ona miała zaraz runąć w otwartą czeluść. Zawsze jednak udawało jej się wrócić do rzeczywistości, zanim stało się coś złego i zanim zdołała pojąć, skąd wzięło się to doznanie.

Czasem tylko, gdy wczesnym rankiem przechadzała się po parku albo zatrzymała nad stawem i widziała dzieci płaczące się pod nogami matek lub opiekunek, czuła, że to doznanie powraca. Czyżby tęskniła do Michaela i Mary, i nawet do dzieci Rosalie Boyle? Może. Bardzo polubiła te wszystkie maluchy, choć naturalnie sama nie chciała mieć dzieci. Nie chciała skrepowania uczuciowymi więzami. Gdy park był bardziej opustoszały niż zwykle, czuła się w nim jak na wsi. Jak tam, gdzie było wzgórze, jezioro i kaskady. Czyżby tęskniła do Chalcote? Naturalnie. To była piękna posiadłość, na dodatek należąca do Gabriela i Jenny, dwojga najdroższych jej ludzi.

Zdarzało się jednak, że przyczyny doznania były znacznie mniej wyraźne. Czasem na przykład nachodziło ją to coś, gdy śmiała się z przyjaciółmi nad jakąś bezsensowną błahostką, bo też z przyjaciółmi, a szczególnie z dżentelmenami, rzadko rozmawiała poważnie. Czasem dopadało ją podczas zakupów, gdy zastanawiała się nad kupnem czegoś zupełnie zbędnego. A czasem odzywało się, gdy przypominała sobie żart Francisa o siedmiu latach i tym, co ją może czekać.

Nigdy nie udało jej się dociec, co wywołuje to dziwne doznanie. Zawsze pojawiała się bez ostrzeżenia i zaraz odchodziło, tak że osoba, która jej towarzyszyła, nawet nie zdążyła zauważyć, że cokolwiek się stało.

Czasem myślała o Highmoor i panu Wade. Nieczęsto. Z jakiegoś powodu, który uporczywie starała się odkryć, nie lubiła wspominać tych popołudni. Wpędzało ją to w przygnębienie. Przeżycie było bardzo przyjemne, pan Wade był bardzo przyjemny, i koniec. Te popołudnia nigdy już się nie powtórzą, a ona nigdy więcej go nie zobaczy. Mniejsza z tym. Był to krótki, nic nie znaczący epizod, którego z niejasnych przyczyn nie wspominało jej się przyjemnie. Może polubi te

wspomnienia później, kiedyś w przyszłości.

A jednak, co zakrawało na absurd, nadal miała ochotę wrócić do Highmoor i zmienić jeden, jedyny moment w tych spotkaniach. Pomachać na pożegnanie. Może gdyby w jej najostatniejszym wspomnieniu pan Wade stał po drugiej stronie strumienia z uniesioną dłonią i twarzą rozjaśnioną szczerym uśmiechem, byłaby w stanie oddalić od siebie całość tych wspomnień. Może nie byłaby wtedy wytracona z równowagi za każdym razem, gdy do niej wracały.

Wyglądało na to, że przyjaźń jest nie dla niej, zupełnie tak samo jak miłość. Samantha bała się, że oznacza to, iż jest osobą bardzo płytką.

Bal u lady Rochester wszyscy zgodnie uważali za najważniejsze wydarzenie pierwszych dni sezonu. Miał się tam pojawić nieprzebrany tłum ludzi, co stanowiło gwarancję olśniewającego sukcesu. Samantha czekała na ten bal z dużą niecierpliwością. Chwile, gdy wir towarzyski zaczynał się znowu kręcić, zawsze były podniecające. Może pokaże się ktoś nowy... Następnego modnego adoratora Samantha właściwie nie potrzebowała. Tyle że czasami jej zainteresowanie tą grą słabło i wtedy natychmiast ogarniały ją wyrzuty sumienia. Niektóre panny z towarzystwa dałyby połowę swojego majątku za choćby jednego lub dwóch dżentelmenów spośród tych, którzy zalecali się do Samantha.

Hyde Park zapełniał się popołudniami w porze dyktowanej przez modę. A piękna pogoda, którą los zesłał w tym roku, ściągała tam wszystkich. Chyba największy tłum zgromadził się w parku w przeddzień balu u lady Rochester. Samantha jechała u boku pana Nicholsona w jego nowej dwukółce, kręcąc nad głową nowiutką parasolką i obdarzając wszystkich spotykanych ludzi szczerym, radosnym uśmiechem. To dobrze, że nikt nie liczy tu w istocie na przejażdżkę, pomyślała. Konie i powozy tworzyły bowiem zator w alejkach, a większość obecnych zamierzała raczej trochę popatrzeć i pokonwersować, niż rozruszać konie.

Samantha wdawała się w rozmowy z wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi, do których mogła się dostatecznie zbliżyć, a pozostałym, stojącym zbyt daleko, machała ręką.

- Jak tu miło - powiedziała do pana Nicholsona w krótkiej chwili wytchnienia, gdy jedni znajomi właśnie przesunęli się dalej, a drudzy jeszcze nie zatrzymali się obok ich dwukółki. - Tak się cieszę, że znowu zaczyna się sezon.

Czy pani zna hrabiego Rushford? Jeszcze jakiś rok temu był wicehrabią Kersey.

Samantha czuła się nieco oszołomiona. Zawsze się zastanawiała, jak to będzie, gdy znów go zobaczy. Towarzyszył temu nieodmiennie dreszczyk lęku. Miała nadzieję, że hańba, jaka otaczała wyjazd wicehrabiego Kersey z Anglii, zatrzyma go z dala od Londynu przez resztę życia. A jednak wrócił. I zobaczyła go znowu. Czuła się tym... oszołomiona.

- To kuzynka panny Newman, obecna lady Thornhill, była przedmiotem tego skandalu - powiedział cicho lord Francis tonem, z którego całkiem znikły znużenie życiem i cynizm. - Jestem

pewien, że pana Newman nie życzy sobie, żeby przypominać jej o tym człowieku, Ted. Popatrz, czy nie sądzisz, że na przyozdobienie czepka panny Tweedsmuir ścięto wszystkie kwiaty w ogrodzie? Chyba że to był wyjątkowo duży ogród. W takim przypadku wystarczyłoby ogołocić jeden klomb. Pół tony kwiatów, słowo daję.

- Ten czepk jest bardzo modny, Francis - powiedziała Samantha, znów kręcąc parasolką. - Bez wątplenia stanowi przedmiot zawiści połowy pań obecnych w parku. Zresztą panna Tweedsmuir przyciąga w ten sposób uwagę, a czegoż więcej może sobie życzyć dama? - Była Francisowi bardzo wdzięczna za zmianę tematu.

- To jest jawna nieuczciwość - powiedział, znowu przybierając pozę znudzonego światowca. - Jak można przyciągać spojrzenia czepkiem, a nie twarzą? Szkoda, że ona nie może tego nosić w salach balowych.

- Francis - upomniała go ostro Samantha. - Jesteś bardzo nieuprzejmy.

- Nie wobec ciebie, moja droga - odparł. - Choć mam zastrzeżenia do tej żółtej sukni, która zaćmiewa słońce... zwłaszcza wtedy, gdy spojrzysz na twarz i postać damy ubranej w tę suknię.

Przez dłuższą chwilę lord Francis obsypywał Sannthę szczodrymi komplementami, tymczasem lord Hawthorne przyglądał mu się zawistnie, a pan Nicholson ze zniecierpliwieniem wyczekiwał momentu, gdy będzie można odjechać. Wreszcie dwukółka rzeczywiście ruszyła, lecz zaraz przystanąła, gdy lady Penniford i lord Danton przystanęli w swej kolasce, by zapytać Sannthę o zdrowie ciotki i jej przyjaciółki.

Sanntha uważała, by więcej nie rozglądać się dookoła. Bała się. Tylko dzięki doświadczeniu i wprawie zdołała zachować uśmiech na twarzy i nadal mogła niefrasobliwie konwersować. Za nic jednak nie chciała pokazać panu Nicholsonowi ani spotykanym ludziom, że wszystko w niej kipi.

Wróciła do domu pół godziny później, chociaż zdawało jej się, że trwało to co najmniej dziesięć razy dłużej. Lekkim krokiem wbiegła po schodach na górę i z ulgą stwierdziła, że w salonie nie ma nikogo. Z jeszcze większą ulgą przyjęła fakt, że ciotka nie odpowiada na pukanie do drzwi jej pokoju, udała się więc do siebie. Ciotka Aggy musiała być jeszcze u lady Sophii, która w pełnym tego słowa znaczeniu rozkoszowała się swym inwalidztwem, jako że przyjechało już mnóstwo kum i przyjaciółek mogących ją odwiedzać i dotrzymywać jej towarzystwa.

W garderobie Samantha strzepnęła z nóg pantofle i cisnęła kapelusik w stronę najbliższego krzesła. Zsunęła z rąk rękawiczki i wysłała je drogą powietrzną śladem kapelusika. Potem wpadła do sypialni i rzuciwszy się na łóżko, wtuliła twarz w narzutę.

Wrócił. Kurczowo zacisnęła obie dłonie na narzucie. Znowu go widziała. I on też ją widział. Poznała to po nim. Nie był ani trochę spłoszony. Patrzył na nią z uznaniem. Dostatecznie dużo razy miała okazję widzieć podziw w oczach mężczyzn, by nie mieć co do tego wątpliwości. Jak on śmiał

zachować się tak po tym, co się stało?

Był zaręczony z Jenny, która była nim absolutnie upojona. Zaręczyny po pięciu latach miłości i nieoficjalnie podjętych zobowiązań powitała z uniesieniem. Samantha nieszczerze lubiła tego człowieka. Zawsze uważała, że zza jego niezaprzeczalnie atrakcyjnej powierzchowności bije chłód. Tak było do chwili, gdy na jakimś balu zaprosił ją do tańca i wyprowadził do ogrodu, prawdopodobnie ze złości na Jenny, która bawiła się przez poprzednie pół godziny z lordem Thornhill. A w ogrodzie ją pocałował.

Miała wtedy osiemnaście lat. Był to jej pierwszy pocałunek. On zaś wydał się niedoświadczonej pannie najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Jedno z drugim stworzyło nieodpartą pokusę. Samantha zakochała się w tym człowieku w jednej chwili. Potem przysporzyło jej to tylko bólu. On twierdził bowiem z tragicznym patosem, że ją kocha, ale ma obowiązek poślubić Jenny. Samanthę dręczyły też wyrzuty sumienia, bo Jenny bardzo kochała tego mężczyznę i była szczęśliwa marząc o ich wspólnej przyszłości. Na domiar złego on z kolei zaproponował Samancie, żeby spróbowała doprowadzić do zerwania zaręczyn, bo jemu nie pozwala na to honor.

Była wtedy taka naiwna. Jakoś stłumiła niepokój, który budziła w niej myśl, że nie jest zbyt honorowo proponować, by kobieta, którą ponoć się kocha, sama spowodowała zerwanie zaręczyn swojej kuzynki a zarazem najlepszej przyjaciółki. Była beznadziejnie zakochana, na szczęście jednak przynajmniej mu odmówiła. Musiał zrobić to inaczej. Spreparował więc list kompromitujący Gabriela i sprawił, że odczytano go publicznie w sali balowej pełnej ludzi. Naraził tym Jenny na wielką niesławę i zmusił Gabriela do małżeństwa, na które oboje nie mieli wówczas najmniejszej ochoty.

Naturalnie Samantha - biedna, naiwna panienka - nie zdawała sobie sprawy z intrygi i przez cały czas sądziła, że ten człowiek jej się oświadczy. Zaaranżowała z nim krótkie spotkanie w sieni przed kolejną salą balową. Roześmiał jej się w twarz i oznajmił, że musiała źle zrozumieć słowa, będące z jego strony zwykłą galanterią. Miał czelność spojrzeć na nią z pełnym współczucia rozbawieniem.

Wtedy widziała go ostatni raz. Jego ojciec wkrótce dociekł prawdy. Zmusił syna do publicznego wyznania oszustwa, żeby oczyścić dobre imię Jenny. A potem wysłał go za granicę.

Od tamtej pory Samantha nienawidziła wicehrabiego Kersey. Nienawidziła go za ohydny postępek wobec Jenny, za zmarnowanie jej pierwszego sezonu towarzyskiego w Londynie, za igranie uczuciami niewinnej i naiwnej panny, wreszcie za upokorzenie, jakie przez niego przeżyła. Nienawidziła go tak, jak nienawidzi się na wskroś złego człowieka.

Wiedziała jednak, że nienawiść od miłości dzieli jedynie cienka linia. Przez sześć lat nienawidziła wicehrabiego Kersey i żyła w lęku, ukrytym gdzieś głęboko, że może wciąż jeszcze go kocha. Przez sześć lat nie ustawała w nadziei, że nigdy nie będzie miała okazji sprawdzić swoich

uczuc, że ten człowiek nigdy więcej nie wróci do Anglii. Przez sześć lat nie ufała miłości, chociaż widziała dookoła siebie znaki, że to uczucie może dać szczęście. Jenny i Gabriel kochali się i byli szczęśliwi. Rosalie i Albert też się kochali i też byli szczęśliwi. Dla niej jednak miłość była czymś, czego należy się lękać i za wszelką cenę unikać.

A teraz ujrzała go znowu, jaśniejącego i pięknego jak anioł, mimo iż duszę miał diabelską. I od razu jej serce zaczęło wyczyniać różne harce. Spodziewała się jeszcze go spotkać. Było to bardzo prawdopodobne. Gdy spojrzeli na siebie, nie odwrócił oczu w zakłopotaniu, nie uciekł wzrokiem, domyślała się więc, że pewnie również nie będzie unikał spotkania. Czyżby znowu mieli stanąć twarzą w twarz? Czyżby miała się nadarzyć okazja do rozmowy?

Okropnie się bała. Bała się diabła. Bała się, że wciąż jeszcze może mieć nad nią władzę.

Przez moment rozważała powrót do Chalcote. Gabriel zaprosił ją, by przyjechała, kiedy będzie miała ochotę. Może... pomyślała, może pan Wade jeszcze jest w Highmoor. Wiedziała jednak, że nie pojedzie. Nie mogła. Jeśli ten człowiek wrócił do Anglii, prędzej czy później i tak musiała stawić mu czoło. Lepiej wcześniej niż później. Może nie będzie tak źle. Może kiedy spotka go osobiście, przekona się, że ma przed sobą po prostu nie lubianego dżentelmena. Może jeśli zostanie w Londynie, odzyska w końcu wolność. Wiedziała jednak, że słaba to nadzieja.

Warto było przyjechać, tłumaczył sobie, mimo że opuścił Highmoor w porze roku, którą najbardziej lubił tam spędzać. Lubiał być świadkiem siewu na polach, lubiał pracować razem ze swymi ludźmi. W końcu przestali patrzeć na niego koso dlatego, że po pierwsze jest arystokratą i nie powinien brudzić sobie rąk pracą fizyczną a po drugie jest kaleką. Pogodzili się z faktem, że ich pan zachowuje się ekscentrycznie.

Lubił też przyglądać się przygotowywaniu parku do okresu letniej świetności. Dawno już nie zaplanował tylu zmian co tej wiosny, ich przeprowadzenie musiałyby więc zająć całe lato. Może uda się to za rok.

Dawniej spędzał kilka wiosennych miesięcy w Londynie, był bowiem członkiem Izby Lordów. Widok znajomych twarzy, niemal bez wyjątku męskich, i odnowienie dawnych kontaktów sprawiło mu przyjemność. Dwa czy trzy razy odważył się nawet pokazać u White'a, chociaż nigdy nie miał zwyczaju spędzać dni w klubie. Cieszył się za to, że będzie mógł pochodzić do teatru i na koncerty. Chętnie odwiedzał też klub pięściarski Jacksona, żeby trochę potrenować, chociaż ustalenie godzin sparringu z samym właścicielem nastęrczało większe trudności niż dawniej. Miał też okazję poćwiczyć szermierkę. Robił to już od dziesięciu lat, z czystego uporu, odkąd jego ojciec stwierdził, że ta umiejętność jest dla niego na zawsze nieosiągalna, zależała bowiem od zręczności rąk i utrzymywania równowagi. Hartley od urodzenia był praworęczny, więc w lewej ręce nigdy nie osiągnął pełnej sprawności. Jego litery wyglądały z daleka jak nabazgrołone pająki.

Trwał jednak w uporze i czasem zdarzało mu się wygrywać starcia z bardziej

doświadczonymi przeciwnikami. Nigdy z najlepszymi, chociaż jednego z nich zdarzyło mu się kiedyś zaskoczyć niewątpliwym trafieniem. Ale i najlepszym stawiał zaciekły opór. Lubił to. Każde zwycięstwo nad swoją słabością uważał za osobisty triumf.

Uznał więc, że przyjazd do Londynu nie jest zwykłą stratą czasu. Mimo to nie odwiedził Samantha, chociaż przez pierwszy tydzień pobytu rozważał taką możliwość każdego dnia. Mógłby przecież posłać kartę wizytową i złożyć grzecznościową wizytę. Miał nawet karty bez tytułu markiza. A jednak nie zdecydował się pójść.

Widział ją raz, całkiem przypadkiem, na Bond Street. Szła pod ramię z bardzo wysokim, chudawym i szalenie modnie ubranym dżentelmenem. Oboje się śmiali i wyglądali na bardzo zadowolonych. Markiz Carew szybko dał nura do zakładu szewskiego i nagle stwierdził, że serce bije mu jak szalone, a przez głowę przelatują myśli o morderstwie. Samantha go nie widziała. Wrócił do domu z uczuciem, że zachowuje się bardzo głupio.

Zobaczył ją ponownie po paru dniach; wychodziła z biblioteki z innym dżentelmenem, jeszcze przystojniejszym, choć nie tak modnie ubranym jak pierwszy. Także tym razem uśmiechała się i wyglądała tak, jakby w jej wnętrzu świeciło słońce i udzielało światu części swego blasku. Znowu udało mu się zejść jej z drogi, zanim go zauważyła.

Tego wieczoru rozważał powrót do Highmoor. Ale dopiero co odbył długą podróż, a sezon towarzyski nawet się jeszcze nie zaczął. Nie mógł tak stchórzyć.

Jego przyjazd do Londynu zwrócił uwagę. Popłynął strumień zaproszeń, niezbyt obfity, ale ciągły. Zaproszono go między innymi na bal u lady Rochester. Od przyjaciół usłyszał, że będzie to najbardziej gwarne wydarzenie otwarcia sezonu. Zastanawiał się, czy ludzie nie będą zaskoczeni, a nawet wstrząśnięci, jeśli markiz Carew pojawi się na balu. Wiedział jednak, że liczni panowie, a także niektóre damy, chodzą na bale, nie mając najmniejszego zamiaru tańczyć. Zawsze jest przecież do dyspozycji sala do gry w karty oraz salon, gdzie można posiedzieć, coś przekąsić i wymienić najświeższe plotki.

Panna Newman prawie na pewno przyjdzie na ten bal. Gdyby rzeczywiście był wielki ścisk, mógłby popatrzeć na nią, nie będąc widzianym. Mógłby zobaczyć ją w kreacji przygotowanej na elegancki wieczór w towarzystwie i przyjrzeć się, jak tańczy. A sam pozostałby dla niej niewidoczny.

Odrzucił jednak ten pomysł. Co prawda dwa razy schował się przed nią, ale tamte spotkania były przypadkowe. Nie zamierzał jej wtedy zobaczyć. Gdyby poszedł na bal wyłącznie w tym celu i mimo to ukrył się przed nią, byłby zwykłym szpiegiem, podglądaczem, prześladowcą. Nie były to miłe określenia.

Natomiast gdyby poszedł na bal... gdyby... Czyżby poważnie brał pod uwagę taką możliwość? Gdyby poszedł, to tylko z zamiarem pokazania się pannie Newman, przywitania się i

wyjawienia swojej tożsamości. Byłoby to lepsze rozwiązanie niż wizyta w domu lady Brill. Spotkanie trwałoby krócej. Bądź co bądź, nie mógłby zaprosić jej do tańca i w ten sposób zapewnić sobie półgodzinnej konwersacji. Przy tym grunt spotkania byłby bardziej towarzyski. Znakomicie.

Panna Newman powinna wiedzieć, kim jest pan Wade. Być może już go zapomniała, on jednak wciąż miał wyrzuty sumienia z powodu swojego oszustwa.

Gdyby się tego dowiedziała, on zaś nadal by uczestniczył w różnych wydarzeniach towarzyskich sezonu, może mieliby szansę pogłębić przyjaźń. Może od czasu do czasu mógłby ją odwiedzić, wziąć na przejażdżkę, zaprosić do łoża w teatrze. Życie nie musi być tak beznadziejnie ponure, jakie wydawało mu się przez ostatnie półtora miesiąca.

Ale czy to wystarczy, nawet zakładając, że panna Newman będzie chciała ciągnąć tę znajomość? Czy nie lepiej wyrzec się jej zupełnie, niż zadowalać się okazjonalną znajomością?

A jeśli jego wcześniejsze obawy się potwierdzą? Jeśli poznawszy prawdę, panna Newman obudzi w sobie nowy rodzaj zainteresowania jego osobą? Takie obawy były jednak niegodne dżentelmena. Zresztą panna Newman nie zachowałaby się w ten sposób. Musi polegać na dobrej opinii, którą sobie o niej wyrobił.

Tylko jak miał znieść objawy zainteresowania, które okazywała innym mężczyznom, często bardzo przystojnym? Jak poradzić sobie z zazdrością?

Ech, poradzi sobie, przecież jest dojrzałym człowiekiem. Poradzi sobie, bo nie ma innego wyjścia.

Tak, postanowił wreszcie definitywnie w przeddzień balu u lady Rochester, kiedy grono przyjaciół żartem spytało go, czy przyjął zaproszenie. Tak, pójdę. Zobaczę pannę Newman. I sam też się jej pokażę.

- Naturalnie - powiedział do uśmiechniętego lorda Gersona i mocno zainteresowanego księcia Bridgwater. - Za nic nie opuściłbym takiego wydarzenia.

Lord Gerson mocno klepnął księcia po plecach i ryknął śmiechem.

- No, muszę to zobaczyć - powiedział. - Wszystkie mamuśki z córeczkami na wydaniu pospadają z krzesel.

- To fascynujące - powiedział książę, unosząc monokl do oka i bez zmieszania taksując markiza badawczym spojrzeniem. - Można by pomyśleć, że jedna z tych panien na wydaniu ma szczególne nadzieje, przyjacielu.

- To rewelacja. - Lord Gerson nadal radośnie pohukiwał.

- Podjechać po ciebie powozem? - zaproponował książę. - Musimy iść tam razem, we trzech. Wiesz, moralne wsparcie i tak dalej.

- Dobrze - odrzekł markiz, ucinając łeb chłopięcej panice, jaka w nim wybuchła. - Zrób to, Bridge, bardzo cię proszę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ścisk był istotnie olbrzymi. Podjechawszy do Hanover Square, wiedziało się od razu, że bal lady Rochester już odniósł niekwestionowany sukces. Ciotka Aggy z Samantha nie mogły nawet zatrzymać powozu na samym placu, musiały siedzieć w środku i czekać pełne dwadzieścia minut, podczas których pojazd przesuwiał się od czasu do czasu na lepsze miejsce w długiej kolejce. Wkrótce równie długi sznur powozów ciągnął się za nimi.

- Louisa będzie zachwycona - powiedziała lady Brill, bardzo eufemistycznie określając nastrój gospodyni wieczoru. Dla określenia stanu lady Rochester zbyt małym słowem byłaby nawet „ekstaza”.

Samantha stwierdziła, że przyjazdowi na elegancki bal towarzyszy podniecenie, które nigdy nie maleje, nawet jeśli jest się w Londynie podczas sezonu już siódmy raz. Nużące oczekiwanie jedynie wzmoгло jej napięcie przed tym, co miało się zdarzyć, dało czas na nabranie wyrazistości zapierającemu dech w piersiach, przyśpieszającemu bicie serca wyobrażeniu, że ten właśnie wieczór może stać się początkiem czegoś nowego, że kilka najbliższych godzin może odmienić bieg całego życia.

Naturalnie prawie nigdy tak się nie zdarzało. Widziało się te same twarze, rozmawiało z tymi samymi ludźmi, tańczyło za każdym razem z tymi samymi tancerzami. Ale to szczególne podniecenie nigdy całkiem nie zamierało.

We wszystkich oknach domu lady Rochester paliło się jasne światło. Na niskich kamiennych stopniach przed domem i dalej w poprzek chodnika rozłożono dywan, żeby goście wysiadający z powozów mieli złudzenie, że ani na chwilę nie muszą się znaleźć pod gołym niebem. Wszędzie kręcili się lokaje w eleganckich liberjach, dyskretnie wypełniający swe obowiązki. A na wielu mniej lub bardziej eleganckich osobach z towarzystwa, wchodzących do środka, błyszczało tyle bezcennej biżuterii, że każdy natychmiast przestawał się puszyć tym, co sam włożył.

Samantha uśmiechnęła się i wysiadła z powozu. Była w swoim środowisku i czuła się w nim jak ryba w wodzie. Nie mogła jednak zapomnieć o pierwszym balu, na jaki poszła w Londynie. Przeżyła w związku z nim tyle niepokoju, tyle podniecenia, miała tyle nadziei. I była taka niewinna. Pomyślała, że nawet gdyby mogła, nie cofnęłaby się w czasie do tamtej chwili. W sieni u lady Rochester kłębiły się tłumy. Ludzie rozmawiali wyjątkowo głośno i śmiali się wyjątkowo serdecznie. A na schodach ciągnął się długi rząd gości, czekających, aż będą mogli dostać się na górę i przejść do sali balowej. Przez ciżbę przewijały się niezliczone debutantki w obowiązkowych dziewiczo białych sukniach z białymi dodatkami. Największą ekstrawagancją w biżuterii, na jaką sobie pozwalały, był sznur pereł. Wyglądały tak samo jak niegdyś Samantha. Biedule.

- Nie mamy po co iść do garderoby - powiedziała lady Brill, przyjrzawszy się swojej



podopiecznej, jeśli termin ten stosował się nadal do dwudziestoczteroletniej kobiety. - Wyglądasz wspaniale, jak zawsze. Nie pojmuję, jak ty to robisz. Podoba mi się kolor twojej kreacji.

Samancie też się podobał. Narzutka ze srebrzystej koronki mieniła się w świetle świec i rzucała szarawy cień na ciemnozieloną jedwabną suknię pod spodem. Oprócz falbaniastego rąbka suknia z głębokim dekoltem i bez rękawów nie miała żadnych ozdób. Samantha z doświadczenia wiedziała, że piękny materiał i artyzm mistrzyni igły powinny mówić same za siebie. Zawsze unikała też piór na głowie, mimo że były bardzo modne, a ciotka Aggy twierdziła, że przydałyby jej wzrostu. Samantha wołała jednak prostotę wstążki z kwiatami, wplecionej w loki. Tego wieczoru wstążka była srebrna, podobnie jak rękawiczki i pantofelki. A wachlarz szczęśliwym zrzędzeniem losu pasował do ciemnej zieleni sukni.

- Nie należało wysyłać ci zaproszenia, Samantho - rozległ się za jej plecami znajomy, nieco znudzony głos. - Lady Rochester powinna mieć więcej rozsądku. Zaćmisz wszystkie inne damy i doszczętnie zepsujesz im wieczór.

Odwróciła się do mówiącego i uśmiechnęła z rozbawieniem.

- No, no - stwierdziła z uznaniem. - Miałaś rację, Francis. Turkus wygląda wspaniale. Jestem pod wrażeniem.

Wykonał elegancki ukłon.

- A czy wyszłabyś za mąż za człowieka noszącego turkusy? - spytał, ściągając uwagę dostojnej matrony z sześcioma purpurowymi piórami na głowie.

- Stanowczo nie - , odparła Samantha. - Bałabym się, że mnie zaćmi, Francis. Poza tym zawsze mógłbyś wrócić do rózu albo lawendy i czułabym się oszukana. Czy zamierzasz ofiarować nam swe ramię i wspomóc nas na schodach?

- Jak mógłbym oprzeć się pokusie wzbudzenia zawiści reszty obecnych mężczyzn? Z przyjemnością będę paniom towarzyszył - powiedział, podsuwając jedno ramię Samancie, a drugie lady Brill.

Samantha roześmiała się wesoło. Lady Brill cmoknęła i przyjęła podane ramię.

Upłynął jeszcze kwadrans, nim w końcu weszli do sali balowej. Obraz, jaki zastali, niczym się nie wyróżniał. Parkiet był jeszcze pusty, czekał na tancerzy. Ciżba ludzi ustawiła się pod ścianami, zajęta rozmowami, śmiechem i wymianą plotek. Niektórzy, przede wszystkim pary, przechadzali się dookoła, by odszukać znajomych bądź tylko pokazać się i popisać. Orkiestra stroiła instrumenty. Kwietne dekoracje w najrozmaitszych odcieniach bladły przy wspaniałych kreacjach i biżuterii zebranych gości.

Samanthę pochłoneła rozmowa z dwiema przyjaciółkami i gromadzącym się wokół orszakiem znajomych dżentelmenów. Skład orszaku był typowy, chociaż pan Bains przyproceedził z sobą sąsiada ze wsi, wysokiego mężczyznę, który był przystojny, nawet jeśli nie zwracało się

uwagi na wyróżniające go płomiennie rude włosy. Przybysz skłonił głowę przed wszystkimi trzema damami, ale po chwili sprytnych zachodów zaczął rozmowę z Samantha i wpisał jej się do karnetu na późniejszego kadryła.

Może ten sezon przyniesie jakąś nowość, pomyślała. Nowego zalotnika. Czy potrzebowała nowego zalotnika? Nigdy nie wiedziała właściwie, co robić z tymi, którzy już są, oprócz prowokowania ich, flirtowania i dawania im jasno do zrozumienia, że to tylko zabawa, bo ona wcale nie szuka męża. Nigdy nie zamierzała nikomu robić nadziei tylko po to, by potem je zawieść.

Tymczasem ogarniały ją niedobre przeczucia. Może nawet gorzej niż niedobre. Bała się, że na balu będzie Lionel, lord Rushford. Ale nie, wykluczone. Wprawdzie miał dość bezczelności lub odwagi - zależy jak na to patrzeć - by wrócić do Londynu i nawet pokazać się w porze spacerów w Hyde Parku. Ale to była tylko jego sprawa. Bądź co bądź, nikt nigdy nie oskarżył go o przestępstwo. Nikt nie mógł mu zabronić mieszkania w Anglii i poruszania się po jej terenie. Jego ojciec już nie żył, więc sakiewka się otworzyła. Ale z pewnością lord Rushford nie dostanie zaproszenia na żaden bal w dobrym towarzystwie...

„Chodzą słuchy, że go przyjmują” - lord Hawthorne tak powiedział. Ale z pewnością w niewielu domach i raczej prywatnie.

Zresztą nawet jeśli zaproszono go do lady Rochester i nawet jeśli przyjął zaproszenie, z pewnością będzie się trzymał z dala od niej. Nie będzie chyba próbował odnawiania kłopotliwej znajomości. Zresztą wczoraj w parku do niej nie podszedł, mimo iż napatrzył się do woli.

Przez cały dzień wmawiała sobie, że nie ma się czym przejmować. A jednak się przejmowała. Wielką ulgę sprawiło jej przeto rozejrzenie się po sali, stwierdziła bowiem, że go z całą pewnością nie ma. Gdyby był, niechybnie by zauważyła tak przystojnego mężczyznę z wyjątkowo jasnymi włosami. Lionela nie można było przegapić nawet w największym tłoku.

Pierwszego kontredansa przetańczyła z sir Robinem Talbotem, który był doświadczonym i zręcznym tancerzem. Bardzo lubiła mieć go za partnera. Taniec był żywiołowy. Zabrakło jej tchu i pod koniec zrobiła się mocno czerwona na twarzy. Przelotnie przypomniała sobie, jak chełpiła się na szczycie wzgórza w Highmoor. Miała być najświeższa ze wszystkich uczestników balu. Oddaliła jednak od siebie tę myśl, zanim jeszcze zdążyła się uśmiechnąć. Poczula bowiem, że śladem myśli zjawilo się znajome uczucie przygnębienia.

W przerwie między tańcami oddała się rozmowie z grupką znajomych, przez cały czas intensywnie poruszając wachlarzem. Śmiała się z lorda Hawthorne'a, z którego nabijał się lord Francis, widząc, że młodszy kuzyn przetańczył pół godziny z wyjątkowo urodziwą debiutantką. Lord Hawthorne rumienił się, kryjąc twarz za niesamowicie wysokimi końcami sztywnego od krochmalu kołnierzyka, i zapewniał Francis, że nie ma zamiaru oświadczać się tej dzierlatce nazajutrz z samego rana. Co za pomysł!

- Chociaż przyznaję, Frank, że ona jest wyjątkowo urodziwa - dodał, wywołując wśród zebranych nowy wybuch śmiechu.

Ktoś lekko dotknął odzianego w rękawiczkę przedramienia Samantha. Odwracając się z uśmiechem, by powitać nowego znajomego, poczuła dłoń Francis, opiekuńczo zamykającą się na drugim jej ramieniu, w okolicy łokcia. Francis zaklął pod nosem.

- A jednak - rozległ się dobrze znany głos. - Wierzyć mi się nie chciało, że po tylu latach jesteś jeszcze bardziej urocza niż wtedy.

Popatrzył na nią z uznaniem, a ona miała wrażenie, że tonie w głębinie tych bładoniebieskich oczu. Nie istniało dla niej właściwie nic poza tym wrażeniem. Zanikły inne dźwięki i obrazy, a wraz z nimi świadomość miejsca, w którym się znajdowała. Były tylko oczy. Tylko on.

- Witaj, Rushford - chłodnym głosem odezwał się Francis. - Zaczny tłok, nie sądzisz? Teraz chyba mój taniec, Samantha.

Lionel! Skłonił głowę, nie odrywając od niej wzroku.

- Witaj, Samantha - powiedział. - Jak się miewasz? Usłyszała kobiecy głos, dość chłodny i opanowany:

- Dziękuję panu, dobrze.

- Widziałem cię wczoraj w parku - powiedział. - Nie mogłem uwierzyć, że to ty. Ale teraz widzę, że tak było. I tak jest.

- Samantha? - Francis odezwał się wyjątkowo oschle. - Pary wychodzą na parkiet.

- Miałeś zatańczyć z panną Crowther - zabrzmiał jej głos.

- A niech to diabli - powiedział Francis, przeprosił damy za niestosowne odezwanie i puściwszy ramię Samantha, odszedł energicznym krokiem.

- Czy wolno mi mieć nadzieję, że jesteś wolna, Samantha? - spytał Lionel, lord Rushford. - Czy zechcesz zaszczyścić mnie tym tańcem?

- Proszę - odpowiedziała. Wciąż patrzyła mu w oczy i nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje wokół, ale mgliście przypomniała sobie, że istotnie nie ma żadnego wpisu w karnecie, choć naturalnie ktoś z jej orszaku powinien porwać ją na parkiet. Podczas balu nie zdarzało się, by musiała przesiedzieć taniec.

Podala mu rękę i odeszła od swojej grupy, zanim nagle świat odzyskał rzeczywisty wymiar. Świat, który zdawał się skupiony na niej. A właściwie na nim. Samantha tego nie widziała, ale sześć lat temu Lionela upokorzono w obecności mnóstwa ludzi. Stary hrabia Rushford, który wcześniej, gdy Jenny była narzeczoną Lionela, publicznie odczytał rzekomy list Gabriela do Jenny, kazał synowi, również publicznie, przyznać się do fałszerstwa i przeprosić. Dopiero potem wysłał go na kontynent.

Teraz w sali balowej Lionel skupił na sobie zafascynowane spojrzenia i wywołał szmerek podniecenia. A ona zgodziła się z nim zatańczyć. Zabrzmiał walc. Że też musiał to być akurat walc! Zastanawiała się, ilu ludzi pamięta, że tamten skandal dotyczył jej kuzynki. Bo przecież wychodząc z Lionelem na parkiet, publicznie go nobilitowała.

- Masz jeszcze więcej uroku niż kiedyś - powiedział, objąwszy ją w tali. - O wiele więcej, Samantho. Jesteś teraz kobietą. Nie mogę oderwać od ciebie oczu.

Czuła dotyk jego dłoni. Czuła żar ciała, chociaż dotykał jej tylko dłońmi. Miała wrażenie, że jest przez niego osaczona. Lionel pozbawił ją powietrza. Uśmiechnęła się z najwyższym trudem.

- Dziękuję - powiedziała krótko. Starła się rozglądać na boki, by umknąć spod jego władzy, ale wszędzie dostrzegła zaintrygowane spojrzenia.

- Wróciłem do domu - oznajmił. - Musiałem wrócić.

- Człowiek zwykle tęskni, jeśli przez kilka lat jest za granicą - zauważyła. - To zupełnie naturalne.

- Tęskniłem - potwierdził, prawie niezauważalnie zwiększając nacisk dłoni na jej plecy. - Ale bardziej do ludzi niż do miejsc. Szczególnie do jednej osoby, którą potraktowałem w niewybaczalny sposób. Nie powinienem był dopuścić do tego, by spadła na nią część mojej niesławy. O tej osobie nie zapomniałem ani na chwilę, Samantho.

Spojrzała mu w oczy wstrząśnięta, na moment nawet przestała się uśmiechać. Jego włosy siwoblond zdawały się jeszcze gęstsze i bardziej lśniące niż zwykle. Dopiero teraz zauważyła, że Lionel ubrał się w błękit, srebro i biel, wygląda więc jak księżę z bajki. Ale słowa, które przed chwilą padły i ich oczywiste znaczenie rozwiały czar, który Lionel rzucił na nią swym niespodziewanym nadejściem. Z zadowoleniem powitała budzącą się w niej furję. Znowu się uśmiechnęła.

- Jakże zaszczycona będzie ta osoba, milordzie - powiedziała. - Naturalnie jeśli jest w stanie panu wybaczyć i jeśli od dawna o panu nie zapomniiała.

Spojrzał na nią prawie ciepło.

- Ojej. - To słowo zabrzmiało prawie jak pieszczota. - Naprawdę dorostaś, Samantho. Miałem nadzieję, że tak się stało. Jesteś zagniewana i niewzruszona, to mnie cieszy. Nie powinnaś mi łatwo wybaczyć.

- A w ogóle powinnam? - spytała z błyskiem w oku.

Odwzajemnił uśmiech, choć w dniach, gdy widywała go w roli narzeczonego Jenny, uśmiechał się rzadko. Poczowała zdradziecki przyływ pożądania. I falę trwogi. Czy zdaniem Lionela jest tak naiwna, że znowu wpadnie w jego sieć? Wiedziała jednak, jaki potrafi być okrutny, nieczuły i egoistyczny. Czyżby traktował ją teraz jak wyzwanie? I czy miał szansę na zwycięstwo? Przeszedł ją zimny dreszcz.

Tańczyli w milczeniu jeszcze przez nieskończenie długie dwadzieścia minut. Lionel wyśmienicie radził sobie z walcem, nie mylił kroku i zręcznie omijał inne tańczące pary. Wciąż wirowali po obwodzie parkietu. Trzymał jej dłoń w pewnym uścisku. Ramiona miał muskularne, wokół niego unosił się dyskretny i niezwykle męski zapach wody kolońskiej. Przypomniała sobie pocałunek, pierwszy w jej życiu, namiętny, wprawny, zniewalający. Lionel był jedynym mężczyzną, który pieścił ją nie tylko wargami, lecz również językiem. Stary uwodziciel. Czy można się dziwić, że zakochała się w nim na zabój, a gdy ją odepchnął, że omal nie pękło jej serce? Była przecież tylko naiwną i niedoświadczoną dziewczyną. Ale to się skończyło.

Tańczyła i uśmiechała się. I starała się myśleć o swoich zalotnikach i przyjaciółkach, o Jenny, o jej upragnionym trzecim dziecku, którego oczekiwała teraz wraz z Gabrielem, i o lady Sophii, której noga po rozpoczęciu sezonu zaczęła się goić w cudownym wręcz tempie - było wszak mnóstwo do zobaczenia i zrobienia poza domem. Próbowała też pomyśleć o Highmoor i widoku ze wzgórza na dwór, psutym przez jedno jedyne drzewo na stoku. Przypomniał jej się pan Wade, ale szybko odepchnęła od siebie jego wyobrażenie, a w każdym razie usiłowała to zrobić.

Przez cały czas jednak ulegała pociągowi do Lionela. Wiedziała, że go nienawidzi i nim pogardza, pogarda obudziła się w niej na nowo po krótkiej wymianie zdań na początku walca. Lecz jednocześnie fascynowało ją, choć i napełniało lękiem, pytanie, jakie wrażenie zrobiłby teraz na niej jego pocałunek. I jak czułaby się w jego objęciach. Była przecież bardziej doświadczona niż wówczas. I jej ciało wiedziało już więcej, choć tylko odrobinę. Jak na kobietę w swoim wieku Samantha tonęła w żalostnej ignorancji. Zastanawiała się... nie, wcale nie. Nad niczym takim się nie zastanawiała. Nie wolno jej było dopuścić do siebie lubieżnych myśli.

Zastanawiała się, czy ten walc wreszcie się skończy. Skończył się, ale w ostatnich minutach Samancie zabrakło tchu, do tego czuła się skrzywdzona, oszołomiona i nieszczęśliwa. Potwornie nieszczęśliwa. Do oczu cisnęły jej się łzy. Lionel odprowadził ją do towarzystwa, skłonił się nad jej dłonią, podziękował za zaszczyt i odszedł. Ciotka Aggy cały ten czas spędziła w sali karcianej, już od dawna nie czuła bowiem potrzeby bycia gorliwą przyzwoitką.

Francis wydawał się półprzytomny z wściekłości, okazał jednak dobre wychowanie i powstrzymał się od komentarzy, które wyraźnie cisnęły mu się na usta. W czasie tamtej katastrofy był przecież dobrym przyjacielem Gabriela. Dopiero później wstąpił do orszaku Samantha, prawdopodobnie tylko dlatego, że można z nią było bezpiecznie flirtować i od czasu do czasu prosić ją o rękę, nie narażając się na zgodę. Tak przynajmniej sądziła Samantha.

- Hrabia Rushford? - odezwała się Helena Cox, robiąc wielkie oczy. - Mnóstwo o nim słyszałam. A ty z nim tańczyłaś, Sam? Mnie tam nie obchodzi, co o nim mówią. - Zachichotała. - Jest wspaniały. - Pan Wishart znacząco odchrząknął i Helena zachichotała ponownie. - Och, pan też - powiedziała. - Naturalnie, że pan też.

- George Wishart Wspaniały - powiedział sir Robin.

- W tym jest znacznie więcej dystynkcji niż w zwykłym „George Wishart”. Musimy podać do wiadomości, że George oficjalnie zmienia nazwisko.

- Sam się o to prosiłeś, Wspaniały - zapiszczał falsetem Francis w odpowiedzi na gorące protesty pana Wisharta.

Samantha nie mogła tego dłużej znieść. W sali zaczynało brakować powietrza, to, które jeszcze zostało, było nieznośnie rozgrzane i naperfumowane. Przyprawiało ją o mdłości. Nie było się gdzie poruszyć. A hałas dosłownie ogłuszał. Samantha bała się, że jeśli postoi tam jeszcze chwilę, to zemdleje albo, co gorsza, zwymiotuje.

- Przepraszam - powiedziała nagle i odwróciła się do wyjścia. Zaczęła przedzierać się przez tłum, niekiedy trafiając na przejście zrobione przez kogoś, kto zauważył jej pośpiech. Raz czy dwa zatrzymała się na chwilę, by odpowiedzieć na pozdrowienia znajomych. Drzwi wydawały się odległe o kilometr.

Wreszcie ich dopadła i wy dostała się na podest schodów, gdzie panował względny chłód. Musiała jednak znów przystanąć, bo ktoś zaszedł jej drogę i nie zamierzał się odsunąć. Spoglądając temu człowiekowi w twarz, nawet nie musiała zadzierać głowy... Nigdy w życiu nie przeżyła jeszcze takiego wybuchu najczystszej szczęścia.

Lord Gerson i księżę Bridgwater spotkali się z entuzjastycznym powitaniem lady Rochester, która jeszcze stała z mężem przy wejściu do sali balowej i pozdrawiała spóźnionych gości. Do markiza Carew uśmiechnęła się z oficjalną uprzejmością. Gdy jednak wymieniono jego nazwisko, wytrzeszczyła oczy i nabrała zainteresowania.

- Tajemniczy markiz - powiedziała. - Witam, witam.

- Popęlniła jednak omyłkę, wyciągnęła bowiem do niego rękę, zamiast poprzestać na dygu. Ukrywając silne wrażenie, zerknęła w dół na chudą, skreconą dłoń w rękawiczce, która zetknęła się z jej dłonią. Markiz nie zobaczył, jak gospodyni zareagowała na jego chromanie, bo śladem przyjaciół wszedł na salę.

Był onieśmielony, co wydawało mu się dość zabawnym uczuciem u dwudziestosiedmioletniego mężczyzny. Jego niezręczność przyciągała uwagę. Przyjaciele chcieli obejść salę i sprawdzić, kogo z obecnych znają, a także wyszukać i ocenić nowe twarze, naturalnie damskie i młode. Markiz jednak wolał postać przy wejściu. Zależało mu tylko na tym, by się rozejrzeć i sprawdzić, czy jest Samantha. Nie był już tak bardzo pewny jak przedtem, że chce się jej przedstawić. Postanowił, że jeśli Samantha jest na sali, nie będzie się przed nią chował, ale jeśli go nie zauważy, poprzestanie na obserwacji. Jeśli w ogóle Samantha jest na sali. Bardzo go złościło, że mógł narazić się na taką mękę całkiem bez powodu.

Przyjaciele postali z nim przez chwilę. Księżę podkpiwał z jego płochliwości, porównując

go do debiutantki dopiero co wypuszczonej ze szkoły. Gersona każda uwaga wprawiała w znakomity nastrój.

- Czy ona tu jest? - spytał ksiązę, bezceremonialnie lustrując przez monokl przelewający się tłum.

- Kto? - spytał markiz. Jeszcze nie miał czasu ani odwagi, by dokładnie przyjrzeć się uczestnikom balu.

- Mam nadzieję, że twoje poświęcenie nie idzie na marne - prowokował dalej ksiązę. - Ładna jest? Młoda? Zgrabna? Palce lizać? I aż się rwie do tytułu markizy?

- Wyśmienite - powiedział lord Gerson. - Musisz nam ją pokazać, Carew. Naprawdę musisz. Ale przegląd obecnych, dokonywany za pomocą monokla, dobiegł końca tak samo nagle, jak się zaczął. Ksiązę wydał wargi i cicho gwizdnął.

- Popatrz na tę - powiedział cicho. - Mówiłem, zdaje się, „ładna, młoda, zgrabna”? I „palce lizać”? A do tego stworzona do łóżka. Taka apetyczna. Osiemnaście lat i ani dnia więcej, jeśli mnie wzrok nie myli.

- Turkaweczka Muira - powiedział lord Gerson, spoglądając w kierunku wskazywanym przez monokl przyjaciela. - Rzeczywiście, najwyżej pół dnia po osiemnastych urodzinach. A wiano ma takie, że byłaby piękna, nawet gdyby wcale nie była.

- Znasz jej ojca? - spytał ksiązę. - Przedstaw mnie, Gerson, bądź przyjacielem. Muszę dokładniej się przyjrzeć. I dotknąć, nawet gdyby to miała być tylko ręka. Co postawiłbyś na to, że karnet tej turkaweczki jest już zapelniony?

Lord Gerson roześmiał się z całego serca i oboje zaczęli powoli zbliżać się do uroczej młodej panny w bieli, która czyniła żalosne wysiłki, by przybrać modną pozę znudzenia wszystkim, co dzieje się dookoła. Markiz uśmiechnął się współczująco.

Ksiązę Bridgwater musiał jednak poczekać na prezentację. Zaraz miał się rozpocząć następny taniec, a z dziewczyną wdał się w rozmowę przystojny młody chłopak. Nie wyprowadził jej jednak na parkiet. Naturalnie, pomyślał markiz, gdy tylko rozległa się muzyka. Grano walca. Nie dla tej panienki. Jako świeżo upieczona debiutantka musiałaby mieć pozwolenie którejś z protektorek salonów Almacka, by zatańczyć coś tak skandalicznego. Może uda jej się pod koniec sezonu. Może dopiero za rok.

Markiz nigdy nie widział walca na parkiecie, chociaż słyszał o tym tańcu. Wydawał mu się szalenie romantyczny: każda para tylko dla siebie, mężczyzna twarzą w twarz z partnerką, mogą na siebie patrzeć i rozmawiać przez pełne pół godziny. Walc istotnie dorównał wspaniałym opowieściom o nim. Markiz przez chwilę zawistnie się przyglądał.

Od jakichś pięciu minut, czyli od wejścia na salę, miał świadomość, że unika wypatrywania Samantha. Nie był całkiem pewien, dlaczego. Czy bał się, że jej tu nie ma? Czy też - przeciwnie -

bał się, że jest?

Koniec końców, nie musiał jej szukać. Sama zawirowała mu przed oczami. Serce markiza podskoczyło. Panna Newman cała się mieniła w zachwycająco prostej sukni, która z pewnej odległości wydawała się srebrzystozielona. Tańczyła z wielkim wdziękiem, uśmiechając się z zadowoleniem.

Przez kilka chwil patrzył na nią z miłością i tęsknotą, po czym zerknął na partnera. Drgnął, wlepił weń oczy i już nie mógł ich oderwać. Dosłownie zmartwiał.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na temat wydarzeń tamtego poranka, gdy miał sześć lat, Carew kłamał niezmiennie i tak często, że prawie przestał mieć świadomość kłamstwa. Nie zwracał już uwagi na to, że wypadek wcale nie był wypadkiem.

Jego ojciec przeżył olbrzymi zawód. Hartley urodził się pięć lat po ślubie rodziców, wyglądało więc na to, że będzie jedynym dzieckiem z tego związku. Ojciec wprawdzie cieszył się z syna, lecz jednocześnie narzekał na jego słabowitość. Dziecko było drobne i chorowite, pieszczołek mamusi, która troszczyła się o niego aż do przesady i zalewała go nadmiarem czułości. Ojciec nazywał go kiedyś płacziwym tchórzem. Hartley miał wtedy pięć lat i wrócił do domu we łzach, bo jakieś wiejskie dzieciaki go przezywały, a on myślał, że chcą go zbić.

Niekiedy ojciec bywał niezadowolony nawet z płci dziecka. Gdyby bowiem Hartley nie zyskał prawa dziedziczenia rodzinnej fortuny, przypadłaby ona starszemu o cztery lata bratu ciotecznemu, Lionelowi, noszącemu wówczas tytuł wicehrabiego Kersey. Był to przystojny, pełen uroku zabijaka, który wkradł się w łaski wuja i dokuczał młodemu kuzynowi, jeśli tylko matka Hartleya nie słyszała.

Hartley go podziwiał, a zarazem czuł przed nim lęk. Najpierw wyczekiwał przyjazdu Lionela do Highmoor, potem nie mógł się doczekać, kiedy kuzyn wyjedzie.

Czasem Lionel umyślnie starał się doprowadzić Hartleya do płaczu, zazwyczaj z powodzeniem. Bolesnie popychał go na drzwi niespodziewaną sójką w bok, wieczorami wyskakiwał na niego z ciemnych kątów, rozlewał mu mleko po stole, gdy opiekunka się odwróciła. Krótko mówiąc, okazywał daleko posuniętą pomysłowość.

Tylko w konnej jeździe Hartley był naprawdę dobry. Nawet ojciec burkliwie przyznawał, że syn prawidłowo dosiada i pewnie prowadzi zwierzę. Hartley uwielbiał galopować na swym kucu po dozwolonych połaciach gruntu, skakał też przez specjalnie w tym celu zbudowane płoty, które łatwo się waliły, jeśli jeździec skoczył nieczysto.

Któregoś ranka jego impulsywna natura dopuściła do głosu próżność i chęć zaimponowania kuzynowi. Lionel sprowokował go do galopu po zabronionej łące, wyjątkowo nierównej i pełnej króliczych nor. Hartley przyjął wyzwanie i obaj zostawili daleko z tyłu lokaja, który im towarzyszył. Zanim zaskoczony opiekun zdołał ich dogonić, znaleźli się na drugim końcu łąki przed niską solidną bramą, z pewnością dostosowaną do możliwości kuca. Hartley mimo wszystko nie zdecydowałby się na skok, gdyby Lionel znów nie rzucił mu wyzwania. Ale Lionel go podpuścił, a wtedy on skoczył.

Przesadziłby bramę bez najmniejszych kłopotów. Nawet chęć zaimponowania nie skłoniłaby go do pośpiechu, w którym zgrzeszyłby niedokładnością. Kłopot w tym, że Lionel zebrał

się do skoku akurat w tej samej chwili. Śmiał się. Już w powietrzu nagle szarpnął ramieniem i dłonią zaciśniętą w pięść uderzył Hartleya w biodro.

Hartley był w połowie skoku. Runął prosto na ogrodzenie. Narobił tym dużej szkody i sobie, i bramie. Kuc jakimś cudem zdołał przeskoczyć przeszkodę i wylądować bezpiecznie po drugiej stronie. Drugi cud polegał na tym, że Hartley wyżył, choć przez wiele następnych miesięcy wcale nie wydawało się to cudem.

Gdy przygalopował lokaj, był przytomny. Sługa spozjrzał na niego z przerażeniem i popędził z powrotem po pomoc. Lionel ukląkł nad kuzynem, popielaty na twarzy, i powtarzał mu w kółko, że to był wypadek, żeby o tym nie zapominał i nie wymyślał przypadkiem historyjek, które zrzucałyby winę na kogo innego. Przecież to on, Hartley, zaproponował i galop, i skok przez bramę. Lionel jedynie go gonił, usiłując powstrzymać.

W pierwszych minutach szoku, który poprzedził tygodnie i miesiące piekielnego bólu, Hartley zapewniał Lionela, że nigdy nikomu nie powie. Nigdy, przenigdy. Nawet w takiej chwili czuł potrzebę pozowania przed kuzynem na szlachetnego.

- Nie masz czego mówić, ty juchowaty szczeniaku - syknął Lionel w odpowiedzi. Nie wiadomo dlaczego, Hartley dobrze wbił sobie te słowa w pamięć. I nigdy nikomu nie powiedział, co się naprawdę stało.

Wydarzenia tamtego dnia miały kilka cennych następstw. Przede wszystkim Hartley przestał podziwiać Lionela, a nawet go lubić. Po drugie wyrobił sobie żelazną wolę, postanowił bowiem za wszelką cenę pokonać swoje okaleczenie. Chociaż matka żyła jeszcze przez cztery lata, nigdy już nie pozwolił jej się tulić ani chronić. Wbrew temu, co powiedział lekarz w jego obecności, wiedział prawie od samego początku, że będzie znowu chodził, używał prawego ramienia i prawej dłoni, że nauczy się nadrabiać ich sztywność, zastępując je częściowo lewą kończyną, że uczyni ze swego ciała tak sprawne narzędzie, jak tylko można.

Nauczył się też lubić siebie, zaakceptował to, kim był.

Bo naturalnie był człowiekiem. Owszem, czasem patrzył zawistnie na innych mężczyzn albo tęsknił do tego, by być kimś, kim nie był. Nie pozwalał jednak, by zawiść albo rozgoryczenie stopniowo go zżerały. Żył dniem dzisiejszym.

Lionel miał wówczas dziesięć lat. Był zwyczajnym dzieckiem. Hartley wybaczył mu, gdy sam miał już sporo więcej i myślał o przeszłości z dystansem. Nigdy nie polubił go z powrotem, wybaczył mu jednak i przyjął po prostu, że ma zimnego, egoistycznego kuzyna.

Potem jednak niechęć znów przybrała na sile. Zachorował ojciec Hartleya. Lekarz sądził nawet przez pewien czas, że choroba prawdopodobnie będzie nieuleczalna. Przyjechał Lionel, wuja z siostrzeńcem zawsze bowiem łączyła silna więź.

Przyjechał Lionel i wdał się w romans z hrabiną Thornhill, młodą macochą obecnego

hrabiego. Hartley, będący wówczas romantycznym młodzieńcem, od kilku już lat podziwiał hrabinę z daleka. Była bardzo piękna, miła i niewiele od niego starsza. Nigdy jednak nie przy - szłoby mu do głowy, by potraktować ją lub choćby pomyśleć o niej z takim brakiem uszanowania.

Lionel został jej kochankiem i wbrew woli Hartleya częstował go ohydnyimi, obrazowymi opisami swoich zabiegów wobec hrabiny i względów, jakie mu za to okazywała. Mówiła, że go kocha, co dla Lionela było wyśmienitym żartem.

Hartley sądził, że Lionel to wszystko zmyśla, lecz gdy hrabina znikła z młodym hrabią historia nabrała cech prawdopodobieństwa. Z pewnością było coś w pogłoskach, że uciekli razem na kontynent, gdyż dama nosiła dziecko swego pasierba. Hartley nie we wszystko jednak uwierzył. Dziecko na pewno było Lionela, który w panice ulotnił się na kilka tygodni przed tym, nim hrabina wyjechała z Gabrielem.

Mieszkała teraz w Szwajcarii z córką i drugim mężem. Z tego drugiego małżeństwa urodziło się chyba więcej dzieci. Kiedyś Hartley spytał Gabriela o macochę i dostał odpowiedź, że jest szczęśliwa. Ucieszył się, bo ją lubił. Naturalnie łatwo było zrozumieć, dlaczego uległa urokowi Lionela. Bez wątpienia był on jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Anglii. Hrabina była o wiele lat młodsza od męża, a stary hrabia dużo chorował. Z wiekiem markiz Carew zrozumiał, że ci dwoje prawdopodobnie nigdy nie prowadzili regularnego małżeńskiego współżycia. Kobieta musiała czuć się samotna.

Jego niechęć do Lionela przekształciła się w coś zbliżonego do nienawiści. Z pewnością była w tym szczerą pogarda. Wkrótce zresztą usłyszał również pogmatwaną historię o starciu Lionela z obecnym hrabią Thornhill po jego powrocie ze Szwajcarii i pozostawieniu tam macochy. W jakiś sposób Lionelowi udało się podsunąć swoją narzeczoną hrabiemu Thornhill i wmanewrować go w małżeństwo. Carew nie sądził jednak, by Lionel osiągnął z tego wielką korzyść. Żona Gabriela uniknęła życia z łajdakiem, a bez względu na początki jej małżeństwa nie ulegało wątpliwości, że teraz wiąże ją z hrabią Thornhill głęboka miłość.

Markiz pomyślał, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby życie oszczędziło mu dalszych kontaktów z Lionelem, obecnym hrabią Rushford.

Samantha Newman tańczyła z Lionelem. Markiz Carew zmartwił. Jedną ręką Lionel podtrzymywał zgrabnie wygięte plecy partnerki, drugą ujmował jej dłoń. Na ramieniu miał z kolei drugą dłoń panny Newman. Nagle walc wydał się markizowi najbardziej obscenicznym tańcem, jaki kiedykolwiek wymyślono.

Pięknie wyglądali ci dwoje razem. Z wrażenia aż zapierało dech w piersiach. Szatan i jego ofiara.

Markiz nie słyszał dotąd o powrocie kuzyna do Anglii. A jednak Lionel był tutaj, roztaczał swoje uroki i wyglądało na to, że z powodzeniem. Panna Newman uśmiechała się i nie rozglądała

na boki jak wielu innych tancerzy. Wydawała się całkiem pochłonięta osobą partnera, mimo że z sobą nie rozmawiali. Ten znak źle wróżył. Czyżby dobrze się znali? Tak dobrze, że nie muszą rozmawiać?

Serce zaciążyło mu jak ołów. Pamiętał, jak razem milczeli w altanie na wzgórzu. A teraz panna Newman była z Lionelem.

Instynkt podpowiedział mu, że trzeba się zabierać z tego miejsca. Wyjść z sali balowej i z domu Rochesterów, wrócić do siebie, do Highmoor, i zapomnieć o panie Newman. Głupio zrobił, że przyjechał za nią jak stęskniony szczeniak.

Nie mógł jednak zrobić ani kroku. Mimo że uwagę skupił na tańczącej parze, zdawał sobie sprawę z zaintrygowanych spojrzeń, jakimi obdarzali go ludzie stojący w pobliżu, z ich porozumiewawczego trącania się łokciami i przyciszonych uwag. Nie chciał odejść, a właściwie odkuśtykać na oczach tych ludzi. Miał zresztą głupie wrażenie, że panna Newman może go potrzebować. Nie mógł zostawić jej sam na sam z Lionelem. Sam na sam z tym draniem i kilkuset innymi ludźmi, pomyślał z ironią.

Nie potrafił jej zostawić. Może nie znała przeszłości Lionela, chociaż była kuzynką lady Thornhill. Może on próbuje ją oczarować. Może panna Newman jest następną kandydatką na wyjazd do Szwajcarii?

Stał więc bez ruchu, nadal zapatrzonej w nią... i w niego. Przez cały czas dręczył się myślą, że może ci dwoje stanowią parę, że może Lionel w wieku trzydziestu jeden lat, osiągnąwszy hrabiowski tytuł, zaczął się rozglądać za żoną. Czy mógłby wybrać kogoś bardziej uroczego niż Samantha Newman?

Pół godziny ciągnęło się bezlitośnie. Przez cały ten czas markiz Carew przeżywał katusze. Kiedy muzyka ucichła, zobaczył, że Lionel odprowadza pannę Newman do grupki młodych ludzi. Markiz poznał wśród nich jedynie lorda Francisa Knellera, którego spotkał kilka razy w Chalcote. Był to przyjaciel hrabiego Thornhill, sympatyczny, choć nieco fircykowaty. Lionel skłonił się nad dłonią Samanthy i odszedł.

Może wcale nie jest tak źle, jak mu się zdawało. Może są tylko znajomymi, którzy zatańczyli razem jeden taniec. Przecież to bal.

Nie miał jednak ochoty zostać dłużej. Nie chciał przyglądać się, jak panna Newman tańczy z innymi dżentelmenami. Nie chciał, żeby go zobaczyła. Rozejrzał się za swoimi przyjaciółmi, ale obaj byli bardzo zajęci. Księżę Bridgwater konwersował w drugim końcu sali z Muirem, którego córka kręciła się w pobliżu. Postanowił opuścić bal bez przyjaciół. Mógł iść do domu piechotą. Nie miał daleko.

Jednak gdy doszedł do drzwi, nie mógł oprzeć się pokusie i jeszcze raz spojrzął za siebie. Panna Newman nie stała już w grupce młodych ludzi. Dość mozolnie przeciskała się ku wyjściu,

rozdzielając po drodze uśmiechy i wymieniając uprzejmości ze znajomymi, których mijala. Zbliżała się w jego stronę, choć nie sądził, by go zauważyła.

Cofnął się o kilka kroków, tak że opuścił salę balową i znalazł się na podeście, przy schodach. Miał zamiar odwrócić się i zrejterować, zanim panna Newman stanie na progu i go dostrzeże, zamiast tego jednak się zatrzymał. Uznał, że nie zaszkodzi, jeśli osobiście ją przywita i odbierze jeszcze jeden przeznaczony dla siebie uśmiech. Ostatni raz. Postanowił nazajutrz wyruszyć z powrotem do Yorkshire. Za nic nie powinien był stamtąd wyjeżdżać.

Odczekał chwilę. Panna Newman wyszła z sali w wyraźnym pośpiechu. Wyglądała na nieco oszołomioną, być może tańcem i tłumem. Nie widziała go, choć dzieliły ich już tylko jakieś dwa metry. Zaszedł jej drogę. Przez chwilę myślał, że go ominie, nie poświęciwszy mu nawet spojrzenia, ale jednak spojrzała. I stanęła jak wryta. Wyraz absolutnego zachwytu, który rozjaśnił jej twarz, sprawił, że Hartleya przestało obchodzić wszystko inne.

- Pan Wade! - Jej głos był pełen zdziwienia, lecz jednocześnie promieniował ciepłem. - Jak wspaniale, że pana widzę. Jestem bardzo szczęśliwa z tego spotkania. - Wyciągnęła do niego obie ręce.

Ujął je; zauważył przy tym, że nie wzdrygnęła się, poczuwszy dotyk jego prawej ręki w jedwabnej rękawiczce. Uświadomił sobie, że głupio szerzy zęby w uśmiechu.

- Dobry wieczór, panno Newman - powiedział.

Nie wierzyła własnym oczom. Co on tu robi? Czyżby znał kogoś, kto jakoś załatwił mu zaproszenie? Był elegancko, choć niemodnie ubrany w brąz, przymglone złoto i biel. Nie miało jednak dla niej znaczenia, w jaki sposób zdarzył się ten cud. Ważne, że się zdarzył. Gdyby chciała, żeby ktoś czekał na nią za drzwiami sali balowej, byłby to właśnie pan Wade. Nie zatrzymała się jednak nad tą myślą.

- Co pan tu robi? - spytała, lecz nie czekała na odpowiedź. - Nawet mi się nie śniło... Jest pan ostatnią osobą... Ależ cudownie. Taka jestem szczęśliwa, że pana znowu widzę.

Była bardzo rozstrojona spotkaniem Lionela. Wszystkie tłumione uczucia wydarły się z niej z wielką siłą, przechodząc w radość z powodu ujżenia najdroższego przyjaciela, którego nie spodziewała się nigdy więcej zobaczyć. W dodatku stało się to w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała.

- Tu jest okropnie gorąco, duszno i tłoczno - powiedziała. - Wyjdzie pan ze mną na chwilę? Pospacerujemy trochę. - Nigdy jeszcze nie miała takiej potrzeby uwolnienia się od dobrego towarzystwa.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, podsuwając jej lewe ramię. Jednocześnie obdarzył ją dobrze znanym spojrzeniem roześmianych oczu i Samantha poczuła, jak ogarnia ją ciepło.

Uświadomiła sobie, że choć w Highmoor przeszli razem wiele kilometrów, pierwszy raz przyjęła ramię pana Wade'a. Jego chromanie i powolny chód rzucały jej się w oczy dużo bardziej niż na wsi. Do drzwi ogrodowych musieli zejść ze schodów. Pan Wade wspierał się o poręcz schodów zewnętrzną częścią nadgarstka prawej ręki.

Zwracał uwagę. Ludzie zerkali za nim ukradkiem i zaraz odwracali wzrok. Kilku dżentelmenów skinęło mu głowami. Samantha spostrzegła, że jeden z nich zaraz potem zaczął coś szeptać żonie do ucha.

Wspierała się na jego lewym ramieniu. Położyła na nim również lewą dłoń, przejęta niezwykle życzliwym, opiekuńczym uczuciem wobec pana Wade'a. W oczach towarzystwa mógł być nikim, ludzie mogli uważać, że to nie jego miejsce, ale dla niej był najdroższym przyjacielem. Niechby tylko ktoś spróbował coś mu powiedzieć. Oj, miałby z nią do czynienia.

Z okazji balu w ogrodzie rozwieszono na drzewach kolorowe latarnie. Także na tarasie paliły się lampiony. Ogród nie był duży, ale bardzo zręcznie urządzone, tak że wyglądał na większy niż w rzeczywistości i ładząco ustronny. Samancie trudno było uwierzyć, że są w środku największego i najbardziej ruchliwego miasta w Anglii, a z tego, co wiedziała, również na świecie. Nawiedzona nagłą myślą roześmiała się.

- Czy przypadkiem ten ogród też pan projektował? - spytała.

- Owszem - przyznał i również się roześmiał. - Ładne parę lat temu, to był jeden z moich pierwszych projektów. Robiłem te plany dla starego pana barona, ojca obecnej głowy rodu Rochesterów. Skończył je urzeczywistniać tuż przed śmiercią.

Samantha znów się roześmiała.

- Powinam była od początku wiedzieć - oświadczyła. - To stąd ma pan zaproszenie. Ale nie wspominał mi pan o zamiarze podróży do Londynu. Brzydko! Czyżby miał pan nadzieję, że go nie spotkam i nigdy się nie dowiem? A ja myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Mówiła to lekkim tonem, ale na sercu czuła wielki ciężar, bała się bowiem, że zgadła.

- Och, dopiero niedawno się dowiedziałem, że mam przyjechać - wyjaśnił. - I miałem szczerą nadzieję, że panią spotkam. Dziś przyszedłem na bal specjalnie, żeby powiedzieć pani „dobry wieczór” i sprawdzić, czy jeszcze mnie pani pamięta.

- Naprawdę? - Dziwnie poruszyło ją to, że pan Wade oderwał się od swoich zajęć w Londynie, jakiegokolwiek były, tylko po to, żeby ją pozdrowić. A przecież nawet jeśli projektował ten ogród, to zatrudnił go nieżyjący już baron. Z pewnością pan Wade musiał sobie zadać wiele trudu, żeby zdobyć zaproszenie na bal. Był wprawdzie dżentelmenem, ale fakt ten wcale nie otwierał mu drzwi do salonów eleganckiego towarzystwa. - Naturalnie, że pana pamiętam. Niewiele miałam w życiu takich miłych chwil jak nasze popołudnia. - Istotnie, gdy wracała pamięcią do wszystkich pikników, wycieczek, ogrodowych przyjęć, to stwierdzała, że nic z tego nie dorównywało tym

czterem popołudniom w Highmoor.

Po ogrodzie przechadzało się niewielu gości. Wieczór nie był zimny, ale też niezbyt ciepły. Samancie wydawał się jednak cudownie odświeżający. Zaczerpnęła pełne płuca rześkiego powietrza i zamknęła oczy. Przystanąła. Skryły ich nisko zwieszona gałęzie buku.

- Nieomal wyobraziłam sobie, że znowu jesteśmy na wsi - powiedziała. - Nigdy nie wracałam do Londynu tak niechętnie, jak tej wiosny.

- Wczesna wiosna w Highmoor była w tym roku wyjątkowo piękna.

Ogarnęła ją fala tęsknoty za tymi popołudniami. Przypomniała jej się też scena w parku z poprzedniego dnia i lęk, jaki ją ogarnął, gdy zobaczyła uznanie w oczach Lionela. Lękała się, że Lionel będzie próbował odnowić znajomość, a ona w jakiś sposób da mu do tego zachętę. Pomyślała też o walcu, tańczonym z nim przed chwilą, i nieprzyzwoitych, uwodzicielskich słowach, które padły z jego ust. I o pożądaniu przemieszonym z trwogą, które się w niej odezwały. Odczuwała je zresztą nadal, pulsowały gdzieś głęboko w jej wnętrzu.

- Tak bardzo mi pana brakowało - usłyszała własne słowa, wypowiedziane wątlym, udreżonym głosem. Natychmiast poczuła zakłopotanie. Bardzo pragnęła znaleźć pocieszenie w czyichś ramionach.

Nie wiedziała potem, czy to pan Wade wyczuł jej pragnienie i na nie odpowiedział, czy też ona sama wykonała pierwszy gest, by je urzeczywistnić. W każdym razie ramiona pana Wade'a znalazły się tam, gdzie ich pragnęła i potrzebowała. Otoczyły ją i przytuliły do zaskakująco twardego i dobrze zbudowanego ciała. Lewe ramię mężczyzny ciasno obejmowało ją w talii.

Oparła mu policzek na ramieniu i również go objęła. Wciągnęła w nozdrza zapach... czego? Nie wody kolońskiej. Mydła. Miły, czysty zapach. Znalazła bezpieczeństwo i pocieszenie. Cudowne pocieszenie. Przytuliła się do niego o wiele mocniej niż do któregośkolwiek z członków swego orszaku, jeśli kiedykolwiek pozwoliła na taką poufałość. Zwykle była o wiele niższa od swojego partnera.

Nie pamiętała potem także tego, co było dalej. Czy to pan Wade poruszył ramieniem, bo chciał, żeby uniosła głowę? Czy też uniosła ją sama? Prawdę powiedziawszy, była skłonna sądzić, że jednak to drugie. W każdym razie żadne z nich nie rozluźniło uścisku ramion. Patrzyli sobie w oczy, dzieleni zaledwie kilkoma centymetrami odległości. Szare oczy pana Wade'a z powagą i sympatią odwzajemniały jej spojrzenie.

- Niech pan mnie pocałuje - szepnęła i wypadło to bardzo kobieco. Była skrepowana własną śmiałością.

Pocałunek pana Wade'a ją zaskoczył. Większość mężczyzn, znanych jej z doświadczenia, całowała z zamkniętymi ustami, jedynie ich naporem dając świadectwo gorącego pragnienia. Ci, którzy odważyli się rozchylić wargi, robili to w jawnie rozpustnym zamiarze i zostali szybko

przywołani do porządku - wszyscy z wyjątkiem Lionela.

Pan Wade całował z otwartymi ustami. Czują ciepło i wilgoć jego warg. Ale całował ją delikatnie, miękko, dziwnie czule. Cudownie. Odpowiedziała tym samym i znalazła odprężające ukojenie, które nagle zaczęło przenikać do jej ciała i duszy.

Pomyślała, że pan Wade jest dla niej bardzo ważny. To wspaniały przyjaciel. Co prawda nie powinni się całować, zwłaszcza całymi ustami, a nie tylko wargami. Przyjaciele się nie całują, w każdym razie nie w ten sposób. Potrzebowała jednak nie tylko jego ramion, lecz i ust, by złagodzić świeży ból po spotkaniu z Lionelem. A pan Wade czuł tę potrzebę i pocieszał ją tak, jak tego pragnęła. Po to są wszak przyjaciele.

Gdy skończył się pocałunek, odwróciła głowę i z powrotem ułożyła policzek na jego ramieniu. Prawą rękę pan Wade trzymał lekko przyciśniętą do jej ciała, lewą masował jej kark. Pomyślała, że ucierpi na tym fryzura, nic jej to jednak nie obchodziło. Westchnęła z zadowoleniem.

- Och, tak bardzo pana kocham - powiedziała. I zdrętwiała. Czy naprawdę to powiedziała? Słyszała jednak echo tych słów tak wyraźnie, jakby rozbrzmiewały w tej właśnie chwili. Co za kompromitacja! Pan Wade będzie ją podejrzewał o płochość.

Wyprostowała się i opuściła ramiona. Co ona wyrabia?! Przytuliła się do niego, całuje go i mówi mu, że go kocha, jakby był jej kochankiem. Spojrzała na niego zmieszana.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Nie zamierzałam... Nie chcę, żeby pan pomyślał...

Ale pan Wade przycisnął jej palec do warg. Oczy mu się śmiały. Pokręcił głową.

- Niepotrzebnie czuje pani zakłopotanie - powiedział tak łagodnie, a zarazem tak trzeźwo, że natychmiast się odprężyła. To też jest dobre w przyjaźni. Można powiedzieć kompletną bzdurę, a przyjaciel i tak to zrozumie. - Lepiej będzie chyba, jeśli odprowadzę panią z powrotem do sali balowej.

Wytrzeszczyła oczy.

- Ojej - powiedziała. - Obiecałam komuś ten taniec. Na pewno już się zaczął. Ależ jestem źle wychowana.

Ale gdy znaleźli się u szczytu schodów, przed wejściem do sali, znów odwróciła się do pana Wade'a. Widziała i dobrze słyszała, że taniec już się rozpoczął. Nie można było włączyć się do niego w tej chwili. Za to następny taniec miała wolny. Powinna teraz przesiedzieć z panem Hancockiem do przerwy, zaproponowawszy mu uprzednio następny taniec jako rekompensatę.

- Zobaczymy się później? - spytała. - Po kolacji mam kilka tańców wolnych.

- Muszę iść - powiedział. - Mam inne zobowiązania.

- Ach, tak. - Była bardzo zawiedziona. Chciała go spytać, kiedy znów się spotkają, ale byłaby to z jej strony niewybaczalna śmiałość, w dodatku nie pierwsza tego wieczoru. Nie spytała więc, a on sam z siebie nie powiedział. - Wobec tego dobranoc. Dziękuję. Dziękuję za... - Za



przytulanie? I pocałunek? - Cieszę się, że pan przyszedł.

Odczekał, aż panna Newman się odwróci. Pośpiesznie znikła w sali balowej, by odnaleźć i przeprosić pana Hancocka. Miała wrażenie, że czuje się lepiej, tylko niestety nie wiedziała kiedy, a nawet czy w ogóle jeszcze zobaczy pana Wade'a.

Uderzyła ją niewiarygodność tej sytuacji. Czy naprawdę pan Wade z nią był w ogrodzie? Czy istotnie razem spacerowali i rozmawiali? I czy pocieszył ją objęciem ramion i pocałunkiem? Bardzo ją niepokoiło, że być może pan Wade nigdy więcej nie pojawi się w jej życiu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła po powrocie, był Lionel, hrabia Rushford. Patrzył na nią aprobująco i pożądliwie z drugiego końca sali.

Żałowała, że nie wyszła razem z panem Wade'em. Dokądkolwiek, byle z nim. Znowu ogarnął ją lęk.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Droga do domu była jednak długa, szczególnie dla człowieka mającego trudności z chodzeniem. Panował przenikliwy, wieczorny chłód. Było też zbyt ciemno dla dżentelmena wracającego ulicami Londynu bez towarzystwa i bez broni.

Hartley jednak w ogóle o tym nie myślał. Prawie nie zauważał otoczenia. Wszedł w końcu do domu, podał płaszcz, kapelusz i rękawiczki kamerdynerowi, wspiął się na schody, zwolnił lokaja, po czym, nie zdejmując ubrania, wyciągnął się na łóżku. Wlepił wzrok w podbity jedwabiem baldachim.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Przez całą drogę do domu unikał rozważań na ten temat i przeżywania wszystkiego na nowo. Na razie bał się o tym myśleć. Bał się nawet uszczypnąć, żeby się nie zbudzić i nie przekonać, że to był tylko sen.

Mimo to nie mógł zatrzymać natłoku wspomnień. Przecież na jego widok panna Newman niezaprzeczalnie się rozpromieniła. Zapewniła go, na pewno szczerze, że cieszy się ze spotkania. Zaproponowała mu, żeby razem na chwilę wyszli, choć okazało się potem, że obiecała następny taniec jakiemuś mężczyźnie; taka była uszczęśliwiona ze spotkania, że całkiem o tym zapomniała. Potem, gdy schodzili do ogrodu, i jeszcze w ogrodzie, trzymała na jego ramieniu obie dłonie. O ich wspólnych popołudniach w Highmoor mówiła z wyraźną tęsknotą. Usiłował przerwać ten potok myśli. Z pewnością, gdyby dobrze się zastanowił, z dalszych wspomnień zostałyby tylko strzępy, a on przekonałby się, że to był tylko wytwór jego wyobraźni. Głupi wytwór wyobraźni. To chyba nie mogło zdarzyć się naprawdę.

Ale bieg myśli nie zawsze można zatrzymać na życzenie. Hartleya opadły więc wspomnienia tego, co było najprawdziwszą prawdą. Panna Newman przytuliła się do niego, objęła go i położyła mu głowę na ramieniu. Boże! O Boże, to rzeczywiście się zdarzyło! Znowu czuł jej dotyk. Czuł ciepło i miękkie kształty jej ciała. I delikatne łaskotanie loków na policzku. Wciągał w nozdrza zapach jej włosów i prawie nieuchwytny aromat fiołków, który zauważył już w Highmoor.

A potem... o Boże, potem... Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, ciepło i z miłością. Już wtedy przemknęło mu przez myśl, że to miłość, choć nie mógł w to uwierzyć.

„Niech mnie pan pocałuje”. Mocno zacisnął powieki i jeszcze raz wysłuchał jej szeptu. Tęsknota... w jej głosie była tęsknota. I w oczach też.

Pocałował ją więc. A ona odwzajemniła pocałunek ciepłymi, rozchylonymi wargami. Pocałowała go czule i delikatnie. Wtedy w myślach tego tak nie nazwał, doznał jednak czułości i delikatności ciałem i duszą.

Powiedziała, że jej go brakowało. To było wcześniej, przed pocałunkiem.

Nie chciał myśleć o tym, co stało się później. Wiedział, że istotnie się stało, ale to

przerastało jego wyobrażenie. Znadto został obdarowany. Aż nie mógł w to uwierzyć i spokojnie o tym myśleć.

„Och, tak bardzo pana kocham”. Nie, nie. Nie mogła myśleć dokładnie tego, co powiedziała. Chodziło jej o wyrażenie sympatii. Nie wolno mu przywiązywać zbyt wielkiej wagi do jej słów. Może dlatego położył jej palec na wargach, gdy zakłopotana tak bezpośrednim postawieniem sprawy usiłowała się wytłumaczyć. Może obawiał się, że to nie jest prawda.

„Och, tak bardzo pana kocham”. Przyjaciele, mężczyzna i kobieta, nie rozmawiają w ten sposób. Tylko kochankowie. Nawet Dorothea powiedziała mu to dopiero wtedy, gdy zbliżał się koniec.

Nie, nie będzie przesadnie w to wierzył. Panna Newman jest nieprzeciętnie piękna i... doskonała. Od czasu przyjazdu do Londynu widział ją z trzema mężczyznami. Wszyscy byli młodzi, przystojni i modni. Jak mogła pomyśleć to, co powiedziała mu dziś wieczorem? Wydawało mu się to niedorzeczne.

- Ona mnie kocha - wyszeptał w mrok rozjaśniony światłem świec i poczuł się bardzo głupio, chociaż nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. - Ona mnie kocha - powiedział głośno i bardziej stanowczo. Poczuł się jeszcze bardziej głupio. - Bardzo mnie kocha.

Czy miał nazajutrz wyruszyć w powrotną drogę do Yorkshire? Czy też lepiej spróbować ją jeszcze zobaczyć? Jak? Kręcąc się po modnych rejonach miasta w nadziei, że znajdzie okazję do ukradkowego spojrzenia? Idąc na kolejny bal, żeby zamienić z nią kilka słów?

A może złożyć jej wizytę? Panna Newman mieszkała u lady Brill. Hartley wiedział o tym.

Czy odważy się ją odwiedzić? I czy gdyby się odważył, to nie wystawiłby się w ten sposób na pośmiewisko lady Brill i innych ludzi, może nawet samej panny Newman? Ale dlaczego właściwie nie miałby złożyć wizyty? Jest markizem Carew. Pierwszy raz uświadomił sobie, że wciąż jeszcze nie powiedział tego pannie Newman.

A mimo to ucieszyła się wieczorem na jego widok. Ucieszyła - to nawet zbyt słabe określenie.

„Och, tak bardzo pana kocham”. Znowu mocno zacisnął powieki. Musiał uwierzyć. Przecież nie były to tylko słowa. Przecież w czasie ich spotkania nie z tej ziemi wszystko prowadziło prosto do tych słów i potwierdzało ich prawdziwość. Stał się cud. Panna Newman go kocha.

Tego dnia lady Brill i Samantha nie przyjmowały gości. Zamierzały spędzić popołudnie poza domem. Miały zamiar wziąć z sobą lady Sophie, która pierwszy raz po wypadku wyszłaby na dwór. Potem Samantha wybierała się na przejażdżkę z lordem Francisem. Niestety, padał deszcz. Lord Francis przysłał więc liścik z pytaniem, czy Samantha chce się przedzierać w kaczkę. W takim przypadku ubrałby się w płaszcz nieprzemakalny i mógłby jej towarzyszyć. Ale może Samantha woli zaszczyścić go swym towarzystwem nazajutrz, jeśli pogoda będzie lepsza. Odpisała,

że sprawdziła, ale jeszcze nie wyrosły jej pletwy, więc z największą ochotą przełoży przejażdżkę na następny dzień.

Wkrótce potem przyszedł liścik od lady Sophii, która uznała, że wilgoć w powietrzu nie posłuży jej niedawno złamanej kończynie. Czy wobec tego Agatha z Samantha mogłyby umilić jej czas swą wizytą późnym popołudniem? Zaraz po lunchu lady Sophia zamierzała się położyć, co zapewne stanowiło inny skutek uboczny wilgoci w powietrzu.

W ten sposób paniom zwolniło się pół popołudnia, zasiadły więc w salonie lady Brill z haftami, żeby uciąć sobie miłą pogawędkę o balu lady Rochester. Samantha pozwoliła ciotce wygadać się do woli. Osobiście wołała nie poświęcać balowi zbyt wielu myśli. Nie mogła uwierzyć, że zachowała się tak natarczywie wobec pana Wade'a, bądź co bądź właściwie obcego człowieka. Dręczyło ją też przygnębienie, że prawdopodobnie więcej się w Londynie nie spotkają. Raczej nie obracają się przecież w tych samych kręgach. A już zupełnie nie miała ochoty myśleć o Lionelu i dziwnym, odrażającym pociągu, jaki do niego czuła.

Lionel śnił jej się w nocy. Sen był potworny, wstrząsający. Oboje byli na łóżku, Lionel unosił się nad nią, opierając ramiona po obu stronach jej ciała. Patrzył na nią gorejącymi oczami i oblizywał wargi. Cichym, sugestywnym głosem tłumaczył jej, że bardzo go pragnie, więc głupio robi walcząc z tym uczuciem.

„Jesteś teraz kobietą. Nie mogę oderwać od ciebie oczu”. Znowu pojawiło się to dziwne uczucie. Miała świadomość, że zaraz ulegnie, uzna swoją klęskę. Naprawdę go pragnęła. Tam... blisko łona. Nagle jednak zalała ją fala odrazy, tak samo silna jak pragnienie. Pchnęła Lionela, usiłując zaczerpnąć powietrza.

Jego prawe ramię ugięło się i Lionel opadł na nią całym ciężarem. I zamienił się w pana Wade'a. „Niepotrzebnie czuje pani zakłopotanie”, powiedział łagodnie. Wybuchnęła szlochem i poczuwszy ulgę; mocno objęła pana Wade'a i znowu spokojnie zasnęła.

Zbudziła się z poduszką w ramionach. To, co wspominała z przyjemnością, wcale nie było snem.

Na szczęście ciotka Aggy chyba nie słyszała o obecności Lionela na balu. Po prawie godzinie siedzenia w salonie westchnęła:

- Niedługo powinniśmy przygotować się do wyjścia. Jest w tych deszczowych dniach coś takiego, że najchętniej siedzi się wtedy w domu, nieprawdaż, kochanie? Ale droga, biedna Sophie będzie bardzo samotna, jeśli nie pójde jej odwiedzić.

W tej właśnie chwili rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł kamerdyner ciotki Aggy z kartą wizytową na srebrnej tacy.

- Czemu nie powiedziałaś, że dziś po południu nie przyjmujemy? - spytała ciotka.

- Powiedziałem, madame - odparł kamerdyner. - Ale ten pan prosił, żebym zapytał, czy

panie nie zrobią dla niego wyjątku.

Ciotka Agatha wzięła do ręki kartę wizytową i omiotła ją spojrzeniem. Uniosła i zmarszczyła brwi.

- Nie uwierzysz, Samantha - powiedziała. - Co za tupet ma ten człowiek. W ogóle nie wiedziałam, że wrócił do Anglii. I on chce nam złożyć wizytę?!

Lionel. Żołądek Samantha doznał gwałtownego skurczu.

- Hrabia Rushford - pogardliwe parsknęła lady Brill. - Możesz mu powiedzieć, że nie ma nas w domu - poleciła kamerdynerowi. Spojrzała na niego srogo. - A najlepiej powiedz, że nie będzie nas w domu aż do końca sezonu.

- On tańczył ze mną wczoraj wieczorem - cicho powiedziała Samantha.

Ciotka przeniosła surowe spojrzenie prosto na nią. Kamerdyner przystanął na progu.

- Zaskoczył mnie - wyjaśniła Samantha. - I zachowywał się bardzo przyzwoicie. Byłoby z mojej strony niegrzeczne, gdybym... - Bezmyślnie złożyła robótkę i umieściła ją na krześle. - Zatańczyłam z nim.

- Wspaniale - powiedziała ciotka. - Po takim skandalu, do jakiego doszło sześć lat temu? Po tym, jak zhańbił Jennifer paskudną intrygą? Przecież w końcu ukarał go za to jego własny ojciec!

Samantha przygryzła wargę. Naszło ją przykre wspomnienie chwili, gdy z ciotką Aggy podsłuchiwały pod gabinetem, jak wuj Gerald każe Jennifer oprzeć się na biurku, a potem rozlegają się dwa świszczące uderzenia trzcinowej laseczki.

- No, dobrze - powiedziała ciotka po chwili milczenia. - Zachowamy się przyzwoicie. Wprowadź go - poleciła, znów spoglądając na kamerdynera. - W końcu tamto zdarzyło się sześć lat temu. Przez tyle czasu ludzie czasem czegoś się uczą.

Samantha sama się dziwiła, że nie zaprotestowała przeciwko przyjęciu Lionela, tym bardziej że ciotka Aggy stawiała opór. Znała jednak przyczynę. Doskonale ją znała. Dlaczego miała przed sobą zaprzeczać, udawać, że jest inaczej?

Nigdy nie zapomniała Lionela. Nigdy nie przestała odczuwać fascynacji jego osobą. Poprzedniego wieczoru wyraźnie czuła, że nadal coś ją w nim pociąga. Zrozumiała potem, że jej przeznaczeniem jest ohyda, nie piękno, cierpienie, a nie szczęście.

Otwarte pozostawało jedynie pytanie, czy ma zamiar z tym walczyć. Czy ma jakiś wybór? Och, Boże...

I oto Lionel znalazł się w salonie, piękny, uroczy, pełen wdzięku. Skłonił się nad dłonią ciotki Aggy i zapewnił ją, że znakomicie wygląda. Potem wspomniął o honorze, jakim jest dla niego pozwolenie na wizytę w dniu nie przeznaczonym oficjalnie na przyjmowanie gości.

Był ubrany w bardzo wyrafinowany ciemnozielony frak od Westona, bufiaste spodnie i lśniące wysokie buty. Koszulę miał śnieżnobiałą, sztywną od krochmalu. Wydawał się jeszcze

bardziej przystojny niż przed sześcioma laty, jeśli w ogóle było to możliwe.

Po chwili zwrócił się ku Samancie, elegancko jej się skłonił i zmierzył ją gorącym spojrzeniem. Boże, takie same oczy miał w jej śnie. Teraz Lionel dziękował jej za zaszczyt, jaki mu wyświadczyła, zgadzając się z nim zatańczyć poprzedniego wieczoru.

- Przyszedłem dziś, szanowne panie - powiedział, tym razem skłaniając głowę przed obiema naraz - chcę bowiem prywatnie złożyć szczerze przeprosiny za wydarzenia sprzed sześciu lat, które przysporzyły paniom poważnych rodzinnych kłopotów.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedziała lady Brill i Samantha zauważyła, że ciotka mięknie bez większych zachodów z jego strony. - Właśnie mówiłam do Samanthy, że przez sześć lat ludzie czasem czegoś się uczą.

- Dziękuję pani - odrzekł. - Sądzę, że istotnie czegoś się nauczyłem.

Lady Brill kazała podać herbatę. Siedzieli we troje przez dwadzieścia minut, prowadząc uprzejmą rozmowę. Lionel opowiedział im o swych podróżach, po czym zapytał o zdrowie i szczęście lady Thornhill.

- Zawsze życzyłem jej dobrze - powiedział. - Po prostu byłem młody i jak większość młodych ludzi bałem się małżeństwa. Ale nigdy nie chciałem jej skrzywdzić i bardzo mi było przykro, że naraziłem ją na takie nieprzyjemności. - Spojrzał na Samanthę ze skrucą w oczach.

Nie chciał jej skrzywdzić? Ale sprokurował perfidną intrygę z publicznym odczytaniem fałszywego listu. Zawierała się tam sugestia, że Jenny i lord Thornhill są kochankami i zamierzają nimi pozostać. Gdyby Gabriel nie zdecydował się na ślub, Jenny żyłaby w hańbie. No, nie, zapomnieć o tym byłoby ciężkim grzechem. Kiedy treść listu stała się publicznie znana, wuj Gerald sprawił Jenny lanie. I Lionel mówi, że nie chciał jej skrzywdzić? Nie usprawiedliwia go nawet młodość. Miał wtedy już dwadzieścia pięć lat.

W dodatku udał namiętność do niej, Samanthy, chcąc, by powiedziała o tym Jenny i spowodowała zerwanie zaręczyn. A gdy udało mu się osiągnąć cel w inny sposób, roześmiał jej się w twarz i stwierdził, że źle zrozumiała jego słowa, które wyrażały tylko zwykłą galanterię.

Czyżby zmienił się tak bardzo przez sześć lat? Czy to możliwe? A może wciąż był takim samym wężem, tylko jeszcze bardziej obłudnym?

Jak mogła kiedykolwiek się obawiać, że nadal go kocha? Ale jeśli nie miłość, to co wiązało ją z nim wbrew trwodze, jaką budziła w niej ta dziwna więź?

- Jest pani dziś bardzo milcząca, panno Newman - powiedział w końcu, z powrotem kierując uwagę Samanthy na rozmowę. - Czy nie może mi pani wybaczyć? Nie dziwiłbym się, gdyby tak właśnie było.

Zgodnie z zasadami dobrego wychowania powinna dać mu odpowiedź, jakiej oczekiwał. Znowu jednak poczuła przypływ wściekłości, która ocaliła ją poprzedniego wieczoru. Lionel igrał z

nimi, oszukańczo nimi manipulował. Nie umiała dociec, dlaczego to robi. Może po prostu dla rozrywki, a może jednak był szczery...

- Chyba nie jest to całkiem niemożliwe, milordzie - powiedziała ostrożnie.

- Czas już na mnie - oświadczył wstając i znowu skłonił przed nimi głowę. Spojrzał na Samanthę. - Będę zabiegał o uzyskanie pani przebaczenia jeszcze przed końcem tego sezonu, panno Newman.

Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru, gdy nie było w pobliżu ciotki Aggy, nazywał ją Samantha. Zdawkowo skinęła mu głową.

- Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i odprowadzi mnie do drzwi? - spytał.

Samantha spojrzała pytająco na ciotkę, ale lady Brill tylko uniosła brwi i prawie niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. Samantha nie była już podlotkiem, a hrabia Rushford nie prosił przecież o sam na sam.

Z pokoju Samantha wyszła przed nim, przyjęła jednak pomocne ramię na schodach. Zauważyła, że Lionel nie jest dużo wyższy od pana Wade'a. Jego ramię nie wydawało się też mocniejsze ani lepiej umięśnione mimo olśniewającej prezencji Lionela.

- Wiem, jak trudno ci będzie zdobyć się na przebaczenie - powiedział cicho. - Masz więcej do przebaczenia niż lady Brill i więcej, niż ona wie. Ale chcę odzyskać twoje zaufanie.

Może mówił szczerze. Skąd można wiedzieć, czy mężczyzna jest szczery? Lionela nie widziała sześć lat. To dużo czasu.

- Kochałem cię już wtedy - powiedział. - Ale to było beznadziejne. Skandal by cię zrujnował, a ja wolałbym umrzeć, niż narazić cię na skandal. Nadal tak jest. Nigdy cię nie zapomniałem. Wróciłem do domu, bo nie mogłem dłużej żyć bez... No, mniejsza o to, nie chcę odgrywać kiepskiej melodramy.

A jednak to robił. Skąd można wiedzieć, czy mężczyzna jest szczery? Może kluczem do odpowiedzi był sposób, w jaki Lionel pamiętał, a właściwie zniekształcał przeszłość. Przecież wcale jej nie kochał. A odepchnął ją od siebie, kiedy jeszcze nie było żadnego skandalu. Gdyby naprawdę wolał umrzeć, niż ją zrujnować, to czy nie odszedłby z tego świata, zamiast złośliwie ją upokorzyć i zranić? Nie wiedziała, na czym polega jego gra. Nie wątpiła jednak, że jest to gra.

- Wiesz, wróciłem do domu, bo przyszedł czas, żebym znalazł hrabinę. A chcę, żeby była Angielką. Angielską różą, piękniejszą niż wszystkie inne. - Nie odrywając wzroku od Samanthy, uniósł jej dłoń do swych warg. - Czy zechcesz wybrać się ze mną na przejażdżkę po parku jutro po południu?

- Już mam inne towarzyskie zobowiązania - odparła.

- Powiedz mi wobec kogo, żebym mógł cisnąć temu mężczyźnie rękawicę w twarz. - Znowu patrzył na nią gorejącymi oczami.

Nadal był podstępny wążem. Ta scena wychodziła mu zbyt gładko, by miała być szczerą. Samancie nie wydawała się przyjemna.

- Tego człowieka lubię i podziwiam - powiedziała. - Może mnie zapraszać na przejażdżkę zawsze, kiedy ma na to ochotę. Jemu ufam, milordzie. Westchnął i puścił jej dłoń.

- A mnie nie ufasz - stwierdził. - Nie mam o to do ciebie pretensji. Ale to się zmieni. Słowo honoru.

Omal nie parsknęła śmiechem i nie zadała cisnącego się na wargi pytania: jakiego honoru? Nie bawiło jej to jednak, a nie chciała przedłużać rozmowy. Lionel uklonił się wytwornie i odszedł.

Ciotka Aggy nadal siedziała w salonie.

- No, wiesz - powiedziała, gdy Samantha wróciła, odprowadziwszy Lionela. - Nigdy w życiu nie widziałam takiej przemiany. On jest teraz bardzo sympatycznym młodym człowiekiem.

- Jesteś tego pewna, ciociu? - spytała Samantha. - Sądysz, że to nie było od początku do końca udawane? Że on nie wykorzystuje naszej naiwności?

- W jakim celu miałyby to robić? - Ciotka znowu uniosła brwi. - Musiało mu być bardzo trudno przyjść tutaj i powiedzieć to, co powiedział. Mam szacunek dla jego odwagi.

- Chciał, żebym pojechała z nim jutro do parku - powiedziała Samantha. - Bardzo się cieszę, że obiecałam przejażdżkę Francisowi.

- Mam wrażenie, że on smali do ciebie cholewki, Samantho - powiedziała figlarnie lady Brill. - Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Jesteś tak samo urocza jak wtedy, gdy byłaś debiutantką. Nawet jeszcze bardziej. Nabrałaś pewności siebie i to ci dobrze robi.

Samantha wcale nie była tego pewna siebie. W każdym razie od powrotu Lionela.

- Sypał uprzejmościami jak z rękawa - powiedziała. - Ale nie wierzyłabym w jego szczerłość, ciociu.

Lady Brill cmoknęła.

- Powoli wpadam w rozpacz, bo zaczyna mi się zdawać, że już nigdy nie namówię cię na pójście do ołtarza z dżentelmenem - powiedziała żałośnie. - Ale nie możemy się teraz sprzeczać. Biedna Sophie wkrótce straci nadzieję, że nas dziś zobaczy.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym została w domu? - spytała Samantha i uśmiechnęła się do ciotki. - Na pewno będziecie się czuły swobodniej tylko we dwie.

- Co za banialuki! - powiedziała ciotka, ale nie próbowała Samanthy namawiać.

Znowu jestem sama, co za ulga, pomyślała Samantha. Poszła do swojego pokoju i zasiadła przy sekretarzyku, żeby napisać list do Jenny. Ale mimo iż wiele razy moczyła pióro w kałamarzu, nie mogła wyjść poza początkowe: Kochana Jenny.

Co powiedzieliby Jenny i Gabriel, gdyby przyjechali w tym roku do Londynu i byli świadkami wydarzeń ostatnich dwóch dni? Mogła sobie wyobrazić ich przerażenie. To jej pomogło.



Dzięki temu zrozumiała, że odnawianie znajomości z Lionelem nie ma najmniejszego sensu. Oni nie daliby się oszukać tak łatwo jak ciotka Aggy. Nie pomyśleliby, że Lionel naprawdę żałuje tego, co się stało. Zresztą gdyby szczerze żałował, na pewno zrobiłby jej tę grzeczność i nie wtrącał się więcej do jej życia.

Samantha miała dwadzieścia cztery lata i była dumna ze swej dojrzałości i rozeznania w świecie. Uważała, że w sześć lat po debiucie wie bardzo dużo o ludzkiej naturze w ogóle, a o mężczyznach w szczególności. Od dawna już czuła się panią swojego życia i swoich uczuć.

Czyżby nagle miała znowu wejść w skórę naiwnej osiemnastolatki? Wtedy miała wytłumaczenie dla swojej łatwowierności - brakowało jej doświadczenia. Pragnęła miłości i małżeństwa, a nie wiedziała nic ani o jednym, ani o drugim. Czy jednak mogłaby sobie wybaczyć, gdyby popełniła teraz ten sam błąd?

A jeśli Lionel był szczerzy? Ale nawet w takim wypadku utrzymywanie z nim stosunków byłoby niewybaczalne. Co pomyśleliby Jenny i Gabriel?

Zorientowała się, że kreśli geometryczne wzory na kartce, która miała być listem do Jenny. Świadczył o tym tylko nagłówek.

Lionel zamierzał zostać w Londynie przez cały sezon. W to nie wątpiła. I przez ten cały czas będzie ją prześladował. Trudno powiedzieć, z jakiego powodu. Może - była taka szansa, choć niewielka - może jednak był szczerzy. A może wymyślił sobie rozrywkę? Chce spróbować czy uda mu się z nią drugi raz to samo, co udało się sześć lat temu. Nie była pewna, czy teraz by to zniosła.

Pojęła, że wciąż przeżywa głupią fascynację jego osobą, do czego zresztą przyznała się przed sobą już wcześniej. Nigdy do końca nie pogodziła się z tym, że Lionel odszedł, a ona ma teraz własne życie. Myślała wprawdzie, że jej się to udało, a jeśli tak, to dlaczego nigdy nie pokochała żadnego innego mężczyzny? Dlaczego nigdy nie mogła zdecydować się na małżeństwo?

Lionel wciąż panował nad jej uczuciami, choć ani jej to nie cieszyło, ani nie mogła tego zrozumieć. Mogła tylko to uczucie przyznać. Odłożyła pióro. Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

Znów wszedł kamerdyner z kartą wizytową na tacy. To niemożliwe, żeby Lionel wrócił, pomyślała. Niemożliwe, żeby odczekał, aż ciotka opuści dom, i przyszedł drugi raz. Chociaż taki wybieg wcale nie byłby do niego niepodobny. Ale ona drugi raz go nie przyjmie. Co za pomysł!

Spojrzała na kartę, potem podniosła ją do oczu, zacisnęła powieki i nieświadomie przycisnęła bilecik do warg.

- Gdzie on jest? - spytała.

- Wprowadziłem go do salonu na dole, proszę pani - powiedział kamerdyner. - Prosił, żeby pani nie robiła sobie kłopotów z jego powodu, jeśli jest pani zajęta. Samantha wstała. Uśmiechała się.

- Jakie tam kłopoty - powiedziała; minęła kamerdynera w drzwiach i lekkim krokiem zbiegła po schodach. Nie czekała, aż kamerdyner także zejdzie i otworzy przed nią drzwi. Zrobiła to sama i w pośpiechu wpadła do salonu. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Przyszedł pan - powiedziała. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. - Wczoraj miałam wielką ochotę pana zapytać, czy jeszcze się zobaczymy, ale nie chciałam być natarczywa. I tak okazałam wiele natarczywości, zanim powiedzieliśmy sobie dobranoc. Mam nadzieję, że nie jest pan zanadto oburzony.

Oczy mu płonęły, gdy uśmiechał się do niej. Pierwszy raz tego dnia Samantha poczuła się szczęśliwa.

- Przyszedłem - powiedział.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Omal nie wybił sobie z głowy tej wizyty. W ponurym oświetleniu deszczowego dnia wydarzenia poprzedniego wieczoru wydawały mu się nierzeczywiste. Ale alternatywę stanowił powrót do domu, do Highmoor. Wiedział, że wtedy nie zobaczyłby panny Newman nigdy więcej. Takiego rozwiązania nie mógł przyjąć.

Przez całą drogę czuł ścisnięcie w żołądku. Próbował wymyślić jakiś powód, żeby kazać stangretowi zawrócić. Było dość późne popołudnie. Panna Newman będzie na pewno poza domem. Może mieć innych gości. Powinien był najpierw napisać bilecik z pytaniem, czy go przyjmie. W końcu jednak dojechali i stangret zapukał do drzwi. Hartley podał swoją kartę wizytową kamerdynerowi lady Brill, po czym spytał, czy panna Newman zechce go przyjąć, naturalnie tylko jeśli nie sprawi jej to kłopotu. Kamerdyner patrzył na jękającego się pana Wade'a z wyższością arystokraty.

Hartley wszedł do saloniku; stały w nim masywne, dość staroświeckie meble. Zastanawiał się, czy już jest za późno na odwrót. Miał nadzieję, że panna Newman znajdzie jakąś wymówkę i go nie przyjmie.

A jednak w chwili, gdy stanęła oparta o drzwi i bez tchu, dużo szybciej niż zwykle wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, poczuł, że nerwowość i niepewność opuszczają go. Panna Newman się uśmiechała. Oczy jej lśniły. A on słuchał jej słów. Naprawdę stał się cud.

- Przyszedłem - powiedział. Roześmiała się.

- Ale unika pan przyznania, że pana oburzyłam. Bardzo mi wstyd. Gdybym powiedziała ciotce Aggy, jak zachowałam się wczoraj wieczorem, dostałaby palpacji. Niech mi pan łaskawie wybaczy.

- Proszę mnie nie przepraszać - powstrzymał ją. - Wcale nie byłem oburzony. - Jak jej ładnie w tym muślinie w gałazki, pomyślał. Wygląda jak mała dziewczynka. Prawdopodobnie jednak nie był to komplement. Panna Newman roztaczała powab i fascynowała jak dojrzała kobieta.

- Jest pan bardzo miły. - Jej uśmiech nabrał ciepła. - Jak zawsze. Przykro mi, że nie ma w domu ciotki. Ale zadzwonię na lokaja i każę podać herbatę, jeśli sam na sam nie wyda się panu niestosowne. W każdym razie w Highmoor się tym nie przejmowaliśmy.

- Nie będę siedział długo - powiedział, odpierając pokusę, by pozwolić się wciągnąć w półgodzinną pogadankę o sprawach bez znaczenia. - Proszę nie przejmować się herbatą.

- Ojej. - Wydawała się rozczerowana.

- Chcę panią o coś spytać. Powinienem dochodzić do tego stopniowo, ale nie wiem, w jaki sposób. Chyba wolę od razu przejść do rzeczy i usłyszeć, co mi pani odpowie.

- Bardzo mnie pan zaciekawił. - Hartley zwrócił uwagę, że panna Newman wciąż stoi oparta

o drzwi, z rękami założonymi na plecy, i prawdopodobnie trzyma za klamkę. - W każdym razie mam nadzieję, że nie zaproponuje mi pan przejażdżki po parku jutro po południu. Bo w takim wypadku byłby pan trzeci z kolei, a ja przyjąłabym pierwszą ofertę. Ale będzie mi bardzo przykro, że muszę odmówić. Może...

- Zastanawiałem się - przerwał jej - czy zostałyby pani moją żoną.

Uśmiech panny Newman znikł. W milczeniu wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami, usta miała lekko rozchylone.

Co za katastrofalny sposób na zadanie tego pytania! Całkiem bez ogródek. Absolutnie pozbawiony wdzięku i dworności. Pomyślał, że chętnie cofnąłby te słowa i spróbował raz jeszcze, inaczej.

- Mógłbym ewentualnie przykleknąć na kolano, ale obawiam się, że musiałaby mi pani potem pomóc i do - holować mnie z powrotem do pionu.

Nie uśmiechnęła się.

- Słucham? - powiedziała wyraźnie oszołomiona, na co wskazywała także jej mina.

Przełknął ślinę. Za szybko. Powinien był najpierw poświęcić trochę czasu na zaloty. Może zresztą popełniał wielki błąd. Ale na odwrót było już za późno.

- Chcę się z panią ożenić - powiedział. - Naturalnie jeśli pani będzie mnie chciała za męża. Wiem, że nie jestem szczególnie... - Nie, nie wolno mu przeproszać za swoją sylwetkę i prezencję, za zdeformowaną dłoń i nogę. Jest taki, jaki jest. A ona powiedziała mu, że go kocha. Uwierzył jej.

- Niech pan nie pomniejsza zalet swojej osoby - powiedziała, znów skupiając na nim spojrzenie. Najwyraźniej dokończyła w myślach rozpoczęte przez niego zdanie. - Jest pan wspaniały taki, jaki pan jest. Wspanialszy niż którykolwiek z moich znajomych.

Wpatrywali się w siebie, wędrując oczami po twarzach. Właściwie nie czuli skrępowania.

- Zamierzałam pozostać niezamężna - powiedziała. - Od dawna już nie zastanawiałam się poważnie nad taką propozycją.

- Ktoś panią zranił - powiedział łagodnie. Przykra była dla niego świadomość, że inny mężczyzna zadał jej cierpienie, prawdopodobnie wielkie. - Ale życie nie składa się z samego bólu. Ja nigdy bym pani nie zranił. Będzie pani ze mną całkiem bezpieczna. - Nie były to romantyczne słowa, które sobie wymarzył i próbował przeciwżyć w domu, ale takie słowa były potrzebne w tej chwili.

- Wiem - przyznała cicho. - Zawsze czuję się przy panu cudownie bezpieczna i... szczęśliwa. Czy pan ze mną też? Nie...

- Tak - powiedział. - Zawsze.

Oparła o drzwi również głowę i popatrzyła na niego.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że będę miała taką pokusę - wyznała.

- Tylko pokusę? - Zdawało mu się, że wstrzymał dech. - Czy chciałaby pani mieć trochę czasu na przemyślenie odpowiedzi?

- Tak - powiedziała. - A potem bardzo szybko zmieniła zdanie. - Nie, nie potrzebuję czasu. Czas tylko miesza w głowie. Wyjdę za pana za męża.

Mimo nadziei i marzeń, a nawet oczekiwania, przeżył wstrząs. Zapatrzył się w nią, niezupełnie pewny, czy dobrze usłyszał. Ale panna Newman szła już w jego stronę. Gdy znalazła się blisko, wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Dziękuję - powiedziała. W oczach zabłyśły jej łzy. - Och, bardzo dziękuję.

Ujął jej ręce zapominając nawet na chwilę o swej okaleczonej dłoni. Roześmiał się, choć tak mu ulżyło, że miał kłopoty ze złapaniem tchu.

- Strasznie się zaplątałem - powiedział. - Bardzo przepraszam, ale nigdy dotąd się nie oświadczałem.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan tego więcej próbował, skoro wprawia to pana w takie zmieszanie. Obiecuję być dobrą żoną. Naprawdę obiecuję. Postaram się, żeby był pan... zadowolony.

Hartley przewidywał raczej upojenie szczęściem, takie samo jak odczuwał właśnie w tej chwili. Popatrzył na pannę Newman. Była urocza, delikatna i serdeczna. Jeszcze nie mógł uwierzyć, że należy do niego. Oto jego miłość. Jego narzeczona. Zostanie jego żoną, matką jego dzieci.

- Już się pani postarała - powiedział. - Obiecuję dopilnować, żeby pani nigdy nie żałowała dzisiejszej decyzji.

Po policzkach potoczyły jej się dwie łzy. Przygryzła wargę i roześmiała się.

- Ojej - powiedziała. - Czy to wszystko prawda? Bałam się, że po wczorajszym wieczorze już nigdy pana nie zobaczę.

W odpowiedzi pochylił się i cmoknął ją w oba policzki, zbierając wargami słone krople łez.

- Czy jest ktoś, kogo muszę zapytać o zgodę? - spytał. - Choćby z czystej grzeczności. Pani już nie ma opiekuna, prawda?

- Wuj sprawuje pieczę nad moim majątkiem, aż do moich najbliższych urodzin. Wicehrabia Nordal, ojciec Jenny. Ale w dniu ślubu dostanę pieniądze do dyspozycji. Jest tego całkiem sporo. Może pan chce się ze mną ożenić dla pieniędzy? - Zaśmiała się cicho. Brakowało jej tchu.

W tej właśnie chwili Hartley się ocknął. No tak, naprawdę niezgorzej się zaplątał. Wszystko postawił na głowie.

Panna Newman znów się zaśmiała.

- To był tylko głupi żart. Ale wypadł bardzo niesmacznie. Wiem, że pan nie mógłby być interesowny. Proszę mi wybaczyć.

Lewą ręką uściśnął jej prawą dłoń.

- Złożę wizytę pani wujowi - powiedział. - I dam na zapowiedzi. Od przyszłej niedzieli. Nie za szybko? Bo byłbym skłonny zaproponować nawet specjalną licencję, gdyby nie to, że chcę dla pani prawdziwego ślubu. Niech cały świat zobaczy taką pannę młodą. Zaraz jak tylko skończą się zapowiedzi. A może wolałaby pani trochę poczekać. Na przykład do lata?

- Nie. - Wolno pokręciła głową. - Nie czekajmy. Chcę zostać pana żoną jak najszybciej. Chcę być z panem. Gdyby chciał pan zastanowić się jeszcze raz nad specjalną licencją...

Ale on pokręcił głową, oszołomiony tym, że mógłby ją mieć za żonę jeszcze przed upływem tygodnia. Nie. Chciał ją pokazać całemu eleganckiemu towarzystwu. Chciał, żeby był to pamiętny ślub. W kościele Świętego Jerzego przy Hanover Square.

- Nie - odparł. - Musimy to zrobić tak, jak należy.

- Dobrze, proszę pana. - Uśmiech Samantha stał się dość płochy. - Będę ćwiczyć się w posłuszeństwie mężowi.

Parsknął śmiechem.

- Nie będę pani stawiał trudnych zadań - obiecał. - Ale teraz muszę już iść. - Z żalem puścił jej rękę. - Służba pani ciotki przeżyłaby zgorzenie, gdybym został dłużej.

- Dobrze, proszę pana - powiedziała potulnie. - Kiedy znowu się zobaczymy? Musi pan poznać moją ciotkę. Czy przyjdzie pan jutro po południu?

- Tak. - Przeszedł przez pokój do drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się w jej stronę. Nie, nie mógł wyjść tak po prostu. To byłoby niewybaczalne. Dość już tego odkładania. Za długo to robił. „Za długo” było zresztą eufemizmem.

- Jeszcze czegoś pani nie powiedziałem - oznajmił cicho.

- Domyślam się. Jest pan mordercą po wyroku. Miał pan sześć żon i wszystkie pan zamordował. Prześcignął pan w tym samego Henryka VIII. - Roześmiała się wesoło. - Czego mi pan nie powiedział? Oblizwał wyschnięte wargi.

- Kiedy w Highmoor podałem pani swoje nazwisko, myślałem, że pani je pozna i sama będzie umiała uzupełnić. Ale okazało się, że nie, i wtedy uległem pokusie. Zmieniłem skórę i stałem się wędrownym ogrodnikiem - - pejzażystą. W owym czasie wydawało mi się to całkiem nieszkodliwe. Nie wiedziałem, że wkrótce będę prosił panią o rękę.

Patrzyła na niego bez słowa. Zdawało mu się, że pobladła.

- Hartley Wade to nie jest moje całe nazwisko. - Przełknął ślinę. - Jestem Carew.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Markiz Carew? - spytała nienaturalnie wysokim głosem, gdy milczenie stało się nie do zniesienia. Skinął głową. Kilka razy otwierała usta, zanim odezwała się znowu. - Okłamał mnie pan - powiedziała w końcu.

- Nie - zaprzeczył skwapliwie. - Tylko zachowałem dla siebie część prawdy. Chociaż muszę

przyznać, że „tylko” jest w tym przypadku kompromitującym słowem. Chyba zresztą rzeczywiście panią okłamałem. Wszak kilka razy rozmawialiśmy o mnie w trzeciej osobie. Udawałem więc, że nie jestem sobą.

- Po co? - szepnęła. Mocno zacisnęła powieki, jakby nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

- Wtedy na wzgórzu pojawiła się pani bardzo niespodziewanie, I uroczo się pani zmieszała, że złapano panią na cudzym terenie. Gdybym podał pani moje nazwisko z tytułem, zaczęłyby się pani zachowywać sztywno i oficjalnie. I poczułyby się pani jeszcze bardziej zmieszana. Ale pani nie skojarzyła nazwiska z tytułem. No i uległem pokusie. Pewnie nie jest pani w stanie zrozumieć, jaką przeszkodę stanowi ten tytuł w stosunkach z nowo poznanymi ludźmi. Chciałem z panią porozmawiać. Chciałem, żeby obejrzała pani mój dom i park. Wcale nie życzyłem sobie takiej przeszkody.

- Aha. - Spojrzała na niego, gdy mówił, teraz jednak znów zamknęła oczy. - Pamiętam, co powiedziałam w sali balowej. W pańskiej sali balowej. - Zasłoniła twarz dłońmi.

Powinien się uśmiechnąć na to wspomnienie, strach jednak wzbudził w nim niesamowite napięcie.

- Czy to sprawia pani różnicę? - spytał. - Czy chce pani wycofać zgodę na małżeństwo? Jest mi niezwykle przykro. Gdy raz się kogoś oszukało, bardzo trudno potem przemóc się, by odejść od tego oszustwa i wszystko wytłumaczyć. Nie chcę jednak czynić z tego usprawiedliwienia. Czy mój tytuł sprawia pani różnicę? - W napięciu czekał, aż jego świat rozpadnie się na drobne kawałki.

- Wobec tego nie będę zwyczajną panią Wade, jeśli dobrze rozumiem.

- Nie. - Jeszcze nie odważył się dopuścić do siebie nadziei. - Będzie pani markizą Carew.

- To wspaniale - powiedziała. - Wręcz imponujące. A Highmoor będzie moim domem.

- Tak. - Powiedziała „będzie”, a nie „byłoby”, pomyślał.

Niespodziewanie roześmiała się za zasłoną z dłoni.

- A może chcę wziąć z panem ślub dla pieniędzy - powiedziała. - Czy pan rozważał taką możliwość?

- Przecież pani nie wiedziała, kim jestem - odparł. - Zresztą znam panią dostatecznie dobrze, by sądzić, że mój tytuł i bogactwo nie zrobiłyby na pani większego wrażenia. Zawsze będę z zachwytem wspominał, że przyjęła pani oświadczyzny ubogiego ogrodnika. Czy teraz przyjmie pani oświadczyzny prawie nieprzyzwoicie bogatego markiza Carew?

Westchnęła i opuściła ręce, a potem spojrzała na niego raczej niepewnie.

- Tak - powiedziała. - Jak mogłabym oprzeć się pokusie Highmoor? A czy pan kiedykolwiek naprawdę zajmował się krajobrazem?

Skinał głowę.

- Poza tym jednym szczegółem zawsze mówiłem pani najszczerzą prawdę.

- No, dobrze. Czy zechce pan przyjść jutro... milordzie? - Uśmiechnęła się do niego dość wątle.

- Będzie to dla mnie zaszczyt - powiedział - jeśli zechce pani mówić do mnie po imieniu, Hartley. I jeśli będzie mnie pani traktować tak samo jak dotąd. Owszem, przyjdę jutro.

Spojrzeni na siebie, a potem markiz Carew opuścił salonik. Od kamerdynera, który musiał przez cały czas czatować w sieni, wziął płaszcz i kapelusz, a potem pozwolił otworzyć przed sobą drzwi wyjściowe.

W kilka chwil później siedział w swym powozie i jechał do domu, a deszcz bębnił o szyby. Stało się, pomyślał, odchylając głowę na poduszkę oparcia. Panna Newman przyjęła oświadczenia i Hartleya Wade'a, i markiza Carew. Przyjęła jego oświadczenia. Będzie jego żoną.

„Och, tak bardzo pana kocham”. Tego popołudnia nie rozmawiali o miłości. Właściwie powinien był chyba uczynić taką deklarację częścią oświadczenia. Zachował się bardzo niezręcznie. Ale nie było to potrzebne. Bądź co bądź, słowa są tylko słowami. A oni się kochają. Dowodziła tego każda wymiana spojrzeń, każdy urywek rozmowy. Panna Newman chciała go mieć za męża dlatego, że jest taki, jaki jest. Powiedziała „tak” sądząc, że pan Wade ma do ofiarowania tylko siebie. Wcale nie zamierzał świadomie poddawać jej próbie. Ale dobrze to zapamięta.

Wkrótce, już za miesiąc, panna Newman będzie jego, i według prawa cywilnego, i kanonicznego. Będzie jego żoną. A on będzie mógł się z nią kochać i otaczać ją miłością.

Boże. O Boże. Czasem szczęście bywa tak wielkie, że graniczy z cierpieniem.

Co?! - Lord Francis Kneller omal nie spadł z siedzenia swej wysokiej dwukółki. Szarpnął za wodze tak gwałtownie, że jeden z pary koni parsknął i rzucił łbem, grożąc buntem. Francis sprawnie przywołał zwierzę do porządku.

- Zamierzam wziąć ślub z markizem Carew - powtórzyła. - Dokładnie za miesiąc. Nie sądzę więc, Francis, żebyś jeszcze miała okazję wybrać się z tobą na przejażdżkę. Ale bardzo ci dziękuję za przyjaźń, jaką mi okazałeś w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Przyjaźń? - Zerknął na nią z niedowierzaniem, zaraz jednak znów skupił wzrok na drodze do parku. - Przyjaźń, Samantha? Kobieto, ja cię kocham!

Spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Co za niemiła blaga, Francis.

- Przepraszam - bąknął. - Wcale nie skłamałem, ale nie powinienem był tego powiedzieć. I to Carew, Samantha? Carew! Przecież on jest kaleką... och, do licha, znowu muszę cię przeprosić.

- Nie jest kaleką - zaprzeczyła. - Miał wypadek. Ale jest całkiem sprawny. I nigdy się nie skarży.

- Gdzie go poznałaś? - spytał. Zauważyła, że minął wjazd do parku. - Pewnie w Chalcote.



Ten cholerny Gabriel... Przepraszam! Przy najbliższej okazji zrobię z niego marmoladę. Rozumiem, że uległaś wspaniałości jego tytułu, majątku, no i Highmoor, to takie piękne miejsce. Nie mogę wymyślić innego powodu, dla którego chciałabyś wziąć z nim ślub. Boże, Samantha, mogłaś wybrać tysiąc razy lepiej.

- Odwieź mnie do domu, proszę - powiedziała cicho.

Wziął głęboki oddech, wydał policzki i głośno wypuścił powietrze.

- Twój kłopot, Samantha, polega na tym, że oślepałaś na jedno oko, a drugiego nie chcesz otworzyć. Nie widzisz chyba, że my wszyscy, cały twój pie... piękny orszak, jesteśmy w tobie zakochani po uszy. A ty nie dałabyś za żadnego z nas funta kłaków. Carew! No wiesz, brakuje mi słów. Dobrze, zaraz cię odwożę. - Skręcił w przecznicę dostatecznie ostro, by usłyszeć ostre protesty i parę epitetów od innych powożących. - Niczego więcej ci nie trzeba do szczęścia. Carew! Boże!

- On jest dla mnie bardzo ważny - powiedziała.

- Ten człowiek to prawie pustelnik. Nie wydaje mi się odpowiednim kandydatem dla ciebie.

- Ty to co innego, tak? - spytała. - Wiesz, Francis, nigdy mi nie powiedziałeś...

- Bo wiedziałem, a przynajmniej zdawało mi się, że nie życzysz sobie czegoś takiego usłyszeć - odparł. - Chciałem wkraść się w twoje łaski podstępem. Miałem nadzieję, że czas mi pomoże. Do diabła! Od jak dawna go znasz?

- Od dnia twojego wyjazdu z Chalcote - powiedziała. - Podczas spaceru weszłam na teren Highmoor i tam go spotkałam.

Zaklął. Tym razem nawet nie przeprosił.

- Francis. - Lekko dotknęła dłonią jego ramienia, ale wzdrygnął się i usunął ramię. - Bardzo mi przykro. Ale on naprawdę jest dla mnie ważny. Bardzo ważny.

- Musi być wart przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznie - powiedział. - Przynajmniej! Przypuszczam, że dla mnie też byłby ważny, gdybym był kobietą.

Nie odpowiedziała, więc dalej jechali w milczeniu. Samantha strapiona, Francis zły i głęboko zawiedziony.

- Francis - odezwała się, gdy zbliżali się już do domu lady Brill. - Nie chcę stracić twojej przyjaźni.

- To nigdy nie była przyjaźń - odparł.

- Owszem, była - sprzeciwiła się. - Zawsze było zabawnie. Bardzo lubiłam twoje docinki. I naszą szermierkę na słowa. Myślałam, że nic więcej między nami nie ma. Nie sądziłam, że cię zranię, wychodząc za mąż za kogo innego.

- Myślałem, że jeśli kogoś wybierzesz, to Rushforda - powiedział i zacisnął zęby. - Zdawało mi się, że coś jest między wami. Może nawet coś więcej. W każdym razie cieszę się przynajmniej,

że to nie on. Walczyłbym do upadłego, gdyby Rushford zaczął sobie pozwalać, a ty nie miałabyś dość rozsądku, żeby go odesłać z kwitkiem.

- Nie masz racji - powiedziała. - Między mną i Rushfordem nic nie było, Po prostu mnie zaskoczył, więc z nim zatańczyłam. Ale nic między nami nie było. Dla mnie ważny jest markiz Carew. Poślubię go. Chcę, żeby był ze mnie zadowolony. A ja przy nim będę bezpieczna.

- To są zadatki na porywający romans, Samantho - powiedział. - Zjadłbym własny kapelusz, gdyby miał nie być zadowolony. Tylko przed czym ma cię ochraniać, jeśli wolno spytać? Przed wilkami takimi jak ja?

- Nie - odparła. - Tak tylko powiedziałam. On po prostu... da mi poczucie bezpieczeństwa i kropka. Bierzemy ślub w kościele Świętego Jerzego, wedle jego życzenia. Miałam zamiar cię zaprosić. Ale może wolałbyś raczej, żebym tego nie robiła? Napisałam do Jenny i Gabriela, chociaż nie wiem, czy przyjadą. Jenny... no, Jenny znowu musi na siebie uważać.

- Naprawdę? - zdziwił się Francis. - Myślałem, że Gabriela zadowala dwójka.

- Mam nadzieję, że przyjadą - powiedziała Samantha.

- A czy ty przyjdiesz, jeśli cię zaproszę?

- Carew będzie zachwycony obecnością całego twojego orszaku na ślubie - powiedział.

- Moich przyjaciół - poprawiła go. - Wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi, Francis. Nie dręcz mnie bzdurami. Bo to, co powiedziałeś, jest bzdurą i dobrze o tym wiesz. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

- Ktoś kiedyś powinien dać ci w prezencie lustro, Samantho. Chociaż to też chyba nie wystarczy. Uroda to u ciebie nie wszystko. Czyżby Carew był taki przenikliwy? Zabiję tego cholernika, jeśli...

- Francis! - przywołała go do porządku. - Dość tego. Usłyszałam dziś od ciebie tyle, że wystarczy mi do końca życia. Bądź łaskaw mnie przeprosić.

Pierwszy raz szeroko się uśmiechnął.

- Powiedziałeś to jak prawdziwa markiza. Kiedy będzie pani trochę starsza, milady, koniecznie powinna pani zainwestować w lorgnon z oprawą wysadzaną klejnotami. Będzie pomniejszać każdego, kto stanie przed pani obliczem. Co prawda do lorgnon lepiej byłoby, gdyby miała pani dłuższy nos. No, ale może z czasem urośnie. Przepraszam. Przyznaję, że przez tę historię zachowuję się jak skończony ordynus. Trzeba było mnie jakoś ostrzec, Samantho. Gdybyś wcześniej napisała do mnie liścik, podbiłbym lokajowi lewe i prawe oko, złamał mu nos i wybił resztę zębów, ale do czasu naszego spotkania odzyskałbym wdzięk i ogładę. Serdecznie cię przepraszam. Wybaczysz?

- Naturalnie - powiedziała. - Ale chyba nie mówisz tych wszystkich bzdur poważnie, Francis? Nie całkiem poważnie. Po prostu chciałeś, żebym się głupio poczuła, ty idioto, i udało ci

się.

- No cóż - powiedział. - Mój czas się skończył, Samantha. Więc on naprawdę jest dla ciebie ważny? Muszę sprawdzić to osobiście na ślubie.

- Przyjdiesz? - Odwróciła do niego głowę i promiennie się uśmiechnęła. - Dziękuję ci, Francis. Będę bardzo szczęśliwa, przecież wiesz. Będę bardzo...

- ...Bezpieczna - dopowiedział. - Wiem. Oto szczyt marzeń każdej panny: wyjść za mąż, a potem żyć długo, szczęśliwie i bezpiecznie. Może chcesz wrócić do parku? Raz przynajmniej miałbym coś atrakcyjnego do ogłoszenia.

- Nie - zaprzeczyła. - Hartley ogłosi nasze zaręczyny w jutrzejszych gazetach. Do tej pory nikomu nie będę o tym mówić. Powiedziałam tylko tobie, bo jesteś moim przyjacielem i wcześniej umówiliśmy się na przejażdżkę.

- Hartley - powtórzył cicho. - A ty chcesz wrócić do parku?

- Wolałabym nie, jeśli nie robi ci to wielkiej różnicy. Byli już pod domem lady Brill. Francis zręcznie zeskoczył z wysokiego siedzenia i postawił Samanthę na ziemi. Przez krótką chwilę obejmował ją w talii.

- Mam nadzieję, że będziesz z nim bardzo... bezpieczna, Samantha - powiedział. - I bardzo szczęśliwa. Udało mu się.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Dziękuję ci, Francis.

Począł, aż Samantha wejdzie do środka - kamerdyner, który ją wpuścił, wydawał się zaskoczony jej szybkim powrotem. Francis wspiął się z powrotem na siedzenie dwukółki i odjechał. Pomyślał, że przez godzinę albo dwie po jego powrocie do domu lokaj naprawdę nie powinien kręcić mu się zbyt blisko pod ręką, bo podsinione oczy, złamany nos i wybite zęby staną się rzeczywistością.

Carew! Spotkał tego człowieka w Chalcote dwa lata temu i w zeszłym roku. Dostyc sympatyczny gość, spokojny i nie rzucający się w oczy. Sprawiał jednak takie wrażenie, jakby oprócz tytułu i fortuny nie miał nic godnego polecenia kobiecie, szczególnie takiej piękności jak Samantha. Z drugiej jednak strony Samantha była ostatnią osobą, którą podejrzewałby o uleganie pokusie majątku i tytułu.

Lord Francis Kneller zaklął pod nosem. A potem, uświadomiwszy sobie, że nie słucha go już nikt, kto mógłby zażądać przeprosin, zaklął znacznie dosadniej, choć wcale mu to nie pomogło.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skończył jeść grzanekę i przełknął trochę kawy. Pił już drugą filiżankę. Bardzo nie chciało mu się wstać od śniadania, żeby się ubrać do wyjścia przed zjawieniem się księcia Bridgewater. Obiecał towarzyszyć przyjacielowi w wyprawie na aukcję koni. Książę szukał pary siwoszy, które dodałyby blasku jego nowej kolasce.

Markiz Carew jeszcze raz spojrzął na świeże wydanie „Morning Post”, rozpostarte na stole. Położył na gazecie lewą dłoń i dwoma palcami dotknął ogłoszenia. Uśmiechnął się. Nareszcie zaręczyny stały się dla niego czymś realnym. Tego ranka dowie się o nich całe towarzystwo.

Wszyscy będą sądzić, że to jest małżeństwo z rozsądku, że Samantha wychodzi za niego za mąż dla pozycji i majątku, a on się z nią żeni dla urody. Tylko oni dwoje będą znali prawdę. To mu wystarczało. W gruncie rzeczy był to bardzo przyjemny sekret. Nieważne, co pomyśli świat. Markiz postanowił, że zaraz po ślubie zabierze żonę do Highmoor i będą tam mieszkali do końca życia, z rzadka tylko decydując się na wyjazdy. Samantha już pokochała Highmoor. Poświęcą się tam wychowaniu dzieci. Nie ma znaczenia, że nikt inny nie będzie wiedział o ich miłości.

Wicehrabia Nordal był początkowo zaskoczony, a potem zaszczycony. Ta dziewczyna sprawiła mu dużo kłopotów, wyjaśnił markizowi, mówiąc o Samancie tak, jakby dopiero co skończyła szkołę. Odrzuciła tyle propozycji małżeństwa, że trudno zliczyć. Ale naturalnie musiałaby mieć pomieszczone w głowie, gdyby odmówiła markizowi Carew. Markiz uśmiechnął się pod nosem, godząc się z milczącym założeniem, że Samantha, przyjmując jego oświadczenia, mogła się kierować tylko jednym.

Lady Brill również wydawała się zdziwiona, gdy pierwszy raz go zobaczyła. Naturalnie wiedziała, że oświadczył się jej kuzynce, która przyjęła oświadczenia. Podczas herbatki zachowywała się wobec niego bardzo uprzejmie, a Samantha w milczeniu patrzyła to na niego, to na ciotkę, mając w oczach uroczą mieszankę entuzjazmu i niepokoju. Markiz odniósł wrażenie, że tą wizytą zaskarbił sobie sympatię lady Brill.

Zastanawiał się, czy Samantha powiedziała ciotce, że wychodzi za mąż z miłości. Nie miało to jednak znaczenia.

Nie odrywając wzroku od gazety, wypił jeszcze kilka łyków kawy. Usłyszał stukanie kołatki do drzwi. Książę przyszedł wcześniej, niż zapowiedział. Zaraz jednak zabrzmiały głosy na korytarzu przed pokojem śniadaniowym, jeden z nich bardzo arogancki i głośny:

- Nie ma potrzeby zapowiadać mojego przybycia. Sam się zapowiem.

Markiz nie słyszał od kilku lat tego głosu, nie miał jednak wątpliwości, do kogo należy. Wydał wargi i z zalem zerknął ostatni raz na „Morning Post”.

Lionel, hrabia Rushford, osobiście otworzył drzwi i wpadł do środka, rozglądając się na

boki. Wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł od Westona. Bez przesady można powiedzieć, że był nieskazitelnie ubrany, na wzór najlepszych kreacji Beau Brummella. Naturalnie o żadnej części stroju Lionela nie trzeba było mówić z przesadą. Sprawiał takie wrażenie, jakby jego piękne ciało było stopione z ubraniem, Markiz nie wstał.

- Dzień dobry, Lionelu - powiedział. - Chodź, zjesz ze mną śniadanie. - Wskazał mu wolne krzesło.

- Przemeblowałeś tu - stwierdził kuzyn.

- Jak widzisz. - Nie podzielał upodobania ojca do ciężkich draperii i masywnych, niezgrabnych mebli. Zarówno w londyńskim domu, jak i w Highmoor wprowadził duże zmiany. Jego oko miłośnika krajobrazu zatrzymywało się czasem również na wnętrzach.

- Wuj przewraca się w grobie - powiedział Lionel. Stał przy kredensie i nałożył sobie po trochu z różnych ciepłych przekąsek. Jego słowa nie zdradzały szczególnej zajadłości, ale nie była ona potrzebna. Nawet po tylu latach markiz poznał ten ton głosu. Lionel sugerował nim, że to on był ulubieńcem wuja, w odróżnieniu od syna, który tylko przynosił ojcu wstyd.

Ta sugestia nie raziła już markiza. Kiedyś może cierpiał z tego powodu, potem jednak, gdy miał sześć lat, poznał daleko większe cierpienie, a o mniejszym zapomniał. Ponieważ jednak od tej pory nie odpowiadał na zaczepki kuzyna, Lionel wciąż myślał, że może mu w ten sposób dokuczyć.

- Nie wydajesz się szczególnie zaskoczony moim widokiem - powiedział Lionel, siadając do stołu, bynajmniej nie na krzesło wskazanym przez markiza. Ochoczo zajął się śniadaniem.

- Widziałem cię na balu u Rochesterów - powiedział markiz.

- I nawet nie podszedłeś, żeby wymienić uprzejmości?

- Lionel zdziwił się. - Tak pochłonęło cię przyglądanie się tańcom? Musiałeś mieć ciekawy widok.

- Tańczyłeś z panną Newman - powiedział markiz.

- No, właśnie. - Lionel odłożył sztućce. - Dlatego dziś przyszedłem. Rozumiem, że wypada ci pogratulować.

Markiz skłonił głowę.

- Samantha jest wyjątkowo urocza - powiedział Lionel. - Każdy mężczyzna, który ją widzi, ma na nią chrapkę. Szczęściarz z ciebie, Hartley.

Markiz zwrócił naturalnie uwagę, że jego narzeczona została wspomniana po imieniu, choć on sam wciąż jeszcze tak się do niej nie zwracał. Może Lionel zrobił to celowo? Tak, prawdopodobnie tak.

- Jestem w pełni świadom tego, że los się do mnie uśmiechnął, Lionelu - powiedział. - Dziękuję.

- „Majątek mam, bo przecież mam uroczą buzię, miły panie...” - Lionel zanucił fragment

starej piosenki i zachichotał. - Już nie tylko buzię, co, Hartley? Teraz Samantha wymieni swój majątek na dużo większy. Naprawdę szczęściarz z ciebie. Naturalnie nie chcę sugerować, że ona wybrała cię tylko dlatego. Nie wątpię, że masz też... inne wdzięki. Na przykład ładne oczy.

Powiedział to wyjątkowo dobrodusznie. Gdyby ktoś przysłuchiwał się ich rozmowie, uznaliby te słowa za przyjacielskie docinki. Markiz Carew nie dał się jednak zwieść. Ani wytrącić z równowagi.

- Dziękuję za gratulacje, Lionelu - powiedział z uśmiechem. - Naturalnie przyjdiesz na ślub?

- Za nic nie opuściłbym takiego wydarzenia - odrzekł kuzyn. - Jestem przecież chyba twoim ostatnim bliskim krewnym, czyż nie? Pod nieobecność mojego wuja i twojej matki muszę reprezentować rodzinę. Na pewno nie pozostanę obojętny na twój widok, gdy będziesz szedł do ołtarza z uroczą Samantha.

Markiz pomyślał, że Lionel jest mistrzem aluzji.

- Dziękuję - powiedział. - Liczę na twoją obecność w kościele.

- Bez wątpienia zabierzesz ją do Highmoor natychmiast, gdy tylko weselne dobra zostaną skonsumowane - powiedział Lionel. - W każdym razie tak zrobiłbym na twoim miejscu, Hartley. Uwięziłbym ją w Highmoor. Nie chcesz chyba, żeby jako mężatka udzielała się towarzysko w całym mieście. Wiesz, co się mówi o mężatkach. A każdy mężczyzna chce jednak być pewien ojcostwa, przynajmniej swego pierwородnego.

Markiz kurzowo zacisnął palce lewej ręki na serwetce. Ponieważ jednak Lionel to zauważył, uniósł serwetkę do ust.

- Żartowałem. - Lionel zachichotał. - Ona ma nieskazitelną reputację i bez wątpienia będzie ci wierna. Która kobieta nie byłaby? - Odsunął krzesło i wstał, mimo że na talerzu miał jeszcze dużo jedzenia. - Widzę, że skończyłeś śniadanie, Hartley. Na pewno masz plany na przedpołudnie. Nie będę cię zatrzymywał. Po prostu czułem się w obowiązku zapewnić cię o swojej życzliwości.

- Dziękuję. - Markiz został na swoim miejscu. - To miło z twojej strony, Lionelu. Znajdziesz sam drogę do drzwi?

Po wyjściu kuzyna siedział nieruchomo jeszcze przez kilka minut. Uśmiechnął się, wróciwszy spojrzeniem do ogłoszenia o zaręczynach, które wciąż czerniło się w gazecie, rozłożonej przy talerzu na stole. Lionel naturalnie nie wiedział, że tego ranka nie można było zasiać zwątpienia w jego umyśle. Zresztą Hartley był przekonany, że i kiedy indziej nie pozwoliłby się sprowokować.

Mimo wszystko ogarnęła go jednak irytacja. Może nawet coś więcej, jeśli miał być z sobą szczery. Furia. Nie, furia oznacza utratę panowania nad sobą, a on panował nad sobą całkiem dobrze. Był to raczej silny gniew.

Samantha. Lionel celowo nazwał ją po imieniu. Chciał wywołać wrażenie, że jest z nią w

zażyłych stosunkach. Podsunąć myśl, że po ślubie Samantha może nie dochować mu wierności. Czynił przecież aluzje do tego, że byłaby zdolna począć dziecko z innym mężczyzną i powiedzieć mu potem, że dziecko jest jego.

Nie przeszkadzało mu, że taka wesz obraża go i kpi z jego atrakcyjności dla żony. Opinia Lionela znaczyła dla niego tyle co nic. Dla kuzyna lepiej by jednak było, gdyby powstrzymał się od takich insynuacji w obecności osób trzecich.

Niech tylko spróbuje powiedzieć jedno obraźliwe słowo o Samancie, to narobi sobie kłopotów. Ale przecież już dawno powinien się czegoś nauczyć z zabawy w starego niedźwiedzia: że jeśli niedźwiedź się zbudzi, to może okazać się wcale nie takim niezdara, jak wyobraża sobie Lionel.

Samantha należała do niego. Po ślubie miała stać się jego własnością, choć nie sądził, by kiedykolwiek przyszło mu myśleć o niej w tych kategoriach. Samantha była jego dzięki temu, że się wzajemnie kochali i mieli wziąć ślub. Była jego. A on będzie bronił swojej własności.

Czuła się bezpieczna. Odzyskała radość i spokój ducha. Wiedziała, że wbrew temu, co sądzili inni, postąpiła słusznie.

- Nawet nie potrafię powiedzieć, jaki jestem zadowolony słysząc, że umiesz się zdobyć na tyle rozsądku, Samantho - powiedział wuj Gerald podczas jej wizyty u lady Brill. - Carew jest wart siedemdziesiąt tysięcy rocznie, a w kontrakcie zrobił bardzo szczodry zapis na rzecz ciebie i dzieci, w razie gdyby zmarł przed tobą. Dziedzicem będzie naturalnie pierworodny syn.

Nie miało dla niej znaczenia, że przynajmniej połowa eleganckiego towarzystwa, a może nawet większa część, sądzi, że jej wybór został podyktowany pozycją i bogactwem Hartleya. Wiedziała, że wybrała przyjaźń i bezpieczeństwo. Darzyła Hartleya głębszą sympatią niż innych znanych jej mężczyzn.

- A to mnie zaskoczyłaś - powiedziała ciotka Aggy po popołudniowej wizycie Hartleya. - On wcale nie jest takim typem młodego człowieka, jakiego bym się przy tobie spodziewała. Wiem, naturalnie, że jego tytuł i majątek nie mają dla ciebie najmniejszego znaczenia. Jestem szczęśliwa, widząc dowód twojej rozwagi. Potrafiłaś spojrzeć głębiej, nie poprzestając na zewnętrznym wrażeniu. To bardzo miły młody człowiek, kochanie. I wiem, że za nic byś się nie zgodziła na ślub, gdybyś go nie kochała. Myślę, że bardzo dobrze wybrałaś.

Nie wyprowadziła ciotki z błędu. To, co łączyło ją i Hartleya, było ważniejsze od miłości. O wiele ważniejsze. W ich stosunkach nie będzie oszukańczych wzlotów i niszczących upadków. Tylko przyjaźń, delikatność, uprzejmość i... och, bezpieczeństwo. Słowa wyrażającego to pojęcie uchwyciła się niemal obsesyjnie.

Zastanawiała się, czy ich małżeństwo będzie całkiem normalne. Nie mogła sobie wyobrazić między nimi niczego innego oprócz przyjaźni. Czuła się niemal zakłopotana, gdy próbowała myśleć

o czymś więcej. W pewnej chwili przypomniała sobie jednak pocałunek na balu u Rochesterów. To był cudowny pocałunek, ciepły i dodający otuchy. Może w małżeńskim łóżu też tak będzie, pomyślała. I nagle uświadomiła sobie, że pragnie znaleźć się w małżeńskim łóżu, chociaż z pomysłu małżeństwa zrezygnowała już bardzo dawno i nigdy nie miała szczególnej ochoty na to, co straciłaby jako panna.

Nie było powodu przypuszczać, że narzeczony proponuje jej czysto platoniczny związek. Bądź co bądź był markizem, choć wciąż jeszcze trudno było jej przyzwyczaić się do tej myśli. A jako markiz na pewno oczekiwał dziedzica.

Chciała mieć dzieci. Teraz, gdy podjęła nieoczekiwaną i raptowną decyzję wyjścia za mąż, żeby znaleźć bezpieczeństwo i nie dopuścić do siebie gwałtownych uczuć, które po powrocie Lionela stały się dla niej realnym zagrożeniem, chciała wszystkiego, co niesie z sobą małżeństwo. Z wyjątkiem miłości. Miłość ją przerażała. Była głęboko wdzięczna panu Wade'owi, Hartleyowi, że jest tylko jej przyjacielem. A wkrótce będzie mężem. Człowiekiem, który z charakterystycznym dla siebie spokojem i zrównoważeniem wprowadzi ją w tajniki małżeńskiego łóża. Albowiem mimo dojrzałego wieku i ogłady towarzyskiej Samantha wiedziała jedynie o podstawowym fakcie, który miał się tam zdarzyć.

Chciała tego... z Hartleyem. Bez żadnych burz. Jedynie z ciepłymi uczuciami, z szacunkiem. Bo zdawało jej się, że to właśnie ich łączy.

Orszak sprawił jej niespodziankę, aczkolwiek najbardziej zaskoczył ją Francis. Była wyjątkowo zaniepokojona jego dziwną reakcją na anons o małżeństwie, póki nie spotkała go na wieczorku dwa dni później. Znow wcielił się w swoje dawne ja. Miał na sobie lawendowy frak i rozleniwionym tonem spytał ją, czy udało mu się wycisnąć choćby jedną łzę z jej oka tego popołudnia, gdy nie pojechali do parku.

- Tylko mnie nie rozczaruj, Samantho. Nie mów mi, że nie uległaś mojej wspianiałej sztuce aktorskiej - powiedział. - W końcu zasługiwałaś na małą karę za to nagłe odszczepieństwo. Z kim teraz mam flirtować, nie narażając się na niebezpieczeństwo zakucia w małżeńskie kajdany?

Poczuła wielką ulgę, dowiedziawszy się, że Francis tylko udawał. W każdym razie chciała wierzyć, że tak było. Myśl, że naprawdę go zraniła, była dla niej bardzo przykra.

Kilku jej zalotników po prostu znikło. Niektórzy wyrazili mniejsze lub większe rozczarowanie. Dwoch chyba przyszło z serdecznymi gratulacjami.

Wszyscy jednak zgodnie założyli, że zaręczyła się z markizem Carew z niskich pobudek. Nie dbała o to, ale spróbowała spojrzeć na Hartleya oczami eleganckiego światka. Część ludzi poznała go dopiero wtedy, gdy zaczął jej towarzyszyć w niektórych wieczornych wyjściach, dla innych nadal był całkiem obcy.

Zobaczyła dżentelmena średniego wzrostu i bardzo przeciętnej budowy ciała, choć odkąd



raz miała okazję się do niego przytulić, wiedziała, że jest dobrze umięśniony. Zobaczyła człowieka, któremu nie zależy na efektownej powierzchowności, chociaż wcale nie ma brzydkiej twarzy. No i naturalnie zobaczyła człowieka, który prawe ramię zawsze trzyma sztywno przy ciele, dłoń ma wykrzywną i zawsze odzianą w rękawiczkę. A chromanie sprawia, że gdy idzie, jego ciało charakterystycznie podryguje.

Nie mogła mieć pretensji do ludzi, że tak odczytują jej motywy. Ale wcale o to nie dbała. Nie patrzyła już na Hartleya oczami innych ludzi, chyba że specjalnie się starała. Zresztą być może nigdy nie widziała go takim, jaki był w oczach innych. Dla niej był panem Wade'em, ostatnio markizem Carew, zawsze zaś najdroższym przyjacielem. Jej zbawcą... to słowo wcale nie wydawało jej się przesadzone. Hartley ocalił ją przed nią samą.

Będąc w towarzystwie Hartleya, dwukrotnie widziała Lionela, raz w teatrze i raz na prywatnym koncercie, ale ku jej uldze Lionel nie próbował do nich podejść. Uznała, że już go nie kocha. Naturalnie że nie. Miała swój rozsądek. Nie wolno jej było ulec odwiecznemu pociągowi do tego, co niezaprzeczalnie atrakcyjne, a zarazem złe.

Hartley ją przed tym ocalił. Wybrała przyjaźń i spokój. A ponieważ była teraz zaręczona z innym mężczyzną Lionel nie miał powodu ciągnąć swojej gry. Samantha czuła się bezpieczna.

W dwa tygodnie po zaręczynach poszła na bal z ciotką. Zaproszenie przyjęła już dawno, czuła się więc w obowiązku dotrzymać słowa. Poza tym uwielbiała tańczyć, a Hartley nie domagał się, by z jego powodu zrezygnowała z udziału w tańcach.

Tym razem Lionel nie zachował dystansu. Podeszedł do niej zaraz po rozpoczęciu pierwszego tańca, podczas którego siedziała, jako że jej orszak nieco stopniał, i wpisał się do karnetu na pierwszego walca.

Przez kilka minut tańczyli bez słowa. Lionel prowadził ją po parkiecie i zmierzył wzrokiem z półuśmiechem na ustach. Nie potrafiła odgadnąć, czy wyrażał nim kpinę, czy raczej rozmarzenie.

- Nie ufasz mi, prawda? - spytał w końcu cicho, poufale, chociaż otaczały ich inne pary.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie ufasz mi - powtórzył. - Boisz się, że złamię ci serce tak samo jak sześć lat temu.

Kiedy patrzył i mówił w ten sposób, zapomniała o wszystkim prócz uczuć, jakie kiedyś miała dla tego człowieka.

- Nie powinienem mówić nic więcej, prawda? Teraz, gdy zaręczyłaś się z innym, postąpiłbym honorowo, gdybym wycofał się w milczeniu.

- Tak - zdołała wyszeptać.

- Wiedziałaś, że zamierzam cię prosić, byś została moją hrabiną. Bo cię kocham. Bo zawsze cię kochałem.

Dlaczego to robił, jeśli nie był szczery? Na co mógł jeszcze liczyć? Spojrzała mu w oczy i

zobaczyła, że jest w nich tylko szczerłość i smutek.

„Postąpiłbym honorowo, gdybym wycofał się w milczeniu...” Dlaczego więc tego nie zrobi? Jeśli ją kocha, jak twierdzi, to dlaczego chce, by się dręczyła. Po pierwszym wybuchu, spowodowanym kompletnym zaskoczeniem, Francis wychodził z siebie, żeby uwolnić ją od przykrego wrażenia, że go zraniła. Zachował się honorowo, jak dżentelmen, mimo że lubił odgrywać dandysa, a nawet fircyka.

A jeśli Lionel naprawdę ją kocha? Jeśli naprawdę zamierzał jej się oświadczyć? Mogłaby wtedy zostać jego żoną, a nie Hartleya. Poczwała znajome oznaki pożądania. Ale małżeństwo z Hartleyem dawało jej pewniejszą pozycję.

- Kto inny oświadczył mi się pierwszy - powiedziała. - A ja przyjąłam oświadczyny. Bo tego chciałam.

- Bo go kochasz? - Przynął głowę trochę bliżej. Spojrzał na jej wargi. - Czy potrafisz wypowiedzieć te słowa, Samantha? „Bo kocham markiza Carew”.

- Moje uczucia do narzeczonego nie powinny nic pana obchodzić, milordzie.

- A uczucia do mnie? - spytał. - Czy możesz mi powiedzieć, Samantha, z całą uczciwością, że mnie nie kochasz?

- To jest impertynencja - odparła.

- Nie możesz, prawda? - nalegał, błagalnie się w nią wpatrując.

Zacisnęła usta.

Ta scena dręczyła ją przez kilka dni, ale ponieważ tylko dwa tygodnie dzieliły ją od ślubu, jakoś skupiła się na tym wydarzeniu i przygotowaniach do niego. Wyczekiwała go z tęsknotą.

Jenny i Gabriel dali znać, że nie przyjadą. Samantha przeczytała list od kuzynki z rozczarowaniem, lecz jednocześnie z ulgą. Przykro jej było, że nie zobaczy Jenny na ślubie, obawiała się jednak, że gdyby Thornhillowie przyjechali, natknęliby się gdzieś w Londynie na Lionela.

Ze swej strony Jenny była bardzo zawiedziona. Ale Gabriel, jak wyjaśniała, nigdy nie chciał się zgodzić, żeby podróżowała we wczesnych miesiącach ciąży, a tym bardziej w późniejszych. Bardzo bał się o nią, o to, że poroni i w ten sposób zrujnuje sobie zdrowie, a do tego straci dziecko. Również on żałował jednak, że ich nie będzie.

*Gabriel mówi, że jest pod wrażeniem Twojego rozsądku, Sam - pisała Jenny. - Spiesz się dodać, że nie chodzi mu o wybór człowieka bogatszego nawet od niego. Ma na myśli serdeczność i dobry charakter markiza Carew.*

*Mnie natomiast cisną się na usta mocniejsze słowa. Brzydko postąpiłaś, nie mówiąc nam przed wyjazdem do Londynu, że poznałaś markiza. A fe! A ja tak się gryzłam, kiedy wrócił do domu w dzień po Twoim wyjeździe. Wiązałam z Wami wielkie nadzieje na małżeństwo, chociaż*

*Gabrielowi nigdy bym się do tego nie przyznała. Puszylby się, że miał rację, i nigdy nie dałby mi o tym zapomnieć.*

*Och, Sam, jakie to romantyczne. Wzdycham z zachwytem, gdy o tym myślę. Schadzki w Highmoor, potem rozdzierająca serce rozłąka i stęskniony kochanek, podążający za Tobą żeby prosić Cię o rękę. I żyli długo, i szczęśliwie... tu wzdycham! Widzisz, co ze mną robi bycie w błogosławionym stanie? Ogromnie żałuję, że nie możemy przyjechać na Twój ślub. Bardzo lubię markiza, a Ciebie oczywiście kocham. No, ale będziemy sąsiadami. Umieram z zachwytu.*

Dalej następowały ściśle instrukcje dla Samantha, jak skorzystać z nowo zdobytych wpływów, by nakłonić męża do powrotu do Highmoor natychmiast po nocy poślubnej.

*Wszystkich nowo poślubionych mężów można sobie łatwo owinąć dookoła palca, Sam... I nie przejmuj się wykładem, który ciotka Aggy wygłosi Ci przed nocą poślubną, a najlepiej słuchaj go jednym uchem, a wypuszczaj drugim - kończyła Jenny. - Bo inaczej będziesz drżała ze strachu od pouczeń na temat obowiązku, bólu, wytrzymywania kilku minut co noc i licznych korzyści z małżeństwa, które sprawiają, że warto pocierpieć przy wypełnianiu tak odrażającej powinności. Tymczasem akurat ta powinność jest czymś bardzo pięknym i bardzo przyjemnym, jeśli kocha się swojego mężczyznę. Piszę Ci to, Sam, z własnego doświadczenia, choć czerwienię się przy każdej literze. Życzę ci więc miłych wrażeń z nocy poślubnej i wszystkich następnych nocy, chociaż jestem już pąsowa.*

Nawet Jenny nie знаła prawdziwego powodu ich małżeństwa. To prawda, że jej i Gabrielowi miłość przyniosła dużo dobrego. Ale miłość jest rzadkim darem. Samantha wolała przystać na coś zgoła innego.

Czekała na ślub z tęsknotą i ledwie maskowaną niecierpliwością. Kiedy stanie się mężatką, wszystko w jej życiu znajdzie wreszcie swoje miejsce. Będzie mogła żyć długo i szczęśliwie. Czasem tylko zdawało się jej, że wyczekiwany dzień nigdy nie nadejdzie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kościół Świętego Jerzego przy Hanover Square był modnym miejscem zawierania ślubów. A pierwszego dnia czerwca dobrze było brać ślub. Pogoda potraktowała nowożeńców życzliwie. Nawet lepiej, bo rankiem na niebie nie było ani jednej chmurki, a mimo upału nie czuło się duchoty. Kościół wypełnili modnie ubrani członkowie elity towarzyskiej Londynu.

Jeśli kiedykolwiek marzył mi się początek małżeńskiego szczęścia, to właśnie taki, pomyślał markiz Carew, dość nerwowo wyczekujący przed kościołem u boku nadzwyczaj uroczystego księcia Bridgwater. Wiele przemawiało za intymnym nastrojem cichej ceremonii w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół, markiz jednak pragnął czego innego.

Chciał, żeby cały świat zobaczył ich szczęście. Żeby cały świat wiedział, jak mu się udało. W najskrytszych marzeniach nie przypuszczał, że będzie miał piękną i uroczą żonę, która w dodatku wybierze go dla niego samego. Nie spodziewał się, że jakakolwiek kobieta go pokocha. A chociaż sam bardzo pragnął obdarzyć kogoś miłością, nie sądził, że uczucie będzie tak potężne, co więcej - odwzajemnione.

Ślub z najpiękniejszą kobietą w Anglii, którą kochał i która kochała jego, niewątpliwie stanowił godną okazję, by uświetnić ją obecnością towarzyskiej elity.

Oblubienice zawsze się spóźniały. Niektóre twierdziły nawet, że przyjście przed czasem lub punktualnie o czasie byłoby z ich strony przejawem złych manier. Dowodziłoby nadgorliwości, czego damie nie wolno okazywać w żadnych okolicznościach.

Samantha zjawiała się o czasie. Markiz uśmiechnąłby się w tej chwili, gdyby tylko mógł. Ewentualna nadgorliwość Samanthy wróżyłaby ich szczęściu jak najlepiej. Ale nie był w stanie się uśmiechnąć. Najpierw poczuł takie zdenerwowanie, że ugięły się pod nim nogi. A potem ujrzał Samanthę.

Zaparło mu dech w piersiach, taka była piękna. Właściwie nie widział jasnoróżowej muślinowej sukni z wysoką talią prostej i eleganckiej jak wszystkie stroje Samanthy, ani kwiatów wplecionych w jej blond włosy, ani skromnego bukietka w dłoni. Nie zauważył nawet wicehrabiego Nordal, na ramieniu którego wspierała się, idąc powoli przez nawę kościoła. Widział tylko Samanthę. Swoją oblubienicę.

Wydawała się blada i dość wystraszona. Nie rozglądała się na prawo i lewo po zgromadzonych gościach, choć wszyscy bez wyjątku patrzyli na nią. Natomiast ona patrzyła na Hartleya. Zauważył u niej leciutki grymas warg, namiastkę uśmiechu. Chciał odpowiedzieć uśmiechem, nie był jednak pewien, czy panuje nad mimiką. Miał nadzieję, że Samantha wyczyta ten uśmiech z jego oczu, odnajdzie w nim źródło otuchy i ciepłe powitanie.

Podeszli do niego i Hartley uświadomił sobie, jakby przedtem tego nie wiedział, że oto jest

dzień jego ślubu i za kilka minut będą z Samantha małżeństwem. Nieodwołalnie. Na całe życie. Lady Brill w pierwszej ławce już pociągała nosem.

- Najmilsi w Panu, zgromadziliśmy się... Znajome słowa. Znajoma ceremonia. A mimo to było w tym coś nowego i absolutnie cudownego. Bo tym razem słowa tej ceremonii były przeznaczone dla nich, dla niego, Hartleya Wade'a, i dla jego najmilszej.

Krótką jest ta uroczystość, pomyślał, obiecując kochać i szanować żonę, i niezłomie prowadzić ją przez zmienne koleje losu. Potem słuchał, jak Samantha obiecuje go kochać, szanować i okazywać mu posłuszeństwo, i postanowił nigdy, przenigdy nie wymagać od swojej ukochanej posłuszeństwa wbrew jej woli. Tak krótka była uroczystość, a przecież tak brzemienna w skutki.

W ciągu kilku minut niewielu słowami na zawsze odmieniono dwa życia. Związano w jeden dwa losy. Mężczyzny i kobiety. W jedno ciało i jedną duszę.

Zauważył, że dłoń księcia Bridgwater, podającego mu obrączkę, lekko drży. Jemu już nie drżała. Wsunął na palec Samantha widzialny symbol ich połączenia i miłości po wsze czasy.

- Dając ci tę obrączkę, biorę cię za żonę...

„Bo miłuję cię z całego serca, najmilsza” - dopowiedział nie tylko ustami, lecz również sercem i oczami.

I już było po wszystkim. Właśnie gdy zaczynało do niego docierać, że oto trwa najważniejsze wydarzenie jego życia. Skończyło się.

- ...Ogłaszam tedy, że jesteście mężem i żoną... Samantha wciąż była blada. Patrzyła mu w oczy pogodnie i z ufnością.

Pocałował ją w usta, króciutko, bardzo delikatnie. Rozległ się szmer zebranych, coś jakby zbiorowe westchnienie, i uśmiechnął się do Samantha. Tym razem mimika była mu posłuszna. Uśmiechnął się do oblubienicy, do swojej żony. A ona odpowiedziała mu tym samym.

Czasem szczęście bywa tak wielkie, że graniczy z cierpieniem. Odkrył to w dniu, gdy Samantha przyjęła jego oświadczenia. Czasem jednak radość wylewa się z człowieka w takiej obfitości, że niemożliwością wydaje się, jak mógł ją w sobie mieścić i nie być rozerwanym na milion kawałków.

Trzeba było jeszcze podpisać się w rejestrze. A potem organy zagrzmiały majestatycznym hymnem, Hartley zaś ułożył prawe ramię żony na swoim lewym i ruszył z nią do wyjścia nawą, którą Samantha jeszcze niedawno szła w drugą stronę, wsparta na ramieniu wuja. Kątem oka widział jej uśmiech i znów zarumienione policzki. Rozejrzał się z uśmiechem po zebranych wytwornym towarzystwie. Niewielu z tych ludzi znał dobrze, większość jednak poznał w ciągu ostatniego miesiąca. Była więc lady Brill z zaczerwienionymi oczami i płaczącym uśmiechem. I Gerson, puszczający do niego oko. I Lionel z nieprzeniknioną miną.

Zatrzymali się na chodniku przed kościołem. Dźwięki organów nagle zostały za nimi, dziwnie zwałtałe. W pewnym oddaleniu od czekających powozów stała grupka gapiów. Goście mieli zaraz wyspać się z kościoła i stłoczyć wokół państwa młodych. Hartley wyciągnął sztywne prawe ramię i delikatnie położył je na ramieniu Samantha.

- Samantha Wade, markizo Carew - powiedział. Chciał być pierwszym człowiekiem po księdzu, który wypowie ten tytuł. - Nie potrafię znaleźć słów, żeby opisać, jaka jesteś piękna.

- Och, mówisz tak, jakbym była wspaniała i majestatyczna - powiedziała bez tchu. - A ty jesteś bardzo przystojny, Hartley.

Patrzy oczami miłości, pomyślał z zadowoleniem. Ich krótka chwila na osobności dobiegła końca.

Sala balowa w domu markiza przy Stanhope Gate była obszerna. Mimo to wydawała się zatłoczona. Stoły stały na całej jej długości, elita towarzyska Londynu zasiadła do nich, by zjeść uroczyste śniadanie. Samantha, zajmująca miejsce obok męża, wciąż czuła się oszołomiona. W tym samym stanie zbudziła się rano z niespokojnego snu. Teraz trudno jej było uzmysłwić sobie, że już po wszystkim. Wzięła ślub. Hartley był jej mężem.

Przez cały poprzedni dzień czuła się chora z niezdecydowania. Chora całkiem dosłownie. Trzy razy zwymiotowała i zauważyła, że ciotka dziwnie się jej przygląda, jakby snuła jakieś domysły. Ale źródłem dolegliwości Samantha były wyłącznie nerwy i ostatnie wątpliwości. Czy wolno wychodzić za mąż z rozsądku... dla bezpieczeństwa? A jeśli życie jednak przyniesie jej miłość? Nazajutrz będzie już za późno, by się wycofać, nawet gdyby tak się stało.

Ciotce Aggy powiedziała tylko o zdenerwowaniu. Musiała jej coś powiedzieć, bo ciotka w końcu spytała ją wprost, czy przypadkiem nie jest przy nadziei.

- Bo gdybyś była... - Ciotka westchnęła. Po zapewnieniu, że nie ma takiej możliwości, wydawała się niemal zawiedziona. - Gdybyś była, to nie musiałabym cię pouczać, czego możesz się spodziewać po pierwszej małżeńskiej nocy. Nie chcę powiększać twoich lęków, kochanie, ale lepiej być przygotowaną.

Po czym wygłosiła wykład, przed którym ostrzegła Samanthę Jenny. Samantha zaczerwieniła się, słuchając obrazowego i całkiem beznamiętnego opisu procesu fizycznego. Do pewnego stopnia opis ten był dla niej nowością. Częściowo jednak przez cały czas znajdowała się gdzie indziej, nieustannie rozważała bowiem wątpliwości.

Przez ostatnie dwa tygodnie Lionel tańczył z nią dwa razy. Był blady, milkliwy, bardzo poważny i naturalnie niewiarygodnie przystojny. Nie czynił już aluzji do jej zaręczyn. W ogóle odzywał się niewiele. Za to jego niebieskie oczy były szalenie wymowne. A Samantha tańcząc - jak zwykle z nim - walca, nie mogła oderwać od nich wzroku.

Ostatnio Lionel zachowywał się jednak honorowo, tak samo jak Francis, Jeremy, sir Robin i

pozostali jej przyjaciele z orszaku. Wolałyby, żeby jego fałsz był bardziej widoczny.

Znowu ogarnęły ją wątpliwości. Nie była pewna, czy słusznie go osądziła. Sześć lat to szmat czasu. Lionel spędził ten okres za granicą. Nie miał już dwudziestu pięciu lat, lecz trzydzieści jeden. Z młodzieńca stał się dojrzałym.

A jeśli jednak był szczery przez cały czas? Powiedział, że chce ją uczynić swoją hrabiną. Z nim miałyby okazję znów doświadczyć wyżyn romantycznej miłości.

Może jednak również przepaści. Może Lionel wcale nie był szczery. Zresztą nawet gdyby chciał się z nią ożenić i gdyby wzięli ślub, to czy pozostałby jej wierny do końca życia? Czy też znów poznałaby smak rozpacz, która stanowiła dokładne przeciwieństwo radosnego przeżywania miłości?

Uznała, że postępuje słusznie. Taki rodzaj uczucia, jaki łączy ją z Hartleyem, trwa niezmiennie, a nie wątpiła, że „uczucie” nie jest zbyt mocnym słowem. Hartley zawsze będzie wobec niej uprzejmy i delikatny. Na zawsze zwiąże ich przyjaźń. Nie musiała się obawiać jego niewierności. A co do niej... po ślubie poświęci się bez reszty mężowi. Miała nadzieję, że wkrótce urodzi mu dziecko, Hartley bowiem na pewno chciał, by ich małżeństwo było normalne. I będzie bezpieczna.

Zaraz jednak znowu odżyły w niej wątpliwości i tak było przez cały dzień i całą noc. Powtarzał się cykl, w którym po napadzie lęku i paniki przychodził okres pewności siebie i zdrowego rozsądku.

Teraz było po wszystkim. Mogła odsunąć wątpliwości na bok, ich czas minął. Byli z Hartleyem małżeństwem.

Ślubna uroczystość zrobiła na niej o wiele większe wrażenie, niż się spodziewała. Aż do chwili, gdy tego ranka zobaczyła Hartleya, elegancko, a nawet przystojnie wyglądającego w nowym niebieskim fraku, zestawionym z szarymi spodniami i bielutką lnianą koszulą, zdawało jej się, że zawierają praktyczną i bardzo rozsądną umowę. Wkrótce jednak okazało się, że jest to... małżeństwo. Człowiek, z którym zdecydowała się mieszkać do końca życia, był nie tylko jej przyjacielem. Był jej mężem. Zadrżała na myśl o nieodwracalności tego faktu.

Hartley musnął palcami jej dłoń i pochylił się do niej.

- Bardzo mało jesz - powiedział. Uśmiechnęła się do niego.

- Czy to nie byłoby dziwne, gdyby panna młoda jadła za trzech?

Uwielbiała uśmiech, który pokazywał się w jego oczach. Mogłabym się zakochać w tym uśmiechu, pomyślała zaskoczona.

- Jutro - powiedział. - Jutro znów będziesz mogła jeść.

Poczuła, że oblewa się pąsem. Ale nie lękała się nadchodzącej nocy, wbrew ostrzeżeniom ciotki Aggy i jej własnemu, całkiem nowemu wrażeniu, że powinna się spodziewać czegoś więcej

niż tylko cielesnego zbliżenia. Nie lękała się. Była tylko trochę zakłopotana myślą, że będzie to robić z przyjacielem, a nie z ukochanym.

Przed kościołem powitała ich oszalałająca cizba ludzi, prawie wszyscy całowali ją w policzki, ściskali jej dłoń, a potem potrzęsali dłonią Hartleya - zauważyła, że podaje lewą. Kobiety dodatkowo go całowały. W każdym razie Samantha i tak nie widziała wszystkich gości. Nawet teraz, siedząc i jedząc, a właściwie nie jedząc, była tak oszołomiona, że nie potrafiła skupić się na twarzach obecnych. Wiedziała tylko, że jest trochę przyjaciół Hartleya, których w najlepszym razie zna z widzenia.

Parę tygodni temu na popołudniowym przyjęciu pod gołym niebem Hartley przedstawił ją lordowi Gersonowi, jednemu ze swych najlepszych przyjaciół. Poznała teraz tego człowieka i uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem. Sprawiał wrażenie, jakby małżeństwo przyjaciela było dla niego wielkim żartem. Nawiasem mówiąc, podczas tamtego przyjęcia wspomniał Samancie, że jeszcze nigdy nie widział Hartleya w Londynie podczas sezonu, więc trafnie odgadł istnienie kobiety, która spowodowała tę nagłą zmianę w jego trybie życia.

- No, ale teraz, kiedy panią zobaczyłem, wszystko jest dla mnie jasne, panno Newman - powiedział. - Na Jowisza, udało się hrabiemu Carew. Szczęściarz z niego.

W głębi sali balowej dostrzegła lorda Hawthorne'a, niedaleko także Francisca. Zresztą Francis zwracał uwagę, miał bowiem na sobie cytrynowy frak z jasnoturkusową kamizelką. Wyglądało na to, że flirtuje z obydwiema sąsiadkami. Stanowczo zbyt dużo śmiał się i uśmiechał.

Czy podczas ich ostatniej przejażdżki mówił poważnie? Chyba jednak nie. Wyglądało na to, że znakomicie sobie radzi. Samantha miała nadzieję, że powaga była udana. Bardzo lubiła Francisca.

I przyszedł też... o Boże! Czyżby był obecny przez cały czas? Siedział pośrodku sali i tak przykuwał uwagę, że raczej nie mógł się tam nagle pojawić znikąd. Czyżby był również w kościele? Co tam robił? Z pewnością nie wpisała go na listę gości. I Hartley na swoją też nie, aczkolwiek powiedział jej, że część zaproszeń przekazał ustnie. Ale to niemożliwe, żeby zaprosił akurat jego.

Popatrzyli sobie w oczy. Nim odwróciła wzrok, Lionel mierzył ją poważnym, żalobnym spojrzeniem. Nagle zauważyła, jak gorąco jest w sali i jak duszno od mieszaniny setek gatunków perfum. Zaczęła dyskretnie wciągać powietrze przez usta, starając się nie dyszeć.

Były przemowy i toasty, i aplauz, i śmiechy. Hartley wstał, żeby przemówić, więc uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia, wiedziała bowiem, że zamierza powiedzieć coś pochlebnego o niej i swoim szczęściu.

Miło się zachował. Czyżby nie rozumiał, że to ona miała szczęście? Samantha poczuła nagłą falę zadowolenia, że już jest po wszystkim i nie musi borykać się z wątpliwościami. Wreszcie była



bezpieczna z mężczyzną, którego darzyła zaufaniem i sympatią.

Ci, którzy nie złożyli im życzeń przed kościołem, zrobili to po śniadaniu. Goście przemieszczali się tłumnie po całej sali, a służba usiłowała dyskretnie sprzątnąć stoły. Część ludzi przeniosła się do sieni i salonu, część wyszła na taras i do ogrodu. Samanthę rozdzielono z mężem, którego ktoś odciągnął do salonu, do jakiegoś starego arystokraty, ponoć będącego znajomkiem jego dziadka. Tymczasem Samanthę porwały przyjaciółki, z których dwie ujęły ją za ręce i zaciągnęły do ogrodu.

Tam złożył jej hołd cały orszak; uśmiechnęła się, bo wyobraziła sobie, że tak właśnie opisałby to Gabriel. I nagle poczuła silną tęsknotę za Gabrielem i Jenny.

Francis zapowiedział jej, że od następnego dnia wszyscy ogłaszają głęboką żalobę, a po jej zakończeniu po prostu zejdą na psy. Samantha poklepała go jednak po ramieniu i przypomniała mu, co robił niedawno przy stole. Nie tak zachowuje się mężczyzna, który postanowił szczeznąć z powodu nie odwzajemnionej miłości.

Francis uśmiechnął się od ucha do ucha, uściskał jej dłonie i pocałował ją w oba policzki. Za jego przykładem poszedł sir Robin, potem Jeremy Nicholson i następni.

Uznała, że musi poszukać Hartleya. Bez niego czuła się, jakby czegoś jej brakowało.

- Ojej - powiedziała nagle, bo wszystko, co widziała, niespodziewanie się rozmazało, a po policzkach popłynęły jej łzy. Rozmawiając z dawnymi znajomymi i swym orszakiem, znów uświadomiła sobie, że w tym dniu jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Była panną młodą, żoną. Ta myśl wydała jej się przyjemna. - O Boże, jaka jestem głupia.

- Widzisz, Samantho? - powiedział sir Robin. - Pogrążasz się w żalu tak samo jak my. Tylko za którym z nas tak tęsknisz? To bardzo interesujące pytanie. - Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, a tymczasem Francis podał jej wielką, lnianą chustkę.

Otarła oczy i zacisnęła dłoń na tym skrawku materiału. Francis się odwrócił, jego uwagę przyciągnęła bowiem jedna z pań, które zabawiał podczas śniadania.

- Coś starego i coś nowego - szepnął jej do ucha cichy głos. Odwróciła się gwałtownie, odcinając się w ten sposób od małej grupki, która jeszcze ją otaczała. - Te perły miałaś jeszcze jako dziewczynka. Pewnie należały do matki. Za to suknia jest nowa i piękna.

- Dziękuję - powiedziała, niepewnie uśmiechając się do Lionela. Nie chciała go pytać, co tu robi. Obawiała się, że bezczelnie wtargnął na śniadanie bez zaproszenia. Ale po co?

- Coś pożyczonego - powiedział, długim, starannie wypielegnowanym palcem dotykając chustki, którą Samantha ścisnęła w dłoni. - Ale nic niebieskiego, mam rację, Samantho?

- Nie pomyślałam o tym - powiedziała, wpatrując się w jego niebieskie oczy. Sprawiały wrażenie smutnych.

- Ja pomyślałem - oświadczył. - Przyniosłem ci ślubny prezent. Rodzinny klejnot. Zawsze

był dla mnie bardzo cenny. Chciałem ci go dać z okazji naszego ślubu. - Na moment zmarszczył czoło, zaraz jednak uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej puzderko. Nie podał go Samancie, lecz otworzył i pokazał zawartość. Nie spuszczał przy tym wzroku z jej twarzy.

Wzięła głęboki oddech. Szafir tworzący jądro broszki otaczały diamenciki w ładnej, staroświeckiej oprawie.

- Coś niebieskiego - powiedział.

- Och, milordzie - powiedziała, bardzo zmieszana. To był taki piękny, osobisty podarunek. - Nie mogłabym...

- Nie - zaprotestował cicho. - Nie możesz odmówić przyjęcia ślubnego prezentu. Na dowód mojej... estymy, Samantho.

- Nie. - Nadal kręciła głową. - To jest za bardzo osobiste, milordzie. Bardzo dziękuję, naprawdę. Ale nie mogę przyjąć.

- Co powiedziałałby Hartley, gdybyś odmówiła?

- Ha... Hartley? - Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Mój kuzyn - powiedział. - Mój kuzyn Hartley. Właściwie razem się wychowaliśmy. Nie powiedział ci? I ja chyba też nie, aż do teraz, prawda? Czasem wydaje się, że ktoś coś na pewno wie... Ale przecież nie miałaś skąd wiedzieć. Przepraszam. Moja matka i jego ojciec byli rodzeństwem. Dużą część dzieciństwa spędziłem w Yorkshire, w Highmoor.

Przypomniała sobie rok, w którym Jenny miała debiutować w towarzystwie i czekała na oficjalne ogłoszenie zaręczyn z Lionelem. Trzeba było wszystko odłożyć, bo Lionel pojechał do Yorkshire czuwać przy łożu ciężko chorego wuja. Zaraz też przypomniała sobie, że między Lionelem i Gabrielem wybuchła wielka kłótnia na tematy osobiste, a wkrótce potem Jenny stała się ośrodkiem potwornego skandalu i musiała wyjść za mąż za Gabriela. Samantha nigdy jednak nie dopytywała się o wszystkie szczegóły, więc ich nie знаła. Ale żeby Lionel był kuzynem Hartleya?

- Zdziwiłaś się, prawda? - powiedział. Odpiął broszkę od aksamitnej poduszeczki w puzderku. - Jak widzisz, przez twoje małżeństwo staliśmy się spowinowaceni. A to jest klejnot rodzinny. Teraz chyba nie odmówisz przyjęcia? Poza tym naprawdę musisz mieć coś niebieskiego.

- Tak - powiedziała niepewnie. - Dziękuję, milordzie.

Patrzyła z dość nieszczęśliwą miną, jak Lionel wyjmuje broszkę z puzderka i przypina do jej ślubnej sukni, powyżej lewej piersi. Zapinka była mało sprężysta. Palce Lionela mocowały się z nią całą wieczność, parząc Samanthę przez cienki muślin sukni. Gdy Lionel skończył i przyglądał się efektowi swej pracy, jedna z jego dłoni osunęła się po piersi Samanthy, muskając po drodze uwrażliwioną sutkę.

- Tak - powiedział cicho. - Wiedziałem, że tu jest jej miejsce, Samantho. Żałuję tylko, że

okoliczności są nie takie, jak miały być, że jesteś dziś żoną kogo innego. Ale życzę ci szczęścia, moja droga. - Ukłonił się wytwornie, przez cały czas patrząc jej w oczy.

- Dziękuję, Lionelu. - Poniewczasie uzmysłowiła sobie, że użyła jego imienia, czego nie robiła od sześciu lat. - Muszę iść i poszukać męża.

- Męża - powtórzył. W jego oczach znów pojawił się smutek. Samantha pośpiesznie zawróciła w stronę domu, choć zanim osiągnęła próg, musiała jeszcze trzy razy przystanąć, by pozwolić się wycałować weselnym gościom.

Sam nie wiedział, w jaki sposób pozwolił się zapędzić do kąta pięciu starszym damom, które z wielką przyjemnością wspominały jego ojca czy dziadka, w każdym razie „tego przystojnego mężczyznę”. Wszystkie też zgodnie wyrzucały mu, że większą część życia spędza w ukryciu, nie pokazując się w towarzystwie.

- Pozostaje nam nadzieja, że lady Carew pana zmieni, markizie - powiedziała jedna z dam, zaskakując Hartleya nowym tytułem Samantha.

- Przecież nie musi się pan chować tylko dlatego, że pan utyka i ma okaleczoną rękę - zawtórowała jej przyjaciółka, zupełnie nie przejmując się swoim nietaktem. - Wielu naszych wojennych bohaterów zapłaciło dużo wyższą cenę. Młody Waters, wnuk mojej siostry, wrócił do domu z jedną nogą. Drugą ucięli mu w kolanie.

Hartley z wielką ulgą spostrzegł na progu salonu Samanthę. Rozglądała się, póki go nie zauważyła. Wszyscy ludzie, których mijala, chcieli ją wycałować i zamienić z nią kilka słów, po pięciu minutach udało jej się jednak stanąć przy mężu. Rozdzielając wokół uśmiechy, swobodnie włączyła się do rozmowy z leciwymi arystokratkami. Dwie z nich nie wahały się udzielić jej dość konkretnych rad w sprawie nocy poślubnej, po czym rechosem skwitowały swoje poczucie humoru i rumieniec Samantha, choć same przy okazji też oblały się pąsem.

Samantha miała jednak potrzebne obycie towarzyskie i łatwo udało jej się wyciągnąć ich oboje z tej kłopotliwej sytuacji. Po zaledwie kilku minutach Hartley wszedł za nią do sieni, gdzie niektórzy goście zaczęli się wreszcie zbierać do odejścia. Przez następne minuty państwo młodzi nie mieli więc możliwości zamienić z sobą ani słowa bez świadków.

Hartley tęsknił do prywatności. Wprawdzie sam zażyczył sobie okazałego wesela i wcale tego nie żałował, ten dzień mieli bowiem zapamiętać do końca życia, ale bardzo chciał zostać tylko z Samantha. Była przed nimi jeszcze większa część dnia, a on miał dość taktu, by nie ciągnąć jej do łóżka, póki nie przyjdzie na to czas, i bez tego jednak tęsknił do jej towarzystwa. Miło byłoby porozmawiać we dwoje albo po prostu posiedzieć w milczeniu.

Nagle przypomniały mu się ich popołudnia w Highmoor. Już niedługo. Za tydzień tam wrócą i odtąd będą żyli długo i szczęśliwie.

Wziął w końcu Samanthę do ogrodu, w którym przechadzali się coraz bardziej nieliczni

goście. Odetchnął świeżym powietrzem, podał żonie ramię i razem poszli do małego rosarium, gdzie Hartley miał nadzieję znaleźć trochę spokoju. Na szczęście rzeczywiście nikogo tam nie było. Posadził Samanthę na ławce z kutego żelaza, a sam zajął miejsce obok.

- Ktoś powinien był mnie uprzedzić - powiedział - że w dzień wesela widzi się wszystkich, tylko nie pannę młodą.

- Ale to wszystko jest bardzo przyjemne - odparła, spoglądając na niego z uśmiechem.

Wtedy zauważył broszkę. Zatrzymał na niej wzrok; krew odpłynęła mu z twarzy.

- Skąd to masz? - spytał szeptem.

- Co? - Zmarszczyła czoło. Wnet jednak spojrzała w to samo miejsce co on, spłonęła rumieńcem i zakryła ozdobę dłonią. - Lionel... to znaczy lord Rushford dał mi ją w prezencie ślubnym - odrzekła. - Powiedział, że to rodzinny klejnot. Twojej rodziny. Powiedział... Nie wiedziałam, Hartley, że on jest twoim kuzynem. Ani że utrzymujecie bliskie kontakty. Podobno chciałbyś, żebym przyjęła tę broszkę. Zażartował, że muszę mieć coś niebieskiego, i... Poznajesz tę broszkę?

Należała do jego matki. Była jedną z jej najcenniejszych rzeczy. Matka dostała ją od ojca w dniu ślubu, zawsze mówiła, że chciał dać jej „coś niebieskiego”. Nosiła tę broszkę prawie zawsze. Kiedy umierała, kazała mu ją zatrzymać, a w przyszłości dać swojej żonie. Z jakiegoś powodu ta prośba utkwiała w pamięci Hartleya wyraźniej niż wszystko inne, po śmierci matki szukał więc broszki jak szalony. Pytał o nią ojca, pytał ciotkę, która była matką Lionela, czasem sprawiał takie wrażenie, jakby żałował broszki prawie tak samo jak matki. Nigdy jednak jej nie znalazł.

Tymczasem to Lionel miał broszkę. Może sam ją wziął, a może dostał. Jemu, Hartleyowi, nikt w każdym razie nigdy o tym nie powiedział. Pozwolono mu szukać, toteż robił to latami, znacznie dłużej, niż dyktowałby rozsądek. A teraz broszkę dostała jednak jego żona... od Lionela.

- Poznaje - potwierdził. - To broszka mojej matki.

- Ooo. - Powiedziała to tak, jakby jej niesamowicie ulżyło. - Wobec tego to był z jego strony bardzo sympatyczny gest, że mi ją dał, prawda, Hartley? Zwrócił ją tobie za moim pośrednictwem. To jest ślubny prezent dla nas obojga. Twój tak samo jak mój.

- Broszka jest twoja, Samantho. Tak samo jak kiedyś była mojej matki. Popatrz, jak ci z nią ładnie.

Uśmiechnęła się do niego i przesunęła po ozdobie palcami. Ale Hartley czuł wielki, bezsilny gniew, częściowo zresztą na samego siebie. Nagle uświadomił sobie, że oprócz obrączki niczego żonie nie kupił. Ulubiona szafirowa broszka jego matki, „coś niebieskiego” do ślubu, była prezentem od Lionela.

Co, do diabła, Lionel chciał przez to powiedzieć? Czy miała to być pokojowa propozycja? Markiz nie uwierzył w to ani na chwilę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Samantha często gościła w domach innych ludzi. Przywykła do spania w obcych sypialniach. Właściwie można było powiedzieć, że przez parę lat nie miała naprawdę swojego domu. Teraz trudno jej było przywyknąć do myśli, że ten pokój należy do niej. Była u siebie w londyńskim domu markiza, tak samo jak była u siebie w Highmoor, a to dlatego, że wzięła ślub z ich właścicielem.

Założyła ramiona na piersi, mimo iż nie było jej zimno, i rozejrzała się po wielkim kwadratowym pokoju z wysokim stropem, który pokryto freskiem przedstawiającym idylliczną scenę pastoralną. Pod stopami miała miękkie, ciepły dywan, wokoło stały eleganckie meble, wśród nich łoże z jedwabnym baldachimem.

Wszystko wskazywało na to, że będą zupełnie normalnym małżeństwem. Naturalnie nie było żadnego powodu, dla którego miałoby być inaczej. Hartley obiecał, że niedługo do niej przyjdzie. Samancie przypomniał się wykład ciotki Aggy i list Jenny. Nie spodziewała się jednak po tej nocy żadnych skrajności. Nie sądziła, by przeżycie miało w niej wzbudzić lęk i okazać się odrażające. Nie sądziła jednak także, by miało ją upoić i przejąć zachwytem. Miała nadzieję, że będzie po prostu przyjemne.

Właśnie uświadomiła sobie, że podczas tych rozmyślań zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po pokoju, gdy zatrzymało ją pukanie. Nie odpowiedziała. Hartley otworzył drzwi, wszedł i zamknął je za sobą. Miał na sobie brokatowy szlafrok w kolorze wina, z aksamitnym kołnierzem. Z uśmiechem na twarzy podążył do niej przez pokój, wyciągnąwszy ramiona.

- Już myślałem, że ta chwila nigdy nie nadejdzie - powiedział. - Bezwstydnie jej wyczekiwałem przez cały dzień. Cały miesiąc.

Zdjął rękawiczkę. Spojrzała na jego prawą dłoń, która objęła jej rękę. Była wątlejsza od lewej i bledsza. Palce miał sztywno wygięte w stawach, nadgarstek zniekształcony.

- Szkoda, że nie mogę być dla ciebie cały - powiedział.

- Cały? - Spojrzała mu w oczy. - Myślisz o swoim wypadku? Czy sądzisz, że sprawia mi to różnicę? To, że kulejesz? I że częściowo straciłeś władzę w ręce? Jesteś cały pod każdym względem, który wydaje mi się ważny. Przykro mi tylko, że ty się tym gryziesz.

Uniosła jego prawą dłoń i otarła sobie o policzek. Odwróciwszy głowę, pocałowała jego palce.

- Dziękuję ci - powiedział. - Trochę się tym martwiłem.

Uśmiechnęła się do niego i splonęła rumieńcem.

- Zdenerwowana? - spytał.

- Tylko trochę. No, może odrobinę zakłopotana. - Roześmiała się. - Zdenerwowana pewnie

też. Ale nie jestem wystraszona ani niechętna.

Przysunął się do niej o krok, tak że prawie jej dotknął, i palcami lewej dłoni musnął jej policzek.

- Mam swoje doświadczenia - powiedział. - Nie mówię tego, żeby się chępić, tylko żeby dodać ci otuchy. Wiem, jak pomóc ci się odprężyć i jak dać ci przyjemność. Postaram się też, żeby ból za pierwszym razem był jak najmniejszy.

Pocałował ją. Była tym dość zaskoczona, mimo iż mąż właśnie przyszedł do sypialni w ich noc poślubną. I mimo iż pocałował ją przedtem na balu u Rochesterów, na jej własne życzenie. Nie spodziewała się pocałunków tego wieczoru. Kojarzyły się jej z miłością i romansami.

Ucieszyła się jednak. Objęła go za szyję i przytuliła się do niego. Był ciepły i trochę znajomy. Powiedział, że będzie umiał ją odprężyć. Widocznie robił to właśnie teraz. Nie czułaby się swobodnie, gdyby natychmiast wziął ją do łóżka i bezceremonialnie przystąpił do spełniania aktu małżeńskiego. Rozchyliła wargi, biorąc przykład z Hartleya, i poczuła, że ich ciała stykają się coraz bardziej intymnie. Hartley delikatnie poruszał językiem we wnętrzu jej ust.

Zaczął całować ją po zaciśniętych powiekach, po chwili zawędrował wargami na skronie, podbródek, szyję. Samantha przesuwała w palcach jego miękkie, jedwabiste włosy. Pomyślała z zachwytem, że Hartley chce, by zostali kochankami, tak samo jak są już przyjaciółmi oraz mężem i żoną, którzy spełniają akt małżeński.

Znów pocałował ją w usta, jednocześnie głaszcząc po plecach. Lewa ręka przeniosła się jednak zaraz na przód jej ciała i zaczęła pieścić piersi. Samantha mimo woli nieznacznie się odwróciła, tak że dłoń Hartleya otoczyła wzgórek, a kciuk raz po raz muskał sutkę.

Och, jakie to było przyjemne. Z góry wiedziała, że będzie jej przyjemnie. Ciotka Aggy głęboko się myliła, czyżby więc miała takie złe doświadczenia ze swojego małżeństwa? Samantha w każdym razie doznawała czegoś bardzo miłego. Choć naturalnie nie był to akt małżeński.

- Połóżmy się, będzie nam wygodniej - powiedział tuż przy jej wargach, jakby czytał jej w myślach.

Zastanawiała się, czy przyjdzie kiedyś czas, że wszystko to stanie się mechanicznym rytuałem, któremu nie będzie poświęcała nawet strzępka myśli. Przypuszczalnie kiedyś musi tak się stać. Nagle jednak, leżąc na łóżku i przyglądając się, jak Hartley zdmuchuje świece, poczuła wielkie zadowolenie, że właśnie dziś jest pierwszy raz z mężczyzną. Na ten dzień przypadły bowiem dwa z najbardziej znaczących zdarzeń w życiu: ślub i początek współżycia płciowego. Chciała na zawsze zachować je w pamięci jako coś wyjątkowo przyjemnego.

Hartley podłożył jej prawe ramię pod głowę i przyciągnawszy ją do siebie, znów zaczął całować. Miał na sobie już tylko nocną koszulę. Był bardzo ciepły, więc wtuliła się w to ciepło. Dawał jej poczucie czegoś stałego, na czym można się oprzeć. Bardzo się cieszyła, że myśli właśnie

o nim. Że nie doświadcza porywającej namiętności ani miłości. Bo inaczej byłaby przerażona, a tym mogła się cieszyć, i to bardzo.

- Tak - szepnęła, gdy znów dotknął jej piersi. - To bardzo miłe, co mi robisz, Hartley. - Sięgnął do drugiej piersi.

Samantha zapadła w sen na jawie, z rozmarzeniem chłonęła przyjemność. Prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że w chwilę potem Hartley rozpiął jej guziki koszuli i wsunął dłoń pod spód, by pogłaskać piersi obnażone z jedwabnej zasłony. Wcale nie czuła zakłopotania.

- Jakie piękne - szepnął.

Wyraźniej zauważyła, że poddarł jej koszulę powyżej bioder. O dziwo jednak, nadal nie czuła skrzepowania. Czyżby przyszedł czas? Była gotowa. Ale Hartley wcale nie zrobił tego, czego się spodziewała. Delikatnie zaczął głaskać wewnętrzną stronę jej ud, tak że czubkami palców muskał jedną nogę, a ich wierzchem drugą. To też było niezwykle przyjemnie. Lekko rozchyliła nogi.

Dłoń Hartleya dotarła wyżej, w najbardziej sekretne miejsce Samanthy i musnęła okrywające je płatki. Samantha zdrętwiała, ale tylko na małą chwilę, wkrótce znów poczuła się swobodnie. Hartley był jej mężem. Miał do tego prawo. A doznanie było nadal bardzo miłe. Wcale się tego nie spodziewała. Nagle jednak stężała ponownie, poczuła bowiem wilgoć między nogami.

- Nic, nic - szepnął uspokajająco. - Nie bój się. To jest zupełnie naturalne. Twoje ciało przygotowuje się na przyjęcie mojego. Żeby zetknięcie nie było przykre.

Ciotka Aggy o tym nie wspomniała. Samantha odprężyła się. Chociaż, prawdę mówiąc, nie było to pełne odprężenie. Cóż wobec tego? Czyżby czuła pożądanie? No nie, chyba nie. Nie życzyła sobie pożądania ani niczego pokrewnego namiętności. Jej ciało przygotowało się na przyjęcie Hartleya i teraz czekało. Tak, Hartley dobrze to opisał. Jej ciało było gotowe.

Gdy więc uniósł się nad nią i zaraz opadł, poddała się jego ciężarowi i rozłożyła nogi. Dłońmi wparła się w materac. Poczula Hartleya na sobie. Wolno, ale nieuchronnie zaczął się w niej zagłębiać.

Tak, było to zdecydowanie najwspanialsze doświadczenie tego dnia. Może nawet całego jej życia. Jakie głupie wydawały jej się w tej chwili ostrzeżenia ciotki Aggy. Nie było bólu, z wyjątkiem jednej, jedynej chwili, gdy wydało jej się, że nie starczy miejsca dla Hartleya. On jednak wdarł się dalej i uświadomiła sobie, że właśnie straciła dziewictwo. Nic innego wcale jej nie bolało, chociaż nagle wydało jej się, że jest ciasna i napięta. Hartley był o wiele większy, niż się spodziewała. Gdy w końcu znalazł się w niej całą długością poczuła się prawdziwą mężatką chociaż wiedziała, że to jeszcze nie wszystko.

- Nie skrzywdziłem cię? - Ciepły oddech załaskotał ją w ucho.

- Nie. - Wyciągnęła ramiona, by objąć Hartleya w pasie. - To jest bardzo przyjemne.

- Połóż nogi na oparciu łóżka - powiedział. - Będzie ci wygodniej. Potem możesz mnie nimi opleść, jeśli będziesz miała ochotę.

Potem. Przecież to będzie tylko kilka sekund. Ciotka Aggy wspominała coś o ruchu, który może być dla kobiety bardzo przykry. Jej zdaniem najlepiej było wstrzymać oddech i wolno policzyć do dziesięciu albo trochę dłużej. Jenny jednak się z tym nie zgadzała.

Hartley istotnie zaczął się poruszać. Bardzo wolno, tam i z powrotem, ustalając rytm. Czują, że jest wilgotna, i pojęła, w jaki sposób ułatwia mu to ruch, a jej zamiast bólu lub niewygody daje przyjemność.

Trwało to długo. Gdy ruch stał się nieco szybszy, przypomniała sobie, co jej radził, i oplótła go nogami. Oba uda ma wspaniale umięśnione, pomyślała ospale, zanim w nowej pozycji stała się częścią jego rytmu i znów oddała się czystej rozkoszy.

Gdy wyczuła, że zbliża się koniec, ogarnął ją żal. Miała wrażenie, że mogłaby to robić przez całą noc. Ale Hartley zwolnił ruch, za to go pogłębił. Wyprężył się, a ona mocniej objęła go nogami i zaczęła wciągać w siebie, kurcząc mięśnie, których istnienia nie była dotąd świadoma.

Nagle poczuła w sobie coś gorącego i ciepłego. Wiedziała, że to nasienie męża wytrysnęło do jej wnętrza. Hartley westchnął przy jej policzku w tej samej chwili, w której i ona wydała zadowolone westchnienie. Była teraz jego żoną pod każdym względem. Uczucie okazało się niezwykle przyjemne, o wiele bardziej przyjemne, niż sobie wyobrażała. Pomyślała, że można być kochankami bez obezwładniającej i niszczącej namiętności. Mieć tylko to jednoczące ciepło. W tej chwili czuła, że są z Hartleyem jednością. Przypomniały jej się jakże trafne słowa księdza: „bądźcie jednym ciałem”.

Żałowała, że aż do następnej nocy nie będą już tego robić. Nie chciała, żeby Hartley odszedł, Nie chciała być znowu sama, mimo iż czuła zmęczenie. Hartley leżał na niej ciepły, odprężony i ciężki. Marzyła, żeby tak zasnął, pragnęła bowiem zatrzymać przyjemność, jakiej doznała w dniu ślubu, jeszcze choćby przez chwilę.

Ale Hartley nie zasnął głęboko. Po kilku minutach poruszył się.

- Przepraszam - powiedział. - Muszę cię strasznie przygniatać.

Nie wstał od razu z łóżka. Ułożył się przy niej na boku. Samantha odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Widziała go w ciemności bardzo wyraźnie. Hartley znów podłożył jej rękę pod głowę i odwzajemnił uśmiech.

- To było...

- Nie wiedziałem...

Odezwali się jednocześnie i jednocześnie urwali. Samantha czekała, aż Hartley odezwie się znowu, tymczasem zaś mocno wtuliła się w jego ciepło.

- Nie wiedziałem, że można kochać tak głęboko - powiedział. - Ani że można doznawać od



kogoś kochającego takiej czułości.

Kochać? Czy Hartley mówił jedynie o akcie, który spełnili przed chwilą?

- Wciąż trudno mi w to uwierzyć - powiedział sennie. - To wspaniale, że mnie kochasz. Bo ja naturalnie zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Tak ładnie wyglądałaś, gdy patrzyłaś na dwór ze wzgórza, tyle było w tobie spokoju. Zupełnie jakbyś znajdowała się tam na swoim miejscu. A kiedy się odezwałem, spłoszyłaś się i zaczęłaś usprawiedliwiać. Ale piękno i powab należą do twojej natury. Zauważyłem, ilu mężczyzn cię podziwiał. Nigdy nie przestanę być zdumiony i pełen wdzięczności, że obdarzyłaś miłością akurat mnie. Jestem przecież taki zwyczajny.

- Nie jesteś...

Położył jej palec na wargach.

- Nie oczekuję komplementów - powiedział. - Pojechałem za tobą do Londynu, bo życie w Highmoor bez ciebie było puste i bardzo przykre. Pomyślałem, że jeśli cię jeszcze raz zobaczę i jeszcze raz z tobą porozmawiam, to może choć trochę mi ulży na sercu. A gdy zobaczyłem, jak się ucieszyłaś, gdy poprosiłaś, żebym cię pocałował i powiedziałaś mi, że mnie kochasz... Nie, najdroższa, nawet nie potrafię ci powiedzieć, co czuję. Nie ma słów na opisanie takiej radości.

O, Boże. O, Boże. Nie, tylko nie to. Pomyślała, że go straci. Na pewno go straci. Takie uczucia nie mogą trwać długo. I nie mogą też przeistoczyć się w sympatię ani przyjaźń. Tylko w nienawiść i cierpienie. I rozpacz.

Hartley przyciągnął ją do siebie, tak że ich wargi prawie się zetknęły.

- Kocham cię - szepnął. - Nie jestem pewien, czy już kiedyś powiedziałem ci to wyraźnie. Te słowa dziwnie trudno wypowiedzieć. Jak wspaniale mnie obdarowałaś, gdy usłyszałem je od ciebie. Kocham cię. Kocham.

Dość głośno przełknęła ślinę i ukryła twarz w dołku przy jego szyi.

- Hartley - powiedziała. - Och, Hartley. - Wybuchnęła płaczem, głośno i bardzo obficie. W żaden sposób nie mogła nad tym zapanować. Wszystko legło w gruzach. Wcześniej nie miała o tym pojęcia. Gdyby tylko ją uprzedził, mogłaby zapobiec tej sytuacji. Teraz jednak było za późno. Czemu uznała, że Hartley czuje to samo co ona? Przecież nigdy jej nie powiedział, dlaczego chce ją za żonę. Uświadomiła to sobie dopiero teraz. A ona wyszła za niego za męża, bo chciała uciec przed trwogą i zagrożeniami namiętności.

- Moja najmilsza. - Trzymał ją przy sobie bardzo mocno, ale mówił do niej z wielką łagodnością. - Wiem, wiem, kochanie. Czasem serce jest takie pełne, że nagle, zupełnie niespodziewanie uczucia się z niego wylewają. To był dla ciebie bardzo poruszający dzień. Czy nie skrzywdziłem cię, kiedy się kochaliśmy?

- Nnnie - bąknęła. - Dobrze mi było, Hartley. To było przyjemne. - Słowa wydały jej się

bardzo nieodpowiednie. Nie chciała jednak mówić ani myśleć nic bardziej wzniosłego. Zresztą naprawdę było jej dobrze i przyjemnie.

Nie chciała, żeby Hartley ją kochał. Nie tak, jak przed chwilą to opisał. Nie chciała, żeby darzył ją romantyczną, wzniosłą i namiętną miłością. Pamiętała te uczucia i pamiętała też okropne cierpienie, jakie przeżyła, gdy ją zawiodły. Gdyby pragnęła ich znów, mogła była wziąć ślub z Lionelem. Miałyby z nim wtedy chwilę namiętności, dopóki wszystko nie skończyłoby się tak jak poprzednio.

- Będzie jeszcze lepiej - powiedział. - Chciałem, żebyś za pierwszym razem przyzwyczaiła się do tego, co się dzieje, kochanie. Chciałem, żebyś myślała o tym z przyjemnością. Ale to jeszcze nie wszystko. Można doświadczyć o wiele więcej. Bardzo chcę cię tego uczyć i jednocześnie uczyć się od ciebie. Bo z tym zawsze jest tak, że ucząc, sam się uczysz, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. Mamy na to całe życie.

Hartley, pomyślała, zaciskając powieki. Nie kochaj mnie. Nie chcę, żebyś mnie kochał.

- Poczekaj chwileczkę - powiedział, gdy dość żałośnie pociągnęła nosem. - W kieszeni szlafroka mam chustkę. - Wszedł z łóżka i zaczął szukać po omacku. W końcu usiadł na krawędzi łóżka, czekając, aż Samantha otrze oczy i wydmucha nos w jego chustkę.

- Nie odchodź - powiedziała, nagle przejęta lękiem. Sama nie była pewna, czy mówi o tej właśnie chwili, czy o jakiejś mglistej przyszłości. Dotąd czuła się przy nim bezpieczna. Teraz zagubiła się, ogarnął ją lęk.

- Odejść od ciebie? - Pochylił się nad nią i wsunął jej za ucho zabłąkany kosmyk włosów. - Ożeniłem się z tobą, kochanie, przynajmniej po części dlatego, żebyśmy razem spali. Nie chodzi mi tu o oględne wyrażenie dla nazwania fizycznej miłości. Chcę czuć, że jesteśmy mężem i żoną. Ale teraz oboje powinniśmy chyba pospać, nie sądzisz? Razem.

- Tak, proszę - powiedziała. Uniosła głowę, gdy się położył, żeby mógł podłożyć jej ramię. Wtuliła się w niego i wciągnęła w nozdrza jego zapach. Znów czuła się prawie bezpieczna.

- Hartley. - W tej chwili mogła mu dać tylko jedno. - Ja wcale nie płakałam dlatego, że nie było mi dobrze. Płakałam, bo było mi bardzo dobrze. Bo cały ten dzień był bardzo dobry.

- Wiem, kochanie. - Podniósł głowę i czule ją pocałował. - Czy myślisz, że twoje ciało nie mówi mi, co czujesz? Wiem, że było ci dobrze. Spij już.

Uświadomiła sobie, że jest śmiertelnie zmęczona. Natychmiast poczuła, że zasypia. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że naprawdę jest teraz żoną. I nie żałuje tego, chociaż powinna. Ale może uda jej się tak umocnić przyjaźń z Hartleyem, że nigdy jej nie opuści ani nie skrzywdzi, nawet kiedy umrze miłość, która jest teraz.

Nigdy nie wierzył w szczęśliwe zakończenia. To było dobre w bajkach. Dzieci potrzebują bezpieczeństwa, jakie daje wiara w szczęście do końca życia. Wiedział, że w rzeczywistości dla

większej części ludzi życie jest ciągiem wzlotów i upadków, i w najlepszym razie wolno mu liczyć na to, że wzlotów będzie więcej, a pamięć o ich silniejsza.

Nadal chyba nie wierzył w szczęśliwe zakończenia. Gdyby dał sobie trochę czasu na rozważenie sprawy, zdrowy rozsądek zmusiłby go do przyznania, że w nie określonej przyszłości znów w jego życiu pojawią się problemy, kłopoty i smutek. Ale przeżywał niezwykle uniesienie. Przez pełne dwa dni po ślubie zdawało mu się, że nigdy więcej nie będzie musiał cierpieć.

W każdym razie za nic nie pozwoliłby, żeby cierpiała jego żona. Resztę swoich dni postanowił poświęcić na zapewnienie jej szczęścia.

Potem uświadomił sobie, że taka ocena przyszłości jest bardzo niedojrzała. Nic dziwnego. Był zakochany w kobiecie, która go kochała, a do tego właśnie wzięli ślub. Czegóż innego można w takiej sytuacji oczekiwać od życia niż wielu razem spędzonych lat i wspólnego potomstwa?

Nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat, sądził jednak, że istnieje zasada przyzwoitości, według której można kochać się z żoną raz na noc albo i rzadziej. Uważano bowiem, że to, co dla mężczyzny jest rozkoszą, dla kobiety stanowi przykry obowiązek. Jeśli ktoś potrzebował kobiety częściej, niż zakładała ta norma, to dość było chętnych, które służyły w tym zakresie pomocą za odpowiednią opłatą.

Zasady przyzwoitości nic go jednak nie obchodziły. Od pierwszego razu widział, że małżeński obowiązek nie jest dla Samantha przykry. Nie miał też zamiaru kiedykolwiek szukać innej kobiety, nie będącej jego żoną. Wprawdzie nie potrzebował kobiety częściej niż zakładała norma, ale za to żony potrzebował nieustannie.

W noc poślubną oboje razem zapadli w sen i razem zbudzili się tuż przed świtem. Uśmiechnęli się do siebie i znowu zaczęli zasypiać. Ale pożądanie przeszkodziło Hartleyowi. Odebrawszy od Samantha zapewnienie, że nie czuje się obolała, kochał się z nią jeszcze raz. Trwało to długo, aż do rozkosznego zmęczenia, i przez cały czas był w niej, bez żadnych wstępnych pieścizot. Czekał ze swym spełnieniem, póki nie poczuł, że Samantha jest zadowolona i rozluźniona.

Rano poszli na spacer do wyludnionego parku. Wybierali ustronne alejki, które dawały im złudzenie, że są na wsi, a nie w środku wielkiego miasta. Między drzewami zobaczyli nawet jelenia skubiącego trawę, zupełnie jak w Highmoor. Gdy zdawało im się, że nikt ich nie widzi, trzymali się za ręce i rozmawiali o tym, co widzą, i o Highmoor. Z Samantha zawsze rozmawiało się łatwo i niekrępująco. Pomyślał, że udało mu się w życiu, że ma w żonie zarówno kochankę, jak i przyjaciela. Kiedy na niego patrzyła, oczy jej lśniły i bardzo często się uśmiechała. Pomyślał, że żona nie tylko go kocha, lecz również darzy sympatią. Rozbawiła go ta dość osobliwa myśl.

Po południu pojechali powozem za miasto, wybrawszy kierunek, w którym nie spodziewali się spotkać nikogo znajomego. Siedzieli trzymając się za ręce i prawie nie rozmawiali, zajęci

podziwianiem natury. Pomyślał, że to też podoba mu się u Samanthy. Mogli bez skrupowania siedzieć razem w milczeniu. Miał wrażenie, że ich umysły są bardzo podobnie nastrojone, chociaż rzadko porównywali spostrzeżenia, więc trudno było o pewność.

Eleganckie towarzystwo byłoby wstrząśnięte tym, co Hartley zrobił po ich powrocie do domu w porze popołudniowej herbatki. Owszem, wypili herbatę, ale potem Hartley wziął Samanthę do łóżka i znów się z nią kochał. To wcale nie było w złym guście, zapewniła go potem, gdy o tym wspomniał, a na twarz wystąpił jej diablifikowaty uśmiezek. Jest przecież jego żoną. Jest jego na zawołanie i z pewnością nie każe się błagać.

Tej nocy kochał się z nią dwa razy. Następny dzień przebiegł podobnie jak poprzedni, chociaż po lunchu zaczął padać deszcz, więc całe popołudnie spędzili w łóżku. Najpierw się kochali, potem spali, potem rozmawiali o Highmoor i planach na lato. Hartley zapowiedział wyjazd za dwa dni. Przedtem zamierzał wrócić do Highmoor jeszcze wcześniej, ale gdy przyszło co do czego, nie chciał przerywać poślubnej idylli. Podróż była nużąca, a łóżka w zajazdach nawet w połowie nie tak wygodne do miłości jak u niego w domu.

Tej nocy kochał się z nią trzy razy. Postanowił, że pozwoli jej trochę odpocząć nazajutrz i następnej nocy. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Świt zaglądał do pokoju, postać żony była coraz wyraźniejsza. Kochanie się nie było dla niej wysiłkiem. Hartley nie wątpił, że ich fizyczna miłość daje Samancie przyjemność. Do tej pory jednak zachowywała się biernie. Spokojnie leżała i przyjmowała to, co jej dawał.

Mógł jeszcze doprowadzić ją do orgazmu. Mógł rozbudzić i spotęgować w niej namiętność, a potem niepostrzeżenie czułą pieszczotą przeprowadzić Samanthę przez granicę. Mógł ją nauczyć, żeby w czasie, gdy się kochają, nie tylko przyjmowała pieszczoty, lecz również brała w nich udział. Mógł ją nauczyć, jak ma go pieścić i w ten sposób osiągnąć jeszcze większą rozkosz dla siebie samej. I wiedział, że to wszystko zrobi. Tęsknie tego wyczekiwał.

Ale jeszcze nie przyszedł na to czas. Samantha nie była gotowa do namiętnych przeżyć. Hartley nie potrafiłby wyrazić słowami, skąd to wie. Po prostu to wyczuwał, bo ją kochał. Bo dobrze ją poznał, mimo iż znali się stosunkowo krótko. Ponieważ, jak raz powiedziała mu Dorothea, miał rzadką umiejętność czytania mowy kobiecego ciała. Wiedział, że jego żona jeszcze nie dojrzała do namiętności.

Cierpliwie więc czekał. Nie było to trudne. Bardzo się kochali. I oboje czerpali wiele rozkoszy z małżeńskiego współżycia.

Przez trzy dni i trzy noce, począwszy od dnia ślubu, markiz Carew powiedziałby, że będzie żył długo i szczęśliwie, mimo iż nieustannie siedziało w nim coś, co podszeptywało, że to niemożliwe. Przekonał się o tym już następnego dnia.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nazajutrz mieli wyjechać do Highmoor. Samantha nie mogła się tego doczekać. Przyjechać tam do swojego domu... wciąż wydawało jej się to odrobinę nierzeczywiste. Nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Będzie miała całe lato na spacerów po parku. Może przyjrzy się powstawaniu mostku na jeziorze, skoro Hartley zapowiedział rozpoczęcie budowy. No, i znowu zobaczy Gabriela, Jenny i dzieciaki. Będą przecież sąsiadami. A Hartley powiedział, że się z Thornhillami przyjaźni.

Bardzo chciała już być w podróży. Im szybciej wyjadą, tym szybciej dotrą do domu. W tak rychłym wyjeździe martwiło ją tylko jedno: koniec ich miodowego miesiąca. Przed opuszczeniem Londynu musiała jeszcze złożyć kilka wizyt, Hartley też, a ponadto miał jakieś sprawy do załatwienia. Ostatniego dnia, po późnym i długo celebrowanym wspólnym śniadaniu każde z nich ruszyło więc własną drogą.

Lęki Samanthy nieco ucichły. Wprawdzie Hartley często powtarzał, że ją kocha i prawie zawsze zwracając się do niej, używał jakiegoś pieszczotliwego określenia, ale niezmiennie był uprzejmy i delikatny, i wciąż pozostawali przyjaciółmi. Mogli bez końca rozmawiać i śmiać się albo razem milczeć, wcale tym nie skrupowani ani nie znużeni.

Może jednak nie miała się czego bać? Może była bezpieczna? Przecież Gabriel i Jenny się kochali, a jednak sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych. No, i po sześciu latach małżeństwa nadal byli przyjaciółmi.

Może już nie powinna się karać za zgubne pocałunki tyle lat temu i za wybuch miłości do narzeczonego Jenny. I za pragnienie, żeby tamto narzeczeństwo zostało zerwane. I za przeżywaną w sekrecie radość, że tak się stało, mimo iż Jenny bardzo z tego powodu cierpiała i czuła się okropnie upokorzona.

Czyżby jednak mogła pozwolić, żeby ktoś ją kochał? Ostatnie trzy dni i trzy noce wypełniło jej szczęście, cudowne i nieoczekiwane. Hartley naprawdę był dla niej przyjacielem i towarzyszem, jakiego spodziewała się znaleźć w mężu. A jako kochanek był... och, nie umiała wymyślić odpowiednio wielkiego słowa. Zresztą nie miała z kim go porównać. Był czuły, cierpliwy i staranny. Po prostu dobry, bardzo dobry. Zaczęła odczuwać zachwyty dla jego ciała i doświadczenia, z jakim posługuje się nim, by sprawić jej przyjemność. Nawet gdy była zmęczona, nie miała nic przeciwko temu, by budził ją w nocy. Zresztą czasem to ona go budziła, chociaż przypuszczała, że Hartley jeszcze tego nie zauważył. Nigdy też nie miała nic przeciwko chodzeniu z nim do łóżka w dzień, choć służba naturalnie musiała o tym wiedzieć. A niech wiedzą. Niech zazdroszczą.

Jeszcze przed ślubem wiele obiecywała sobie po fizycznej stronie małżeństwa i żywiła nadzieję, że da jej ona co najmniej przyjemność. Okazało się, że dała dużo więcej. Złączyła ich

znacznie mocniejszym węzłem niż sama przyjaźń. Samantha nie potrafiła nazwać tej więzi, ale po trzech dniach czuła się żoną Hartleya bez krzyiny wątpliwości. I pielęgnowała to uczucie jak najcenniejsze dobro, choć było niedotykalne.

Pożegnalne odwiedziny zaczęła od lady Brill, a następne wizyty składały już razem. Wuj pochwalił ją za rozwagę. Bądź co bądź, wybrała sobie męża z imponującym tytułem i dochodem w wysokości siedemdziesięciu tysięcy rocznie. Przyjaciółki wyściskały ją i lamentem przyjęły wieść, że nie będzie jej przez resztę sezonu. Na wyścigi życzyły jej szczęścia. Niektóre wydawały się odrobinę zazdrosne. Jedna, z którą zresztą Samantha nigdy nie była szczególnie blisko, ni stąd, ni zowąd wyraziła żal, że bogactwo i uroda rzadko idą w parze.

- Och, nie chcę nic insynuować - powiedziała, raptownie zasłaniając usta dłonią. Spojrzała na Samanthę z niepokojem. Ale Samantha tylko się uśmiechnęła.

Lady Sophia leżała ze świeżo zrosniętą nogą ułożoną wysoko na aksamitnym pufie. Zmierzyła Samanthę od stóp do głów, po czym z zadowoleniem kiwnęła głową.

- Wiesz, Aggy, ona wygląda jak kot, którego zamknęli w komorze z garnczkiem śmietany - powiedziała. - Carew musiał zrobić, co do niego należy, i to dobrze. - Gdakliwie zaśmiała się z własnego dowcipu, a Samantha spiekła raka.

- Potrzebujesz ruchu i świeżego powietrza, Sophie - stwierdziła rześko lady Brill.

Pojechały więc we trójkę do parku. Po deszczu, który padał poprzedniego dnia, było ciepło i słonecznie. Towarzystwo stawilo się w parku bardzo licznie. Kolaska Samanthy toczyła się naprzód w ślimaczym tempie, zresztą nie zawsze udawało jej się ruszyć. Wielu ludzi podjeżdżało spytać o zdrowie lady Sophii. Przyjaciółki przystawały, żeby wymienić pozdrowienia i pogawędzić z lady Brill. Samantha zaś przyciągała tyle samo uwagi co zawsze. Może nawet jeszcze więcej. Miała bowiem wrażenie, że dosłownie wszyscy przyglądają jej się z dziwnym zaciekawieniem. Przypisała je swojej wyobraźni, ale świadomość tego, w jaki sposób spędzała wieczory i popołudnia, odkąd ostatni raz pokazała się publicznie, wywołała na jej policzkach intensywny rumieniec.

Lord Francis, który podjechał w eleganckiej karmazynowej kurtce jeździeckiej, czarnych, obcisłych spodniach ze skóry i wysokich butach, oderwał uwagę Samanthy od konwersacji, jaką prowadziły jej towarzyszkki z dwiema znajomymi po drugiej stronie. Oparł się ramieniem o drzwi kolaski i obdarzył Samanthę badawczym, bardzo apróbującym spojrzeniem.

- No cóż - powiedział cicho. - Nikt nie może powiedzieć, że małżeństwo ci nie służy.

- Ja z pewnością nie będę rozsiewać takich pogłosek - powiedziała. I znów nie umiała pohamować wymownego rumieńca.

- Szczęśliwy gość - powiedział pod nosem, bardziej do siebie niż do niej. - Czy to znaczy, że go kochasz, Sam?

Pierwszy raz nazwał ją tak samo jak Jenny. Ale od tego pytania aż się wzdrygnęła. Musiała

mieć coś szczególnego w twarzy, skoro Francis je zadał. Cóż jednak mogłoby to być oprócz tego nieszczęsnego rumieńca?

- Gdyby tak nie było, to czemu brałabym z nim ślub, Francis? - spytała. Chciała, żeby zabrzmiało to lekko i wesoło. Zamiast tego usłyszała w swym głosie ton szczerości. Najwyraźniej pragnęła, by Francis jej uwierzył. Hartley na to zasługiwał. - Naturalnie, że go Kocham.

- Tak, Sam - . powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- To widać w twoich oczach, każdy zauważy. Wobec tego muszę zacząć szukać innej niezrównanej damy, która skłaniałaby mnie do poświęceń. Oj, trudno cię będzie zastąpić.

- Bzdura, Francis - powiedziała. Na szczęście nadjechał lord Hawthorne, a znajome ciotki i lady Sophii akurat się oddaliły. Intymny nastrój chwili uleciał bez śladu.

Czy naprawdę miała coś zdradliwego w oczach? Rozważała to dość spłoszona, gdy opuszczały park. Nie mogła odgadnąć, co tak przykuwa uwagę ludzi. Może nieco błędny wzrok, bo jej myśli wciąż wędrowały do Hartleya? Zastanawiała się, jak mąż spędza dzień i czy będzie w domu po jej powrocie. Miała nadzieję, że będzie, bo tęskniła do niego i nieustannie przypominała sobie sceny z trzech ostatnich dni.

Powiedziała sobie, że nie wolno jej śnić na jawie. Nigdy nie miała takich kłopotów. A rozmyślanie o mężu w obecności innych osób były bardzo niestosowne.

Wreszcie jej powóz zatrzymał się przed domem markiza Carew. Z niecierpliwością wbiegła na schody, było już bowiem po szóstej. Dzień minął. Miała nadzieję, że Hartley już wrócił. Że przyjaciele nie namówili go na obiad w klubie w ostatnim dniu pobytu w Londynie. To byłoby okropne, gdyby musiała zjeść obiad sama, a potem czekać na jego powrót może nawet do późnego wieczora. W dodatku mógłby wtedy wrócić podchmielony, choć dotąd nie zauważyła, by przesadzał z pićm alkoholu. Mógł za to iść spać do swojego łóżka, nie chcąc jej budzić o późnej godzinie.

Gdy tylko weszła do sieni, łzy, które zbierały się o w jej oczach, natychmiast wysychały. Mąż stał w głębi w lekkim rozkroku, z lewą ręką założoną na plecy. Bardzo przystojnie wygląda, pomyślała z uśmiechem. Za jego plecami były otwarte drzwi do biblioteki. Na pewno usłyszał powóz i wyszedł jej na powitanie. Ale nie pośpieszył do niej. A ona w ostatniej chwili pohamowała chęć, by podbiec do niego i podsunąć mu usta do pocałunku. W sieni stali dwaj lokaje, więc mimo iż bez wątpienia dużo o nich wiedzieli, należało poczekać z okazywaniem uczuć, aż mąż zostanie z nią sam na sam.

- Witaj, Hartley - powiedziała, rozwiązując tasiemkę czepka. Zdjęła nakrycie głowy i potrząsnęła głową, żeby spłaszczona fryzura odzyskała kształt. - Zadowolony z dnia?

Powiedz mi, że ci było smutno beze mnie. Albo nie, poczekaj, aż zostaniemy sami, pomyślała.

- Owszem, dziękuję - powiedział. - Przyjdiesz do mnie, do biblioteki?

Żebyśmy mogli zamknąć drzwi, objąć się i oplakać dzień rozłąki?

- Dasz mi trochę czasu na umycie rąk i uczesanie włosów? - spytała, zdejmując rękawiczki.

Nadal się uśmiechała. Chcę być dla ciebie piękna, pomyślała.

Skłonił przed nią głowę.

- Może każesz podać herbatę? - poprosiła, śpiesząc ku schodom. - Wyszłam na wiór.

Ze schodów jeszcze raz spojrzała na Hartleya. Na chwilę przystanęła. Co się stało? Pozornie wyglądał zupełnie normalnie, schludnie i czysto, choć niezbyt modnie. Patrzył na nią w trudny do określenia sposób. Już miała go spytać, co złego się stało, ale w pobliżu stali służący. Postanowiła poczekać, aż zejdzie do niego, do biblioteki.

Przyśpieszyła kroku. Postanowiła jak najsprawniej doprowadzić się do porządku. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby zadzwonić na pokojówkę. Umyła ręce i twarz w zimnej wodzie, po czym kilka razy przesunęła szczotką po lokach dla przywrócenia im sprężystości. Gnało ją przeświadczenie, że nie ma chwili do stracenia.

Znieruchomiała jednak w pół gestu, ze szczotką w dłoni, pod wpływem nagłego, przemożnego pragnienia. Chciała być z Hartleyem. W jego ramionach. Co się z nią działo?

Podejrzliwie spojrzała w oczy swemu lustrzanemu odbiciu. Czyżby były inne niż zazwyczaj? Wydawały jej się zupełnie takie same jak dawniej. Uśmiechnęła się do siebie.

W pośpiechu opuściwszy pokój, lekko zbiegła po schodach. Podszedł lokaj i otworzył przed nią drzwi biblioteki. Mijając go, Samantha przesłała mu uśmiech.

Hartley poszedł z księciem Bridgwater na lunch do White'a. Tam przyłączył się do nich Gerson i paru innych znajomych. Był to bardzo przyjemny sposób na spędzenie ostatniego dnia w Londynie, choć Hartley tęsknił do Samantha od chwili, gdy pomógł jej wsiąść do powozu i wysłał ją w drogę do lady Bridge.

Zniósł mężnie okazałą porcję przytyków i docinków, w większości bardzo rubasznych. Wiedział, że są dobroduszne, a po części płyną z zazdrości. Przyznawał zresztą w duchu, że czuje się dość pewny swego. Bądź co bądź, nikt inny tylko właśnie on ożenił się z najpiękniejszą kobietą w Londynie. Kochała właśnie jego. No, i Bogiem a prawdą, przez ostatnie trzy dni rzeczywiście pożądał jej nieustannie, tak jak przypuszczali jego znajomi, choć ciało żony traktował ze znacznie większym szacunkiem, niż niektórzy ośmielali się domniemywać.

Po lunchu wypili parę kolejek. Hartley próbował właśnie wyliczyć, o której najwcześniej może się spodziewać Samantha w domu, gdy na progu sali jadalnej ukazał się Lionel. Zatrzymał się, ale zaraz wszedł do środka.

- Dzień dobry, Hartley - powiedział, zbliżając się do niego z wyciągniętą prawą ręką i przyjacielskim uśmiechem. - Jak tam oblubienica? Uciekłeś do klubu odzyskać formę po pewnych,



nazwijmy to, ćwiczeniach?

Uściskał markizowi prawą dłoń, dość boleśnie, tymczasem inni obecni chichocząc prześcigali się w odpowiedziach na zadane pytanie. Wyglądało na to, że przyjaciół nigdy nie męczy przypomnienie żonkosiowi o tym, jak to nagle jego noce zmieniły się na lepsze mimo niedostatku snu.

Markiz wstał i odciągnął kuzyna na bok. Gwar stawał się coraz głośniejszy, proporcjonalnie do ilości wypitego alkoholu. Hartley spróbował na chwilę zapomnieć o swej niechęci do Lionela i uśmiechnął się do niego. Może przyszedł na to czas. W gruncie rzeczy byli dorosłymi mężczyznami. Wyglupy z chłopięcych lat i wybryki dorastających młodzieńców należały już do przeszłości. Chciał w to wierzyć, a nawet musiał. Było mu bowiem wstyd z powodu swojej reakcji na ślubny prezent, jaki Samantha dostała od Lionela.

- Muszę ci podziękować, Lionelu - powiedział. - To był bardzo uprzejmy i hojny gest z twojej strony.

Lionel uniósł piękne brwi. Markizowi wydało się, że widzi w jego oczach rozbawienie.

- Ta broszka - wyjaśnił. - Musiałeś wiedzieć, że ma dla mnie znacznie większą wartość niż same klejnoty. Zawsze nosiła ją matka, dlatego wiąże z tą broszką bardzo piękne wspomnienia. Mój ojciec prawdopodobnie dał ci ją po śmierci matki na pamiątkę, nie wiedząc, że matka zamierzała... Ech, mniejsza o to. Dałeś nam niezwykle cenny prezent. Dziękuję.

- Chyba źle zrozumiałeś, Hartley. - W oczach Lionela wyraźnie widniało rozbawienie. - To był prezent wyłącznie dla twojej żony. Ode mnie dla niej. W uznaniu miłych wspólnych wspomnień. Nie wiedziałeś o nas?

Samo określenie „my”, w odniesieniu do Lionela z Samantha, wzbudziło w Hartleyu głęboki niesmak.

- Sześć lat temu byliśmy parą - powiedział Lionel. - Popelniliśmy nawet pewną niedyskrecję i po części przez to doszło do zerwania moich zaręczyn z kuzynką Samantha, obecną lady Thornhill i twoją sąsiadką. Można by powiedzieć, że się kochaliśmy, Hartley. Tak, tak, oboje byliśmy zakochani po uszy. Musiałem od niej odejść, bo papa uznał, że moja nieobecność w kraju jest bardziej pożądana niż obecność, a ja za nic nie chciałem sprowadzić na nią niesławy. Była niewinna, sam rozumiesz. Jestem pewien, że w noc poślubną zadowolili cię swym dziewictwem, hm?

Uniósł brwi, ale nie czekał na odpowiedź.

- Złamałem jej serce - powiedział. - Coś mi się zdaje, że miała o to do mnie pretensje. Może nawet uzasadnione. To hańba dla mężczyzny być odpowiedzialnym za zerwanie własnych zaręczyn. Gdy wróciłem tej wiosny, nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. A jednak przeraziła ją siła uczuć, które wciąż do mnie żywi. To dziwne, Hartley, nie sądzisz, że taka piękna kobieta

pozostawała niezamężna w jej wieku? Nadarzyłeś się we właściwej chwili, staruszku. Rzuciła ci się w ramiona i zaryzykuje twierdzenie, że czuje się w nich bezpieczna. Przypuszczam, że słusznie, bo jak rozumiem, otaczasz ją wielką troską. Tego się można po tobie spodziewać.

Niestety, tej historii Hartley nie mógł złożyć na karb złośliwości i bujnej wyobraźni Lionela, aczkolwiek kuzyn opowiedział mu ją z niewątpliwie złośliwym zamiarem.

- Masz rację, Lionelu, otaczam ją troską - powiedział cicho. - A ty od tej chwili nie będziesz wywlekał przeszłości na światło dzienne.

- Ej, Hartley. - Lionel zachichotał. - Gdybym dobrze cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że to groźba.

- Na pewno się dokądś śpieszyłeś, gdy zauważyłeś mnie z progu - powiedział markiz. - Nie będę cię dłużej zatrzymywał, Lionelu. Dziękuję ci za życzenia.

- No, właśnie - zreflektował się Lionel. - Przypominasz mi o dobrych manierach, Hartley. Najlepsze życzenia długiego i trwałego szczęścia.

Uśmiechnął się ciepło do Hartleya i hałaśliwej grupki mężczyzn, wciąż zebranych przy stole, po czym opuścił salę.

- Na mnie też czas - powiedział markiz do przyjaciół, z trudem zdobywając się na uśmiech.

- Święte słowa, żonka nie powinna być za długo spragniona męża - odezwał się niezbyt trzeźwy głos któregoś z biesiadników. - Twoje zdrowie, Carew. Za twoje nie ustające siły witalne. Ze też po trzech dniach jeszcze stoisz na nogach. To jest wyczyn, przyjacielu.

- I tak walnie się do łoża, gdy tylko trafi do domu - powiedział ktoś inny, wzniesionym kieliszkiem dołączając się do toastu.

- Wyjdę z tobą, Hartley - powiedział książę Bridgwater, wstając od stołu.

- Nie ma potrzeby - odparł markiz. - Pojadę prosto do domu.

Ale przyjaciel położył mu rękę na ramieniu i zszedł razem z nim na dół. Tam obaj dostali z powrotem okrycia i laseczki i wyszli przed klub.

- Wiesz, Hartley, podsłuchałem - powiedział książę. - Niechący. Najpierw nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to prywatna rozmowa.

- Trudno to nazwać rozmową - mruknął markiz.

- On zawsze był łajdakiem - stwierdził Bridgwater, i zrównał krok z Hartleyem, dostosowując się do jego nierytmicznego chodu. - Za to, co zrobił lady Thornhill i samemu Thornhillowi, powinno się go zastrzelić. Thornhill okazał wielką, choć godną pożałowania powściągliwość, że nie wyzwał tego typu na pojedynek. Naturalnie lady Thornhill i bez tego miała dość kłopotów. Bardzo się cieszę, że ilekroć widzę ich w mieście od tamtej pory, wydają się bardzo zadowoleni.

- Są więcej niż zadowoleni - odparł markiz. - Natomiast ja nie wiem, co się wtedy stało, i nie

chcę wiedzieć. To dawne dzieje.

- Temu łobuzowi udało się powiązać przeszłość z teraźniejszością - powiedział książę. - Pamiętaj, Hartley, na imię lady Carew nigdy nie padł nawet cień skandalu. Radzę ci nie wierzyć w nic, co ten człowiek powiedział. Najwyraźniej w tym roku zagiął na nią parol, więc bardzo się rozeźlił, gdy obdarzyła przychylnością ciebie. Londyn jest pełen mężczyzn wściekłych dokładnie z tego samego powodu. Na szczęście pozostali są ludźmi honoru. Weźmy na przykład Knellera. Starał się o nią nie pierwszy sezon. A ona wybrała ciebie, choć mogłaby wybrać tuzin innych, wcale nie gorzej sytuowanych.

Markiz uśmiechnął się.

- Nie musisz bronić przede mną mojej żony. Jestem mężem damy. Wiem, dlaczego zgodziła się na małżeństwo. Szanuję ją i ufam jej. I nie chcę z tobą więcej o tym rozmawiać. Małżeństwo stanowi prywatną sprawę dwojga ludzi.

- Toteż nie będę się mieszał - powiedział smutno książę. - Ale powinieneś zobaczyć swoją twarz, Hartley.

- Idę do domu - uciał markiz. - Nadłóżysz drogi, jeśli dalej będziesz mi towarzyszył.

Jego książęca mość przystanął.

- I na pewno nie doczekam się zaproszenia, nawet gdybym nadłóżył drogi - powiedział z żalem. - No, dobrze, Hartley. - Wyciągnął do niego lewą rękę. - Szczęśliwej podróży i miłego lata. Przekaż moje wyrazy szacunku lady Carew.

Wymienili uścisk dłoni, a potem markiz odwrócił się i oddalił utykając. Usiłował nie myśleć. Odkąd był sześciolatkiem, wiedział, że Lionel nie jest wart ani chwili cierpienia. Z jakichś powodów, które zresztą zdawały się oczywiste, Lionel już dawno obrał go sobie za ofiarę. Od czasów dzieciństwa nic się nie zmieniło. Lionel zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby kuzyna urazić albo poniżyć. Ale miał tę moc tylko wtedy, gdy mu się ją dało, zaś po swym fatalnym „wypadku” markiz Carew nie udzielił mu jej ani razu.

Nie zamierzał nagle zapominać lekcji, której nauczył go życie. Bridge miał rację. Lionel wrócił do Londynu, Samantha wpadła mu w oko, czy to jako kandydatka na żonę, czy na kochankę, on jeden to wiedział. Gdy jednak okazało się, że Samantha nie chce go znać, przeżył głębokie upokorzenie. A gdy wyszła za męża za jego znacznie mniej efektownego kuzyna, z upokorzenia zrodziła się zajadłość i potrzeba zemsty. Samantha wybrała przecież słabeusza, którego Lionel upatrzył sobie na ofiarę.

Ale myśli nie można zatrzymać. Zaraz po przyjeździe do domu Hartley schronił się w bibliotece i polecił lokajowi, by niezwłocznie po powrocie lady Carew poprosił ją o dotrzymanie towarzystwa mężowi. W oczekiwaniu przemierzał pokój tam i z powrotem. Trwało to trzy godziny.

W przeszłości ktoś Samanthę bardzo głęboko zranił. O tym Hartley wiedział. Nawet z nią o

tym rozmawiał. Przed sześcioma laty Samantha miała osiemnaście lat. Prawdopodobnie debiutowała w towarzystwie. Krótko mówiąc, stanowiła dojrzały owoc dla człowieka z dobrą prezencją i sprawdzonymi wdziękami, takiego jak Lionel. Naturalnie miała okazję nieraz go spotkać. Przecież Lionel był wówczas zaręczony z jej kuzynką. A Samantha mieszkała u wuja, ojca obecnej lady Thornhill.

Rana była tak głęboka, że przez sześć lat Samantha nie wyszła za mąż, chociaż spędzała wszystkie sezony w Londynie i Hartley sam miał okazję naocznie stwierdzić, że liczbą adoratorów biła na głowę wszystkie młode damy z eleganckiego świata. Widział też, że niektórzy mężczyźni z jej otoczenia, na przykład lord Francis Kneller, mieli wobec niej jak najpoważniejsze zamiary. Mimo to Samantha nie znalazła sobie męża.

Tamto przeżycie musiało być o wiele gorsze od zwyczajnego sercowego zawodu. Jeśli Samantha była częściowo odpowiedzialna za zerwanie zaręczyn Jenny... Przecież kochała swoją kuzynkę. A ze skąpych informacji, jakie miał na ten temat, wynikało, że skutkiem incydentu było wciągnięcie lady Thornhill w głośny i bardzo przykry skandal. Jeśli zaś po tym wszystkim ukochany Samanthy wyjechał z kraju, porzucił ją... No owszem, kogoś o czułości i wrażliwości jego żony takie wydarzenia mogły zniechęcić do miłości i myśli o małżeństwie na całe sześć lat.

Hartleyowi trudno było wyjaśnić, dlaczego akurat w tym roku Samantha po uszy się w nim zakochała. W człowieku, który nie wydawał się nikim szczególnym, ot, najemnym ogrodnikiem - pejzażystą. W człowieku, o którego powierzchowności w najlepszym razie można było powiedzieć, że nie jest odpychająca. W człowieku, który utyka tak wyraźnie, że niekiedy zakłopotani ludzie odwracają głowę. W człowieku, który ma szpony zamiast prawej dłoni.

Co za naiwny safandula, powiedziałyby, gdyby ktoś opowiedział mu tę historię. Romantyczny głupiec!

Lionel wrócił do Anglii w tym roku. Może, a nawet prawie na pewno, na balu u Rochesterów spotkał się z Samanthą pierwszy raz po powrocie. Razem tańczyli walca, tak pięknie wyglądali jako para. Lionel musiał znowu zacząć ją mamić swym czarem, nie oparłby się pokusie zdobycia władzy nad piękną kobietą, która go kochała, gdy był dla niej niedostępny. A w niej odżyły długo tłumione uczucia, którymi go kiedyś darzyła. Musiała stawić im czoło. To na pewno bardzo ją wytrąciło z równowagi.

Skoro więc zaraz po walcu wypadła z sali balowej i natknęła się na kogoś niespodziewanego, z kim miesiąc czy dwa wcześniej zadzierzgnęła przyjaźń, to nie mogła powitać go inaczej, jak z zachwytem i ulgą. Powinna była zobaczyć w nim niemal zbawcę. Nic dziwnego, że błagała, żeby zabrał ją na dwór, gdzie można odetchnąć świeżym powietrzem. Że chciała przy nim zapomnieć o tamtym. Że poprosiła, żeby ją pocałował. Że wyznała mu miłość...

A skoro następnego dnia, gdy wciąż była wytrącona z równowagi, odwiedził ją przyjaciel z

oświadczynami, bo niewłaściwie pojął jej żarliwość z poprzedniego wieczoru, to pod wpływem nagłego impulsu mogła była przyjąć te oświadczyzny. Mogła próbować ucieczki przed sobą, żeby nie przeżyć drugiego śmiertelnego zawodu. Wystarczyło zdecydować się na kogoś, kto gwarantuje bezpieczeństwo.

Był jej przyjacielem. Nikim mniej, lecz i nikim więcej. Zastanawiał się, na ile odległy od prawdy jest ten domysł. Przypuszczał, że nie bardzo. Miał nadzieję, że przynajmniej tak bardzo, jak Ziemia od Słońca. Niestety, nie była to szczerza nadzieja.

Wreszcie Samantha wróciła. Usłyszał podjeżdżający powóz i wyszedł do sieni. W jasnyniebieskiej muślinowej sukni ze słomkowym kapelusikiem, przybranym żółtymi kwiatami, wyglądała jak kawałek letniego nieba. Była rumiana i uśmiechnięta. „Coś niebieskiego”, pomyślał.

Ale i teraz musiał jeszcze poczekać. Chciała umyć ręce na górze i poprawić fryzurę, chociaż jemu i tak wydawała się urocza. Wprawdzie przystanąła na schodach i spojrzała na niego, ale bez słowa ruszyła dalej.

Nie było jej najwyżej dziesięć minut. Zdawało mu się, że dziesięć godzin. Wreszcie usłyszał, jak drzwi biblioteki się otwierają, więc odwrócił się w ich stronę. Weszła do pokoju odświeżona, urocza, wciąż z uśmiechem na twarzy. Jego żona. Jego miłość.

Drzwi się zamknęły i Samantha nagle stanęła w miejscu, choć spodziewał się, że przejdzie przez pokój i padnie mu w ramiona.

- Co się stało? - spytała. Przekrzywiła głowę; uśmiech zamarł jej na ustach. - W czym rzecz, Hartley?

- Dlaczego wyszłaś za mnie za męża? - Przyglądał się jej oczom, które otwierały się coraz szerzej. Był w nich wyraz zaskoczenia i... czegoś jeszcze.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dzień całkowicie stracił urok. Nie zrozumiała pytania, za to co innego zrozumiała dobrze. Sen odpływał, a ona się budziła. Ktoś budził ją siłą.

- Co? - spytała. Nie była pewna, czy dobył się z niej jakikolwiek dźwięk.

- Dlaczego wyszłaś za mnie za męża? - powtórzył pytanie. - Czy z miłości, Samantha?

Cisnęło jej się na wargi gotowe kłamstwo, ale tym razem nie pokonało zapory. Samantha wbiła wzrok w Hartleya. Z całych sił pragnęła chronić go przed wszelką urazą, jego i nikogo innego.

- Co się stało? - spytała.

- Odpowiadasz pytaniem na pytanie. Czyżby było takie trudne? Wystarczyłoby zwykłe „tak” lub „nie”.

Światło, które płonęło w jej oczach od balu u Rochesterów, nagle zbladło. Och, co za głupiec z niego, że nie poznał w porę światła miłości. A teraz światło zgasło.

- Powiedz mi coś - zażądał. - Chcę, żeby była między nami szczerłość. Czy nadal go kochasz?

Coś w jej wnętrzu umarło. Coś, co rozkwitało bezimiennie i niepostrzeżenie od dnia ślubu.

- Co on ci naopowiadał? - spytała. Spojrzał jeszcze bardziej ponuro.

- Widzę, że nie pytasz, o kogo chodzi - stwierdził.

- Co on ci naopowiadał? - Zaczęła macać dłonią za plecami, aż odszukała klamkę. Zaciśnęła na niej dłoń i oparła plecy o drzwi, jakby mogła w ten sposób osłonić się przed cierpieniem.

- Powiedział, co było sześć lat temu. I co było w tym roku.

- Wierzysz mu?

- Uwierzę tobie. Powiedz, co się zdarzyło sześć lat temu.

Zamknęła oczy i kilka razy głęboko zaczerpnęła tchu. Co ma wspólnego historia sprzed sześciu lat z terażniejszością? Naturalnie, miała mnóstwo wspólnego.

- Byłam bardzo młoda - zaczęła. - Świeżo po szkole. A on był przystojny, czarujący, doświadczony. Nie lubiłam go. Wydawał mi się zimny. Nawet powiedziałam to Jenny. Ale to było, zanim któregoś wieczoru pocałował mnie i wyznał mi namiętność. Nie było już nic więcej, tylko obezwładniające i bardzo smutne spojrzenia i aluzje, że po to, abyśmy kiedyś mogli znaleźć wspólne szczęście, powinnam porozmawiać z Jenny i doprowadzić do zerwania zaręczyn. Bo on, jako człowiek honoru, nie może tego zrobić.

- Czy uważałaś go za człowieka honoru, Samantha?

- Nie! - odparła gwałtownie. - Ale sądziłam, że jest nieszczęśliwy, zakochany i zrozpaczony.

- Tak samo jak ty?

- Nie zrobiłabym tego, o co mnie prosił - powiedziała. - Staralam się przeciwstawić uczuciom, jakie we mnie budził. I współczułam Jenny, która była bliska małżeństwa z niekochającym jej człowiekiem. Modliłam się o zerwanie tych zaręczyn, dla niej i dla nas. Ona byłaby uratowana, a my moglibyśmy być razem. Ale to, co się stało, było potworne. O Boże, potworne. Jenny przeżyła publiczną kompromitację. Wuj Gerald spuścił jej lanie i zamierzał wydziedziczyć. A co najgorsze, bo tak się wówczas wydawało, Gabriela zmuszono do małżeństwa. I to wszystko była niby moja wina.

- Ale nie była?

- Nie. - Zasłoniła twarz rękami. Znów wzięła głęboki oddech. - Ale nigdy nie udało mi się pozbyć poczucia winy. Gdybym nie podsunęła Lionelowi pomysłu na wyjście z sytuacji... On mnie nie kochał. Chciał się mną posłużyć. Gdy po nagłym małżeństwie Jenny próbowałam z nim porozmawiać, wyśmiał mnie. Potraktował mnie jak głupie dziecko, którym naturalnie byłam. Od tej pory go nienawidzę.

- Nienawidzisz go - powtórzył. - To bardzo silne uczucie, Samantho. Mówi się, że z natury podobne do miłości.

- Tak. - Jej głos brzmiał głucho. - Właśnie tak się mówi. Nadal go nienawidzę. Jeszcze bardziej niż wtedy. Dlaczego miałoby mu zależeć na zranieniu ciebie?

- Lionela bawi, kiedy może kogoś zranić - wyjaśnił. - Opowiedz mi, co było tej wiosny.

- Nie ma nic do opowiedzenia. Zobaczyłam go w parku w przeddzień balu u Rochesterów. Przedtem nie wiedziałam, że wrócił do Anglii. Byłam przerażona. A potem zjawił się na balu i zaprosił mnie do walca. Zgodziłam się. To wszystko. Ach, jeszcze następnego popołudnia odwiedził moją ciotkę.

- Przede mną? - spytał.

- Tak.

- Byłaś przerażona. Czym? Że Lionel cię skrzywdzi?

- Nie. - Poczula nagły przypływ znużenia. Miała największą ochotę zapaść się pod ziemię i zasnąć. Ale musiała prowadzić tę rozmowę. Wiedziała, że Hartley nie zrezygnuje. Oto jeden z owoców przyjaźni, którą z nim zawiązała. Przyjaciele są przed sobą otwarci i szczerzy. - Nie, nie tym. Bałam się, że... że odkryję w mojej nienawiści...

- Odmienioną miłość, tak?

- Tak. - Znów zacisnęła dłonie na kłamec.

- I odkryłaś?

- Nie - powiedziała nieco bardziej stanowczo. - Z początku myślałam, że może tym razem Lionel jest szczerzy. Usiłował mi wmówić, że kochał mnie przez cały ten czas, a zranił, żeby oszczędzić mi niesławy, w jaką bym popadła. Że wrócił, bo chciał się o mnie starać i uczynić mnie

hrabiną. Zamieszał mi w głowie. Przestraszyłam się. Ale nie chciałam ani mu wierzyć, ani go pokochać. Nie ufałam mu, nigdy nie umiałabym zaufać. Teraz wiem, że miałam właściwy odruch, że Lionel jest tak samo podły jak kiedyś. Dlaczego chciał cię zranić?

- Kiedy zaproponowałaś, żebyśmy wyszli do ogrodu i poprosiłaś, żebym cię pocałował, i powiedziałaś, że mnie kochasz, to po prostu broniłaś się przed zamętym uczuciem, który w tobie wzbudził Lionel, czy tak? I następnego popołudnia, gdy przyszedłem z oświadczeniami, historia się powtórzyła, tak?

- Och. - Spojrzała na niego żałośnie. - Byłam taka szczęśliwa, że cię widzę. Te popołudnia, które spędziliśmy razem w Highmoor, zaliczam do najmiłszych w moim życiu.

- Popołudnia ze zwyczajnym, całkiem przeciętnym panem Wade'em - powiedział. - Który na dodatek jest kaleką. Który stanowi jawne przeciwieństwo Don Juana. Który nigdy nie wpędziłby cię w zamęt uczuć, nie zranił ani nie porzucił. Który byłby twoim małym pieskiem do zabawy. Z nim czułabyś się bezpieczna. I dlatego wyszłaś za niego za męża.

Przerażało ją to, że w tym co mówił, było dużo prawdy. Ale nie cała.

- Hartley. - Zaciśnęła palce na klamce aż do bólu. - Nie ponizaj się. Proszę, nie rób tego.

- Wobec tego powiedz mi, dlaczego wyszłaś za mnie za męża. No, powiedz mi, Samantha.

- Bo chciałam - powiedziała. - Bo byłeś miły i uprzejmy, i...

- I bardzo bogaty? - Ledwie poznała ten głos. Hartley nigdy dotąd nie był wobec niej sarkastyczny.

Jego twarz rozplynęła się jej przed oczami. Samantha poczuła nagły chłód na podbródku i gorącą łzę skapującą na suknię.

- Nie mów tak, Hartley - jęknęła błagalnie. - Proszę cię. Przecież wiesz, że nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wyszłam za ciebie za męża, bo tego chciałam, bo miałam dla ciebie dużo więcej sympatii, niż dla innych znanych mi mężczyzn, bo czułam się z tobą bez...

- Bezpieczna. - Jego głos brzmiał szorstko. - Bo powinienem być taki zachwycony zdobyciem pięknej kobiety, że nigdy nie przyjdzie mi do głowy od ciebie odejść. Zresztą, co do tego miałaś rację, Samantha. Rzeczywiście, może to pech, ale wierzę w małżeńską wierność, obustronną. Ja nie będę miał kochanek, ty kochanków.

- Hartley...

- Posłuchaj mnie, Samantha. - Szorstkość tego nakazu przestraszyła ją i bardzo zaniepokoiła. - Okłamałaś mnie. Pozwoliłaś, żebym wziął cię za żonę, wierząc w to kłamstwo. W znamienne kłamstwo. Nigdy nie chciałem małżeństwa bez miłości, a wygląda na to, że znalazłem się nieodwołalnie w takim właśnie związku. Ale to jednak jest małżeństwo. Nigdy o tym nie zapominaj. Lepiej więc, żono, zrób porządek z uczuciami do mojego kuzyna, raz na zawsze. Jeśli jest to miłość, wyrzuć ją z serca. Jeśli jest to nienawiść, pozwól jej odejść. Nie zgodzę się na to,



żebyś do końca życia bała się na niego spojrzeć, bo może się wtedy okazać, że jednak go kochasz. I nie zgodzę się, żebyś leżała pode mną w łóżku marząc, że to on jest na moim miejscu.

- Hartley! - Zachłysnęła się powietrzem.

- W naszym małżeństwie może nie być miłości - powiedział. - To dziwne, jak miłość, którą czułem, wygasła w ciągu kilku zaledwie godzin. Ale nie będzie też cienia. I nie będzie sekretów. Zrozumiałaś?

- Postępujesz nieuczciwie - powiedziała. - Jesteś okrutny. Nigdy nie...

- Pytałem, czy rozumiałaś?

Twarz miał jak z kamienia, oczy nieprzeniknione. Zmienił się nie do poznania. Nie знаła tego człowieka.

- Tak - powiedziała.

- Jeśli pokojówka zaczęła pakować twoje rzeczy, możesz jej powiedzieć, żeby z powrotem rozpakowała. Zostajemy w Londynie.

- Nie - zaprotestowała, rytmicznie uderzając tyłem głowy w drzwi. - Chcę jechać do domu. Hartley, proszę cię, pojedźmy do domu. Tak bardzo cię proszę.

- Zostajemy tutaj - powiedział. - Możesz bawić się przez resztę sezonu, tak jak zwykle. Ja znajdę sobie dostatecznie dużo użytecznych i bezużytecznych zajęć. Nie musimy przebywać w swoim towarzystwie więcej, niż oboje sobie tego życzymy.

- Chcę jechać do domu - wyszeptała. Wiedziała jednak, że na próżno. Ten obcy człowiek, który stał naprzeciwko niej na tle wygaszonego kominka, był niewzruszony.

- Jeśli pożegnałaś się z przyjaciółmi, Samantho, możesz się pochwalić, że ubłagałaś swego ukochanego męża, który ustąpił przed twoimi prośbami. Nie będę negował. A teraz jest już późno. Na pewno chce się pani przebrać do obiadu. Jeśli pani mi wybaczy, zjem obiad w klubie.

Odwróciła się bez słowa i po krótkiej szamotaninie z klamką otworzyła drzwi. Wypadła do sieni, spuściwszy głowę, żeby służba nie widziała jej twarzy. Pobiegła na górę, prosto do siebie.

Wszystko legło w gruzach, pomyślała. Jej małżeństwo. Jej życie. Wszystko.

Wyglądało na to, że nie miała racji, udzielając sobie w końcu przebaczenia. Nie było dla niej szczęścia na świecie. Tylko trzy dni i trzy noce czystej radości, nic teraz niewartej. Zupełnie nic. Byłoby dla niej lepiej, gdyby nigdy tej radości nie zaznała.

Nie wiedziała, jak zdoła przeżyć ten ból. Był gorszy niż poprzednio. O wiele gorszy. Bo tym razem... No tak, tym razem to właściwie ona zadała ranę. I dlatego była niepokieszona.

Wyciągnął lewe ramię wzdłuż gzymsu kominka i oparł na nim głowę. Nie znał siebie i nie znał w sobie tego dziwnego, nieoczekiwanego gniewu, który kazał mu zranić ją tak samo głęboko, jak sam czuł się zraniony. Chciał tylko z nią porozmawiać, wydobyć prawdę na jaw, żeby mogli wspólnie naprawić coś w tym małżeństwie, zmienić je na lepsze.

Nie zamierzał wpadać we wściekłość, nigdy nie zdarzyło mu się stracić panowania nad sobą. Nigdy, aż do tego dnia. I to wobec osoby, którą głęboko kochał. Nigdy też nie pragnął jej zranić. Aż do tego dnia. Miał ochotę wpakować Lionelowi kulę między oczy. Nie, to byłoby zbyt szybkie i prawdopodobnie bezbolesne. Lepiej stłuc go na krwawą miazgę. A przed chwilą chciał doprowadzić Samanthę do płaczu i zmusić ją, żeby błagała o coś, czego by jej nie dał. Z tym udało mu się znakomicie.

Głośno wciągnął powietrze przez nos. Ale nic mu to nie pomogło. Wybuchnął bolesnym, zatykającym szlochem.

Zmartwił, gdy drzwi za jego plecami otworzyły się znowu. Nie podniósł jednak głowy. Samantha podeszła bliżej i dopiero wtedy się odezwała.

- Hartley. - Jej głos brzmiał spokojnie i bardzo cicho. Gdyby w tej chwili go dotknęła, przyciągnąłby ją do siebie z taką siłą że zmiażdżyłby jej wszystkie kości. - Jeśli możesz, zwróć tę broszkę lordowi Rushfordowi. Albo zatrzymaj ją dla siebie, należała przecież do twojej matki i ma dla ciebie dużą wartość. Ja w każdym razie nie chcę jej mieć i nie chcę jej więcej widzieć na oczy. To „coś niebieskiego” zniszczyło mi małżeństwo.

Uniósł głowę i spojrzał na szafirową broszkę matki, leżącą na dłoni Samanthy. Wziął ją bez słowa.

Czuł, że żona zatrzymała spojrzenie na jego twarzy. Przyglądała mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę. Potem obróciła się i znów wyszła z pokoju. Hartley zamknął palce na broszce i zaczął je zaciskać, aż diamenty boleśnie werżnęły mu się w skórę.

Późno wrócił. Od paru godzin Samantha leżała na plecach, wpatrując się w mrok pod baldachimem łóżka. Teraz nasłuchiwała, jak otwierają się drzwi do pokoju Hartleya i trzaskają kilkakrotnie, nim się na dobre domknęły. Potem z daleka rozległy się jego pomruki i odpowiedzi lokaja. Zapadła cisza.

Patrzyła w górę i wyobrażała sobie Hartleya, opierającego się o drzewo na wzgórzu w Highmoor, Hartleya, który przygląda jej się w miejscu, z którego oglądała dwór w Highmoor, Hartleya zastającego ją na cudzym terenie. Mogła w tamtej chwili odwrócić się i szybko odejść. Z powrotem do Chalcote i bezpieczeństwa. Nie zrobiła tego.

Cicho otworzyły się drzwi garderoby, w nogach jej łóżka pojawił się nikły odblask płomyka świecy. Ani nie poruszyła głową ani nie zamknęła oczu. Hartley podszedł i stanął przy łóżku.

- Nie śpisz - powiedział po dłuższej chwili. Widocznie nie miał oczu tak przyzwyczajonych do ciemności jak ona.

- Nie.

Proszę, porozmawiaj ze mną. Proszę cię, powiedz, że nie mówiłeś z serca tych wszystkich okrutnych słów. Powiedz mi, że wcale cię nie okłamałam. Weź mnie jutro do domu.

Nie poruszyła się. Nadal leżała zapatrzona w baldachim.

Hartley zdjął koszulę nocną, wspiął się na łóżko i zaczął ją pieścić.

Powiedz coś. Nie rób tego w milczeniu.

Nie śpieszył się, był delikatny i cierpliwy. Jego dłonie, ale nie usta, sprowadzały czar na jej ciało, aż w końcu oboje wiedzieli, że jest dla niego gotowa. Wszedł w nią wtedy i powoli, wprawnie zaczął czarować również w tym miejscu. Wreszcie poczuła się cudownie odprężona, a jednocześnie dziwnie spragniona. Hartley uwolnił gorące nasienie, popłynęło głęboko.

Było tak jak należy, powiedziała sobie. Wszystko się ułoży. Wiedziała jednak, że tak naprawdę nic nie jest jak należy. Kochał się z nią tak jak zwykle, choć właściwie trudno było powiedzieć, że jak zwykle, bo nigdy nie pieścił jej tak samo. A jednak czegoś w tym brakowało. Czegoś trudnego do określenia. Czegoś zasadniczego.

Czuła w jego oddechu zapach alkoholu, choć nie sądziła, by był pijany. Przytrzymała go przy sobie, oplatając wokół niego nogi. Miała nadzieję, że zaśnie. Ale Hartley nigdy nie zasypiał na niej na dłużej niż minutę, najwyżej dwie. Za bardzo troszczył się o jej wygodę, by zbyt długo ją przyduszać swym ciężarem. Po chwili się uniósł.

Usiadł na krawędzi łóżka. Wkrótce wstał i włożył z powrotem nocną koszulę. Spojrzał na nią w mroku.

- Dziękuję - powiedział. - Dobranoc, Samantha.

Nie odpowiedziała, czuła się zbyt żałośnie. Znów wbiła wzrok w baldachim. Po chwili promień światła dotarł do drzwi, zaczął się zwięzać, znikł. Znów znalazła się w ciemności. O, Boże, zapadła w wieczną ciemność.

Wkrótce w eleganckim świątku zapanowała zgodna opinia, że lady Carew dostała dokładnie to, czego chciała. Zawarła znakomite małżeństwo z bogatym i wyrozumiałym mężem, który ochoczo ulegał każdemu jej kaprysowi. W środku sezonu o mało nie zaciągnął biednej żony z powrotem do swojej nudy w odległym Highmoor. Ale ona bez trudu wyperswadowała mu ten niemądry pomysł. Zostali więc w Londynie, Samantha po to, by aż do lata brylować w towarzystwie swymi wdziękami i błyskotliwością, markiz Carew zaś po to, by być jej cieniem albo zajmować się własnymi, mniej hałaśliwymi sprawami.

Wyglądało na to, że małżeństwo jest bardzo udane. Oboje byli szczęśliwi. Nikt nigdy nie widział tak ożywionej lady Carew, jak w pierwszych tygodniach małżeństwa, nikt też tak często nie widywał markiza publicznie. W dodatku prawie zawsze był uśmiechnięty.

Shczęśliwiec, myśleli panowie z wielkiego świata, patrząc z pewną zazdrością i dyskretnie ukrywaną żądzą na jego żonę. Dobrze jest mieć dochód przekraczający pięćdziesiąt tysięcy rocznie, nie ma dwóch zdań.

Shczęśliwa kobieta, myślały damy z towarzystwa. Jej mąż wprawdzie nie ma prezencji, ale

jest bogaty, upojony jej urodą i pozwala Samancie na wiele, może nawet na wszystko. Dajcie jej rok, niech tylko urodzi mu dziedzica, następnej wiosny ciekawie będzie popatrzeć, kogo wybierze na pierwszego kochanka. Lepiej urządzić się nie mogła.

Samantha była w ciąży. Wiedziała o tym, chociaż okres spóźnił jej się dopiero tydzień, a nieregularność mogła być wywołana początkiem życia płciowego. Samantha była jednak pewna. Gdzieś w jej wnętrzu, głęboko, coś się odprężyło, chociaż nie potrafiła znaleźć nazwy dla tego uczucia. Coś podobnego czuła zawsze przy końcu aktu małżeńskiego. Wiedziała, że to ich dziecko zaczyna rosnać w łonie matki.

Nie wiedziała, w jaki sposób powiedzieć o tym Hartleyowi. Nie wiedziała, jak mąż zareaguje. Przypuszczała tylko, że będzie zadowolony, tak samo jak ona. Wreszcie będzie mogła zamieszkać w Highmoor. Hartley za nic nie zmusi jej, by w przyszłym roku znowu torturowała się sezonem towarzyskim w Londynie. Jeśli nadal będą współżyć po urodzeniu dziecka, to może znowu zajdzie w ciążę. I znowu. Może będzie mogła zostać w Highmoor już do końca życia.

Wydawało jej się, całkiem irracjonalnie, że Highmoor stanowi dla niej jedyną nadzieję na szczęście. Nie, nie na szczęście. Na spokój ducha. Mogłaby przeżyć życie z dala od wszystkiego, byle tylko odnaleźć spokój ducha.

Spędzali z Hartleyem dużo czasu razem, prawie zawsze w towarzystwie innych ludzi. Sami byli właściwie tylko około pół godziny dziennie, gdy każdego wieczoru Hartley się z nią kochał. Milczące pół godziny, nieodmiennie kończące się podziękowaniem. Dziękował jej za to, że mu służyła.

Towarzyszył jej w większości wieczornych wyjść. Nawet na bale. Odprowadzał ją do sali balowej, stał przy niej, aż zaczynał się pierwszy taniec i wychodziła na parkiet z partnerem, a potem znikał w sali karcianej albo gdzie indziej, póki nie nadchodził czas, by odprowadzić ją do domu.

W towarzystwie Hartley zawsze się uśmiechał. A Samantha iskrzyła energią. Idealna para. Zakochani, ale umiejący się zachować. Nie obnoszą się ze swoją zażyłością.

Prawie wszędzie, gdzie poszli, widywali Lionela. Unikali go, a on zdawał się zadowalać przybieraniem na zmianę pozy człowieka rozbawionego lub zakochanego bez wzajemności. Tę ostatnią prezentował Samancie, gdy akurat spojrzała na niego z drugiego końca sali, a Hartleya nie było w pobliżu. Samantha ze swej strony doprowadziła do perfekcji sztukę wychodzenia z sali bądź wdawania się w rozmowę z jakimś dżentelmenem, zwykle biednym Francisem, gdy tylko podejrzewała, że Lionel zamierza do niej podejść.

Nienawidziła go. I gardziła nim. Już się nie bała swojej nienawiści. Wiedziała, że to właśnie czuje, i że jest to całkowite przeciwieństwo miłości.

Mniej jednak nienawidziła go za to, co zrobił jej - wszak mimo że była niewinna, właściwie sama się o to prosiła - bardziej zaś za to, co zrobił Hartleyowi. Swemu kuzynowi. Za to z radością

by go zabiła. Skazałaby go na powolne męczarnie.

Nie wiedziała, jak naprawić to, co stało się z jej małżeństwem. Myślała tylko o powrocie do Highmoor. Nie wiadomo czemu zdawało jej się, że gdyby mogli tam pojechać, wszystko ułożyłoby się tak, jak powinno. A na początku nowego roku miało przyjść na świat dziecko. Może i dla nich będzie to nowy początek.

Ale Hartley już nie wspominał o powrocie do Highmoor. Samantha zaś bała się go spytać. A może miała na to za wiele dumy.

Czekał ich bal u lady Gregory. Oficjalnie przyjęli zaproszenie. Ale Hartley nie miał ochoty tam iść. Był znużony ciągłymi wyjściami, ciągłym udawaniem. Postanowił zostać w domu, polecił więc Samancie napisać liścik do lady Brill i poprosić ją o dotrzymanie im towarzystwa tego wieczoru. Obiecał zająć się przesłaniem wiadomości.

Po obiedzie poszedł do biblioteki. Samantha pojechała na obiad do lady Brill, Hartley usiadł więc na ulubionym krześle przy kominku, wziął do ręki książkę, ale długo jej nie otwierał. Odchylił głowę na oparcie i zamknął oczy.

Był bardzo znużony. Chciał jechać do domu. Nie wiedział, co ma zrobić ze swym małżeństwem. Obcość, która zapanowała między nim i Samantha, była wyłącznie jego winą. Możliwe, że Samantha nie wyszła za niego za mąż z miłości, ale okłamała go nieumyślnie. A on zwierzył jej się ze swych uczuć dopiero w noc poślubną. Wielu ludzi zawiera małżeństwa z innych powodów niż miłość, a mimo to żyje im się ze sobą znakomicie. Ich małżeństwo też się pomyślnie zaczęło. Samantha dobrze się czuła w jego towarzystwie i cieszyła ją chwile fizycznego zbliżenia. Zupełnie o tym zapomniał w zaślepieniu urazą. Samantha była kobietą, która zdecydowawszy się na małżeństwo, poświęciłaby mu całą siebie. Gdyby nie zepsuł wszystkiego, byłaby dobrą żoną do końca ich wspólnego życia.

Nie wiedział, jak naprawić zło, które się stało. Nie wiedział, czy w ogóle jest do naprawienia. Może wszystko legło w gruzach na zawsze.

Chciał wrócić do domu. Może tam sprawy potoczą się lepiej. Postanowił nazajutrz powiedzieć Samancie, żeby spakowała się drugi raz. Nie, nie powiedzieć, poprosić ją. Możliwe bowiem, że Samantha wcale już nie ma ochoty jechać do Highmoor. Zawsze wydawała się najbardziej ożywiona, gdy znajdowali się w towarzystwie.

Odwrócił głowę, bo drzwi nagle otworzyły się bez pukania. Weszła Samantha, ubrana w piękną suknię wieczorową, ale nie balową. Miała z sobą przybory do haftowania.

- Nie chcę iść na bal - powiedziała, nieco odwracając wzrok. - Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli posiedzę tu z tobą?

- Dobrze, proszę - powiedział. Był bliski płaczu, gdy w milczeniu usiadła naprzeciwko, wyjęła z torby robótkę i zaczęła migać igłą. Kiedyś marzył o takich wieczorach. Marzył o cichej

domowej radości bycia z żoną. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wymyślić nic dostatecznie znaczącego. Udał więc, że czyta.

Dopiero gdy wstała ze swego miejsca i bez słowa wyszła z pokoju, uświadomił sobie, że przez cały czas wpatrywał się w ogień, pocierając lewą rękę kciukiem prawej i prostując palce, jeden za drugim. Dłoń miał sztywną i obolałą.

Powinien był z nią porozmawiać. Może zostałyby w pokoju. Co się z nim dzieje? Czyżby chciał spłoszyć Samanthę w chwili, gdy zdawała się wyciągać rękę do zgody? Ale przecież zostawiła w pokoju przybory do haftu i torbę.

I nagle wróciła, niosąc coś w dłoni. Nie powiedziała ani słowa, nawet na niego nie spojrzała. Przyniosła jednak stołek do jego krzesła, postawiła go po prawej stronie, otworzyła buteleczkę z oliwą, którą teraz Hartley u niej dostrzegł, nałala sobie kilkanaście kropel na dłoń i zatarła rękę. Potem ujęła jego prawą rękę i zaczęła delikatnie wcierać mu oliwę w środek dłoni i wzdłuż palców. Jej dotyk był delikatny, lecz mimo to pewny i zdecydowany. Hartley odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Po chwili, gdy sądził, że już skończyła, nabrała więcej oliwy na dłoń. Masaż działał na niego niewiarygodnie kojąco. Nikt nigdy nie robił mu czegoś takiego. Nawet matka. Matka nie była w stanie dotknąć uszkodzonych części jego ciała. Ani patrzeć na nie. To ona pierwsza poradziła mu, żeby nosił rękawiczki.

Niewiarygodne, prawie zapadł w sen podczas tego masażu, nagle jednak poczuł, że jego dłoń się unosi i wierzchem dotyka policzka Samanthy. Widocznie Samantha sądziła, że mocno zasnął. Odwróciła głowę i zaczęła całować knykcie jego prawej dłoni. A potem zatrzymała dłoń przy policzku.

Nie poruszyła się, gdy lewą ręką musnął jej loki. Wsunął palce we włosy i bardzo delikatnie ją pogłaskał.

- Samantho - powiedział. - Wybacz mi.

- Przecież nic nie zrobiłeś - odparła. - To moja wina.

- Nie. Byłaś dla mnie bardzo dobra przez te trzy dni, a potem okazałaś mi wiele cierpliwości i delikatności. Miałaś rację. Naprawdę byłem okrutny. Wybacz mi.

- Wysłałam za ciebie za męża, bo tak chciałam - powiedziała. - Naprawdę chciałam, Hartley.

- Pst - uciszył ją. - Nigdy nie dałaś mi powodu, bym miał sądzić inaczej. Pojedziemy do domu?

- Do Highmoor? - Podniosła głowę i spojrzała na niego. W oczach lśniły jej łzy.

Skinał głowę.

- Do domu. Pojedziemy?

- Tak. - Uśmiechnęła się do niego. - Tak, Hartley, jedźmy.

- Jak najszybciej. Powiedzmy za trzy dni. Mamy jeszcze kilka zobowiązań, z których musimy się wywiązać. Wobec tego trzy dni i do domu.

Czule ją pocałował, pierwszy raz od kilku tygodni.

- Dziękuję ci, Hartley - powiedziała i znowu przytuliła wierzch jego dłoni do policzka. Hartley zauważył, że nie czuje tam już bólu ani sztywności.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lady Stebbins była ciotką księcia Bridgwater. Na jej bal, zawsze jeden z najbardziej tłocznych w sezonie, Samantha i Hartley czuli się w obowiązku iść, chociaż żadne z nich nie miało na to ochoty. Nie zdradzili się z tym przed sobą, bo Hartley wiedział, że Samantha uwielbia tańczyć, ona zaś wiedziała, że księżę jest najlepszym przyjacielem Hartleya, któremu przecież świadcował na ślubie. Mimo to i jedno, i drugie zdawało sobie sprawę z tego, że oboje tęsknią do domu. Znow chętnie rozmawiali o Highmoor, rzadko wspomnianym w okresie, który nastąpił po katastrofalnie krótkim miodowym miesiącu. Jeszcze jeden bal można znieść, pomyślało każde z osobna.

Po Londynie znowu rozeszła się pogłoska, że pan markiz z żoną wybierają się do Yorkshire przed zakończeniem sezonu. Takie nowiny zawsze rozchodziły się w eleganckim świecie bardzo szybko, nawet jeśli nie ujawniało się ich prawie nikomu. Kilka osób wyraziło Samancie swoje współczucie.

- Szkoda - powiedział pan Wishart. - Czy już straciła pani wpływ na męża, lady Carew? Czyżby zmuszał panią do rezygnacji z tej części sezonu, która jeszcze jest przed nami? To doprawdy przykre.

- Nie straciłam ani trochę wpływu - odparła Samantha, śmiejąc się wesoło. W ostatnich dniach śmiała się chętnie i często. - Niech pan pomyśli, dlaczego jedziemy do Highmoor?

- Czyżby to pani sobie tego życzyła? - spytał z pewnym niedowierzaniem.

- Owszem, ja. Hartley przystał na moje życzenie.

Hartleya nie było już w sali balowej. Poszedł kibicować grającym w karty, tak jak zwykle. Zanim jednak to się stało, wpisał się do jej karnetu na ostatni taniec przed kolacją. Samantha uniosła brwi i uśmiechnęła się do męża.

- Nie, nie zamierzam robić z siebie widowiska - wyjaśnił, odwzajemniając uśmiech. - Ale chcę, żebyś poszła na kolację, wsparta na moim ramieniu. Czy nie masz nic przeciwko temu, że przez ten taniec razem posiedzimy? Albo wyjdziemy na dwór? Możemy pospacerować w ogrodzie. Jest ciepły wieczór.

- Bardzo chętnie - zgodziła się. Pomyślała, że przypomni sobie ich pierwsze spotkanie w Londynie, od którego minęło już tyle czasu. Może pójdzie im lepiej niż wówczas. Może uda jej się zaprowadzić Hartleya w ustronne miejsce i znow poprosić, by ją pocałował. I może powtórzy mu... może powtórzy te same słowa, które wypowiedziała wtedy.

Teraz czułaby, że mówi szczerze. Naturalnie niezupełnie zgodnie ze swoim wyobrażeniem o miłości. Ale przecież miłość ma wiele odmian. W jednej z nich z pewnością mieszczą się jej uczucia dla Hartleya. Może mu o tym powie.



Hartley dwornie pocałował ją w rękę w obecności wielu ludzi stojących dookoła. Samantha ucieszyła się z tego. Chciała, żeby wszyscy wiedzieli, jak blisko są ze sobą. To nie ma znaczenia, powtarzała sobie w duchu, że ludzie przypisują mi zawarcie małżeństwa dla bogactwa i pozycji. Pod wieloma względami naprawdę nie miało to znaczenia. Z uwagi na Hartleya chciała jednak, by wiadomo było, że żona żywi do niego bardzo ciepłe uczucia. Nie dla jego licznych dóbr, lecz dla niego samego.

Czasem miała ochotę opowiedzieć historię dość zaniedbanego ogrodnika - pejzażysty, który przyszedł do niej z wizytą i zaproponował małżeństwo. Towarzystwo byłoby szczerze ubawione tą anegdotą. Szczególnie tym, że Samantha przyjęła oświadczenia, zanim dowiedziała się, kim jest konkurent.

- Spotkamy się w ogrodzie? - spytał. Skinęła głową i Hartley odszedł.

Lionel przyjechał na bal późno. Tańczyła akurat kontredansa z Jeremym Nicholsonem, gdy niespodziewanie skrzyżowała z nim spojrzenia. Jego oczy natychmiast wypełniły się żalem. Szybko odwróciła wzrok. Wiedziała, że następnym tańcem będzie walc. Niebezpieczny punkt programu. Gdy tylko Jeremy odprowadził ją do towarzystwa, ujęła za ramię Francis'a i słodko się do niego uśmiechnęła.

- Teraz nasz walc? - spytała, chociaż w istocie nikt jeszcze nie wpisał jej się do karnetu.

Francis rozejrzał się obojętnie po sali.

- Ach, tak - potwierdził lekko zblazowanym tonem. - Byłbym załamany do końca roku, gdybyś o tym zapomniała, Samantho.

- Dziękuję - powiedziała później, gdy bezpiecznie wirowali na parkiecie.

- Gdybyś była moją żoną - powiedział - już dawno wyzwałbym tego sukinsyna na pistolety.

Wybacz mi, Samantho, to wyrażenie.

- Ale za co? - spytała. - Przecież odkąd wyszłam za męża, nic nie robi, tyle że kręci się w pobliżu. Wiesz, Francis, wspaniale wyglądasz w tym odcieniu różu, mimo że może się wydawać nieco szokujący.

- Miałem zamiar przypudrować sobie włosy na ten sam kolor - powiedział. - Niestety, lokaj zagroził, że natychmiast odejdzie. A jest stanowczo za dobry, żebym go lekkomyślnie stracił. Gdy wyglansuje mi buty mogę się w nich przejrzeć.

- Lubisz to, co?

- Bystra jesteś, dziewczyno - powiedział. - Zawsze udaje ci się odwrócić uwagę, gdy zaczynasz schlebiać mojej próżności. Nie podoba mi się to, w jaki sposób on na ciebie patrzy, Samantho. Czy Carew ma zamiar to tolerować?

- Pojutrze jedziemy do domu - powiedziała.

- Uciekacie?

- Jak śmiesz, Francis! - wybuchnęła.

- Przepraszam, Sam. Naprawdę przepraszam. To nie moja sprawa.

- Nie - przyznała. - A jak mógłbyś zrobić sobie włosy na różowo, skoro mają taki ciemny odcień brązu?

Zachichotał.

- Wystarczyłoby parę ton pudru. Szkoda, że nie urodziliśmy się trochę dawniej. Na Jowisza, ludzie sprzed kilku dziesiątków lat to dopiero umieli się ubrać. Ech! - Zadrzał teatralnie, omal nie myląc przy tym kroku.

Samantha parsknęła śmiechem.

- Prawie ci uwierzyłam - powiedziała. - Co za wstyd! Spojrzał na nią wydymając wargi, potem odrzucił głowę do tyłu i również parsknął śmiechem.

- Różowe włosy - dziwił się. - I ty prawie mi uwierzyłaś. Och, Sam, Sam.

Wieczór zdawał się ciągnąć bez końca. Może gdyby Hartley nie nagryzmolił swojego imienia w jej karnecie, byłaby cierpliwsza. Ale tak za każdym razem, gdy spoglądała na jego litery, które można byłoby nazwać różnie, tylko nie pięknymi, budziła się w niej tęsknota do ostatniej godziny przed kolacją. Bardzo czekała na wspólny spacer i posiłek, zupełnie jakby była młodą dziewczyną, planującą spotkanie ze swym pierwszym zalotnikiem. Tymczasem Hartley od ponad miesiąca był jej mężem. I niewątpliwie nosiła jego dziecko, jako że w spodziewanym czasie nie miała żadnego krwawienia.

Nie czekała, aż rozpocznie się ostatni taniec przed przerwą. Gdy tylko pan Carruthers sprowadził ją z parkietu po kadrylu, przeprosiła towarzystwo i z balkonu szybko zeszła po schodach do ogrodu. Nikogo tam nie było, mimo że ogród tonął w świetle. Przypuszczalnie wszyscy mieli ochotę jeszcze potańczyć i wyjść na dwór potem, zanim znowu zaczną grać muzyka.

Hartleya jeszcze nie było. Samantha uśmiechnęła się radośnie. Postanowiła zacząć od znalezienia ustronnego miejsca, w które mogłaby go zwabić, gdy tylko ukaże się na schodach. Powita go otwarciem ramion i poprosi, żeby ją pocałował. Czy Hartley zauważy, o co chodzi? Czy będzie wiedział, że żona chce zatrzeć dawne wspomnienie i zastąpić je nowym? Czy zrozumie, że tym razem jej słowa płyną z serca, że nie wywołał ich nagły, niespodziewany przypływ uczuć?

Pośrodku ogrodu była mała kamienna fontanna. Woda tryskała w górę z ust cherubinka, obok zaś rosła wierzba, zasłaniająca część basenu. Miejsce było wprost wymarzone. Samantha ukryła się w cieniu zwisających gałęzi i odwróciła do schodów, akurat dobrze stamtąd widocznych.

Ale już Hartleya nie zobaczyła. Widocznie zszedł ze schodów w czasie, gdy szła w stronę swej kryjówki. Pojawił się tuż za jej plecami. Obróciła się z uśmiechem i figlarnym błyskiem w oczach. Uniosła ramiona.

- O takiej zachęce marzyłem od dawna - powiedział ochryple głosem, w którym

rozbawienie mieszało się z pożądaniem. - I miałem dość cierpliwości, by się na nią doczekać.

Uśmiech zamarł jej na ustach. Cofnęła się o krok, ale zatrzymał ją murek fontanny.

- Niech pan sobie idzie - powiedziała. - Niech pan idzie.

- Chyba już czas, żebyś przestała się przed tym bronić, Samantha - odparł Lionel. - Przecież od początku tylko o mnie ci chodzi. Wyszłaś za męża za Hartleya, bo bałaś się swych uczuć do mnie. Ale najwyraźniej po miesiącu małżeństwa śmiertelnie się znudziłaś. Słaby z niego mężczyzna, co? Nie sądzę, by był w stanie zaspokoić twoją namiętność. Do tego potrzebujesz kogoś takiego, jak ja.

Nie była w stanie odchylić się dostatecznie, by uniknąć jego palców, które zaczęły głaskać ją po policzku.

- Odejdź!

- Po tym, jak mnie tu przywiodłaś? - Zaśmiał się cicho. - W takim samym ogrodzie pocałowałem cię pierwszy raz. Już czas, Samantha, żebyśmy to powtórzyli.

- Zwymiotuję, jeśli podejdziesz bliżej - zagroziła. Nie przejął się tym specjalnie.

- Wiesz, Samantha, ty i Hartley jesteście godni siebie. Jeśli pamięć mnie nie myli, sześć lat temu też brakowało ci odwagi, żeby wyciągnąć rękę po to, czego chciałaś. Ale muszę skosztować tego, czym od miesiąca raczysz mojego kuzyna.

Zaczął ją przypierać do murka fontanny. Nie mogła już się cofnąć ani odrobinę dalej. Kipiała z wściekłości. Głupia była jej groźba. Teoretycznie mogłaby ulec atakowi nudności i zabrudzić Lionela od stóp do głów, należałoby mu się, ale trudno byłoby jej to zrobić na zawołanie. Nie zamierzała jednak pozwolić, by taki gad bez walki dostał pocałunek.

Raptownie poderwała kolano, zanim Lionel przysunął się dostatecznie, by zablokować cios. Trafiała. Bolesnie charknął, całkowicie zaskoczony, i zgiął się w pół. Jego twarz stanowiła w tej chwili bardzo zachęcający cel do ataku.

- To było za Hartleya - powiedziała, uskrzydłona sukcesem. - A to za Jenny. - Uderzyła go w twarz tak ostro, że sama omal nie krzyknęła z bólu. Ale jeszcze nie skończyła. - A to za mnie. - Wymierzyła mu policzek z drugiej strony, aż klasnęło. - No, to czego jeszcze chciałaś skosztować?

- Myślę, że moja żona wyraża się bardzo jasno, Lionel - odezwał się głos z mroku.

Lionel był za bardzo zajęty swym bólem, by odpowiedzieć. Samantha odwróciła głowę. Chwila uniesienia mijała równie szybko, jak nadeszła.

- Nie umówiłam się tu z nim na spotkanie - powiedziała. - Umówiłam się z tobą, Hartley.

- Wiem - odrzekł.

- Potrzebujesz pomocy, Carew? - zabrzmiał gdzieś w pobliżu jeszcze jeden głos. Oboje odwrócili się i zobaczyli lorda Francis Knellera.

- Zauważyłem, że wyszedł za Samanthą, to znaczy za lady Carew - powiedział Francis. - Pomyślałem, że może jej się przydać moja pomoc.

- Kneller, zechciej, proszę, odprowadzić ją z powrotem na salę - powiedział markiz.

- Nie, Hartley - zaprotestowała natychmiast. - Weź mnie do domu. Chcę zaraz jechać do domu.

- Służę, milady. - Francis podał jej ramię, zupełnie jakby nie wyraziła żadnego życzenia.

- Idź z nim, Samantho - powiedział Hartley.

Co on zamierza? Lionel powoli się prostował. Pewnie nie zrobiła mu wielkiej krzywdy. Bała się, że Lionel rozerwie Hartleya na strzępy. Otworzyła usta, żeby zgłosić sprzeciw. Ale tylko zgrzytnęła zębami. Poznała ten ton głosu Hartleya. Przypuszczała, że od czasu do czasu będzie miała okazję go słyszeć, i ich dzieci również. Był to znak, że należy usłuchać bez dyskusji. Nie mogła zresztą próbować dyskusji przy świadkach. Za nic nie upokorzyłaby Hartleya w ten sposób.

Przyjęła ramię Francisca, który poprowadził ją z powrotem w stronę sali balowej. Uświadomiła sobie, że słyszy muzykę. Trwał ostatni walc przed kolacją. Bal toczył się całkiem normalnie. Wyglądało na to, że nikt poza nimi nie zszedł do ogrodu.

- Co się dzieje, Francis? - spytała. - On chyba nie robi nic głupiego, prawda?

- Boże, Samantho, mam nadzieję, że nie. Była to niejasna odpowiedź.

- Uśmiechnij się, Samantho - szepnął wreszcie Francis. - Zaraz wejdziemy między ludzi.

Niespodziewanie zaczęła szczekać zębami. Dłonie ją piekły. Hartley był tam w ogrodzie, Lionel właśnie chciał go zamordować.

Uśmiechnęła się.

No, no, Hartley. - Lionel oparł się ramieniem o murek fontanny, a dłoń zacisnął w pięść, usiłując zapanować nad bólem. - Grasz bohatera. To zaiste godne podziwu. Nie wątpię, że wywarłeś wielkie wrażenie na Samancie i Knellerze. Chcesz mi cisnąć rękawiczkę w twarz? Czy wolisz jej nie zdejmować, żeby nie obnażyła twojego kalectwa?

- Spotkamy się jutro przed południem, o jedenastej w klubie Jacksona - powiedział cicho markiz. - Bądź punktualny, Lionelu. I przygotowany do walki. Do utraty przytomności.

Lionel przyglądał mu się przez kilka chwil z niedowierzaniem, potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Na Boga, Hartley - powiedział, gdy w końcu przewycięzył rozbawienie. - Mam nadzieję, że zaprosisz liczną widownię. Ludzie rozerwą się lepiej niż na publicznej egzekucji. Tylko ktoś będzie musiał potem przy - dźwigać do Samanthy furę świeżego mięsa.

- Może tak, a może nie - odparł markiz. - Przyjdź z sekundantem, chociaż przypuszczam, że Jackson będzie chciał osobiście ustalić reguły i dopilnować, czy się ich trzymamy. Tak byłoby nawet lepiej. Inaczej mógłbym cię zabić.

Tymi słowami wywołał u Lionela kolejny ryk śmiechu.

- Lepiej zastanów się do rana, Hartley - poradził, wciąż chichocząc. - Póki jeszcze nie

doszedłeś do punktu, z którego nie możesz się wycofać. Nie będę miał ci tego za złe. Zachowam dla ciebie tyle samo szacunku, ile zawsze miałem. Lepiej wróć na salę, powiedz Samancie i Knellerowi, że pogroziłeś mi palcem i ostro mnie skrzyczałeś. Powiedz im też, że zostawiłeś mnie tonącego we łzach od wyrzutów sumienia z powodu pocałunku, który chciałem skraść twojej żonie. Jutro możesz wynieść się cichcem do bezpiecznego schronienia w Highmoor i żyć tam długo i szczęśliwie. Nie pojedę za tobą... ani za Samanthą. Sądziłem, że będzie zabawnie ożywić dawne uczucia, i nie pomyliłem się. Bawiłem się świetnie. Ale Samantha mnie znudziła. Oddaję ci ją, Hartley, mój chłopcze. Więc bądź grzeczny i zmykaj.

Markiz skłonił głowę.

- Dobranoc, Lionelu - powiedział z kurtuazją. - Zobaczymy się jutro przed południem. Dokładnie o jedenastej. - Odwrócił się i poszedł z powrotem do sali balowej. Gonił go śmiech Lionela.

Okrażył salę najszybciej, jak umiał. O dziwo, trwał jeszcze walc poprzedzający kolację. Hartley przeszedł do sali gry w karty. Znalazł tam kibicującego księcia Bridgwater. W milczeniu zaniósł dziękczynne modły za to, że przyjaciel akurat nie tańczy, choć robił to przez większą część wieczoru.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział, odciągając księcia na bok.

Bridgwater uśmiechnął się szeroko.

- Myślałem, że znikasz w ogrodzie, bo wybierasz się na sekretną schadzkę z lady Carew.

- Potrzebuję na jutro sekundanta - powiedział markiz. - Wyzwałem na pojedynek Rushforda. Walka będzie w klubie Jacksona, do utraty przytomności, jeśli Jackson się na to zgodzi. Będziesz mi sekundował?

Przyjaciel wytrzeszczył oczy.

- Nadskakiwał Samancie w ogrodzie - powiedział markiz. - Dała mu dobrą szkołę, ale mnie to nie wystarcza.

- To nieprawdopodobne - powiedział cicho książe. - Naturalnie, jutro możesz na mnie liczyć, Hartley.

- I na mnie. - Markiz niezbyt jasno uświadomił sobie, że do sali wszedł lord Francis Kneller i przystanął w pewnym oddaleniu. - Ja też będę ci sekundował, Carew, jeśli pozwolisz.

- Dziękuję. - Hartley skinął mu głową. - Gdzie jest Samantha?

- Tańczy ze Stebbinsem - powiedział Francis. - Wziął ją na parkiet, nie dbając o to, że taniec już się zaczął, a on po wcześniejszych wyczynach dyszy i jest czerwony jak rak.

- Mój wuj nigdy nie umie się oprzeć sile muzyki. Nogi same go niosą - powiedział książe. - Szczególnie gdy znajdzie urodziwą partnerkę.

- Samantha uśmiecha się, tryska wigorem i w ogóle zachowuje się jak doświadczony w boju

żołnierz. O której się umówiłeś, Carew?

- O jedenastej. Przepraszam was teraz, ale chcę wejść na koniec walca na salę. Zabiorę Samanthę do domu. Miała ciężki wieczór.

Dwaj przyjaciele, jeden markiza, drugi Samanthy, przyjrzeni się, jak Carew utykając odchodzi. Wymienili spojrzenia.

- Będzie masakra - powiedział Francis. - Ale nie miał wyboru.

- Nie jestem taki pewien - stwierdził książę, marszcząc czoło. - Mam na myśli masakrę. Naturalnie Hartley przegra, ale może nie tak bardzo, jak nam się zdaje. Od kilku lat bierze prywatne lekcje u Jacksona. A Jackson nie traciłby czasu bez powodu, nie sądzi pan? Nie mam pojęcia, co ci dwaj mają do siebie, ale wygląda na to, że jutro się dowiemy.

- Od jutra będę miał dla niego wiele szacunku - zapowiedział Francis. - Bez względu na to, jak upokarzający będzie wynik. Muszę wyznać, że miałem go za mięczaka. Tamten sukinsyn łązi za lady Carew, odkąd wrócił do Anglii.

- Hartley nie jest mięczakiem, Kneller - powiedział książę. - Ma swoją godność i nie potrzebuje wciąż tego okazywać, biorąc udział w awanturach. Tyle że teraz ma też żonę, którą kocha. To nie jest człowiek, który stałby z boku i patrzył, jak ktoś ją obraża.

- To dobrze - powiedział Francis. - Gdyby nie wyzwał Rushforda, zrobiłbym to za niego. A to nie wyglądałoby najlepiej, prawda?

- To byłoby bardzo nierozsądne, przyjacielu - stwierdził książę. Uniósł brew. - Aczkolwiek jestem pewien, że jeśli rozejrzy się pan dostatecznie uważnie, to dostrzeże pan równie uroczą damę, która z radością przyjmie pańską galanterię, poświęcenie i gotowość śpieszenia w jej obronie.

- Na Jowisza - powiedział Francis. - Zdaje mi się, że pan mnie ostrzega, książę.

- Ależ przyjacielu... - Książę uśmiechnął się, poprawiając fałdy mankietów. - Gdzieżby coś takiego mogło mi przyjść do głowy? Ja tylko delikatnie daję panu do zrozumienia, żeby nie robił pan z siebie, no, powiedzmy, osła. Samantha jest bardzo miła, ale przecież wiele dam stanowi ozdobę naszych sal balowych i salonów. Wystarczy zadać sobie trochę trudu i popatrzeć. Ech, zgłodniałem. Może uprzedzimy innych w natarciu na salę jadalną?

- Prowadź, książę - zgodził się Francis, strzepując niewidoczny pyłek z okrytego różowym materiałem ramienia.

Hartley? - Samantha pochyliła się nad pustym talerzem, na którym jeszcze niedawno miała śniadanie, i położyła dłoń płasko na stole, niedaleko dłoni męża.

Hartley przeglądał poranną gazetę. Zagadnięty odłożył ją, podniósł głowę i uśmiechnął się do Samanthy.

- Hartley - powiedziała, przybierając najbardziej przymilny wyraz twarzy, na jaki ją było stać, i dopasowując odpowiedni ton głosu. - Wiesz, tak sobie pomyślałam... Kufry mam prawie

spakowane, twoje też są gotowe. Jest ładna pogoda. Czy musimy marnować jeszcze jeden dzień? Czy nie moglibyśmy wyjechać do domu dziś rano?

Chciała znaleźć się jak najdalej od Londynu. Nie wydawało jej się, by miała kiedykolwiek ochotę tu wrócić, chociaż zdawała sobie sprawę, że to uczucie z czasem może jej minąć. Teraz chciała jednak znaleźć się w domu, z powrotem w tym cudownym miejscu, gdzie wszystko się zaczęło: romans, który wyrósł z przyjaźni. Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała na to czekać jeszcze jeden dzień.

Hartley przykrył jej rękę prawą dłonią, bez rękawiczki. Nazajutrz po tym, jak Samantha pierwszy raz zrobiła mu masaż, poprosiła go, żeby nie nosił rękawiczki w domu. Zapewniła, że nie ma takiej potrzeby. Ujęła jego okaleczoną dłoń, przytuliła sobie do policzka, a potem całowała. Od tej pory zajmowała się nią codziennie.

- Jeden dzień musimy jeszcze poczekać - odparł. - Mam kilka spraw do załatwienia. Nie martw się, kochanie, jutro w końcu nadejdzie. Już niedługo będziemy mieli dla siebie Highmoor i marzenia o lecie.

- Czy nikt nie może załatwić tych spraw za ciebie? - spytała z westchnieniem.

- Obawiam się, że nie. - Poklepał ją po dłoni. - Zresztą na pewno chcesz się pożegnać z lady Brill.

- Zdaje się, że przez ostatni miesiąc żegnam się z nią prawie bez przerwy.

- Biedna Samantha. - Uśmiechnął się do niej. - Weź lady Brill i zróbcie zakupy. Kup jej coś ładnego i sobie też, a rachunki każ przesłać mnie. Lady Thornhill narzeka, że w Yorkshire nie można kupić nic sztywnego i modnego. Nawet do mnie dotarły te narzekania.

- Pożałujesz tego pomysłu - zagroziła. - Wydam majątek.

Zachichotał i wstał, po czym podał jej rękę.

- Muszę iść - powiedział. - Mam spotkanie, na które nie mogę się spóźnić.

Skrzywiła się.

- I w taki to sposób żonie stanowczo pokazano jej miejsce. Nadaje się tylko do tego, żeby wysłać ją po jakieś błahostki do sklepu.

Znów zachichotał.

- Jutro masz cały dzień, żeby na mnie utyskiwać - powiedział. - W powozie będę wdzięcznym słuchaczem. Bo teraz naprawdę muszę iść.

Ech, ci mężczyźni i ich tajemnicze „spotkania”, pomyślała w kilka minut później, gdy została jedynie w towarzystwie pokojówki, przygotowując się do wizyty u ciotki. Hartley prawdopodobnie umówił się na lunch u White'a z księciem Bridgwater i lordem Gersonem, i to było dla niego ważniejsze niż wcześniejszy wyjazd do domu. I wysłuchanie przymilnych próśb żony.

Prawdę mówiąc, nie miała ochoty iść do miasta. Bała się natknąć na Lionela. Naturalnie nie zamierzała z tego powodu zamykać się w czterech ścianach. Z dumą myślała o tym, jak potraktowała go poprzedniego wieczoru. I przeżyła nieopisaną ulgę, gdy zobaczyła potem, że Hartleyowi nic się nie stało. Spodziewała się w najlepszym razie złamanego nosa i podbitych oczu.

Hartley bardzo powściągliwie udzielał jej informacji o tym, co stało się w ogrodzie, gdy Francis zabrał ją z miejsca, w którym odniosła swój triumf. Obiecał tylko, że nigdy więcej nie będzie musiała się kłopotać nadskakiwaniem Lionela.

Nie spytał jej, czy w końcu doszła do ładu ze swymi uczuciami wobec Lionela, chociaż prawdę mówiąc spodziewała się takiego pytania. Może po prostu jej zachowanie w ogrodzie było bardziej wymowne niż słowa.

Nie przyszedł też do niej do łóżka ostatniej nocy, czym sprawił jej wielki zawód. Zdarzyło się to pierwszy raz od ślubu. Samantha uroniła więc kilka łez z żalu nad sobą i ze złości. Wbrew swoim słowom Hartley musiał jednak być zdania, że wyszła do ogrodu na spotkanie z Lionelem. Tylko dlaczego nie powiedział jej tego wprost? Dręczyła się, aż w końcu zrobiła rzecz nie do pomyślenia. Sama poszła do jego pokoju, w którym nigdy przedtem nawet nie postawiła stopy. Stała przy łóżku Hartleya, przestępując z nogi na nogę i pochrząkując, aż w końcu się obudził. Zwyczajnie spał!

- Co jest? - spytał siadając na łóżku.

- Wiesz, Hartley, ja tam czekałam na ciebie - powiedziała znacznie pokorniej niż zamierzała.

- Szukałam ustronnego miejsca, żebyś mógł mnie pocałować.

- Och, wiem, kochanie - powiedział. Potem wyciągnął do niej ręce i przeniósłszy ją nad sobą, położył na łóżku. Zdawało się, że wcale nie ma niedowładu w prawej ręce. Okrył ją kocami. Jego łóżko było miękkie i ciepłe. - Nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

- Więc dlaczego...? - spytała.

- Myślałem, że będziesz tak samo zmęczona jak ja - powiedział. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak zmartwisz się tym, że nie przyszedłem.

- To nie... - zaczęła, ale uciszył ją pocałunkiem. Tej nocy się z nią nie kochał. Nie miało to jednak znaczenia. Zasnęła w okamgnieniu.

No dobrze, pomyślała, teraz wyjdę do miasta. Gdyby została w domu, dzień ciągnąłby się niemiłosiernie. Postanowiła więc skorzystać z sugestii męża i wziąć ciotkę Aggy na zakupy. Uśmiechnęła się i spojrzała w oczy lustrzanemu odbiciu pokojówki. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech. Samantha naprawdę była zdecydowana wydać majątek. Nigdy nie zachowywała się rozrzutnie, tego dnia postanowiła jednak uczynić wyjątek. Straszna będzie jej kara.

- Nie, poproszę słomkowy kapelusik - powiedziała widząc, że pokojówka podaje jej znacznie elegantsze i bardziej stonowane nakrycie głowy.



Ten dzień zamierzała spędzić wesoło. Trzeba się nacieszyć ostatnim dniem w Londynie. Ostatnim, może nawet na bardzo długo. W przyszłym roku o tej porze będzie zajmowała się dzieckiem, nie zgodzi się na żadne mamki, nawet gdyby Hartley używał swego autorytatywnego tonu. A za dwa lata... hm, była pewna, że pokój dziecięcy w Highmoor jest o wiele za duży dla jednego dziecka. Pewnie za duży nawet dla dwójki dzieci.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Patrzył w ziemię, usiłując odgrodzić się i od widoku, i od dochodzących go odgłosów. Musiał się skoncentrować. Nie było to łatwe. W tej sali treningowej klubu bokserskiego Jacksona tłoczyli się rozemocjonowani kibice. Hartley nikomu nie powiedział o walce, a Bridgwater i Kneller zapewnili go, że również tego nie zrobili. Naturalnie jednak Lionel nie miał powodu, żeby milczeć, przeciwnie, w jego interesie było nadanie pojedynkowi jak największego rozgłosu.

Bosy i z obnażonym torsem wyglądał dość żałośnie. Wiedział, że nawet jeśli nie brać pod uwagę jego kalectwa, i tak budową ciała znacznie ustępuje Lionelowi. Jego przeciwnik prężył się w rogu, wysoki, muskularny krótko mówiąc piękny, mając obok siebie wicehrabiego Birchley za sekundanta. Przesyłał szerokie uśmiechy wszystkim wchodzącym i głośno witał każdego po kolei.

- Dobrze, że jesteś punktualny - zawołał do jakiegoś przybysza. - Rozrywka nie potrwa długo. Ale w każdym razie dłużej niż egzekucja.

Najwyraźniej spodobało mu się to porównanie, wymyślone poprzedniego wieczoru, więc uznał, że warto je powtórzyć.

Jackson przystał na walkę kończącą się utratą przytomności jednego z przeciwników, choć miał poważne opory. Normalnie podczas sparringów w jego klubie obowiązywały bardzo ściśle i bardzo dżentelmeńskie reguły.

Właśnie skończył wyjaśniać przeciwnikom, ich sekundantom i wszystkim, kto tylko chciał słuchać, bo w sali zapadła śmiertelna cisza, że odbędzie się nie ograniczona liczba rund, z których każda trwa trzy minuty. Po końcu rundy ciosy były zabronione, podobnie jak przed ogłoszeniem początku kolejnej. Wszystkie ciosy miały być zadawane powyżej pasa.

- Zamknij się wreszcie, Jackson! - wykrzyknął ktoś z głębi sali. - Twoje pouczenia będą dłuższe od walki.

Dżentelmen Jackson zmierzył winowajcę groźnym spojrzeniem i poprosił o opuszczenie sali. Było to świadectwo władzy, jaką miał w czterech ścianach swego klubu, bo pan Smithers dość potulnie wymknął się za drzwi i już nie wrócił.

Zbliżał się początek pierwszej rundy. Markiz Carew starał się skoncentrować, żeby pamiętać o wszystkim, czego nauczył się przez trzy lata, choć nigdy nie przypuszczał, że umiejętności te przydadzą mu się w walce, która wcale nie była sparringiem.

- Niech pan się broni prawą i atakuje lewą - poradził mu dość stanowczo lord Francis Kneller. - I niech pan chroni głowę.

- Będziesz musiał go ściągnąć do półdystansu, Hartley - powiedział książe Bridgwater. - Ma większy zasięg rąk od ciebie i solidne uderzenie. Ale pilnuj głowy. Nie wysuwaj podbródka do przodu.

- Niech mu pan dołoży - zapalił się lord Francis. - Proszę pomyśleć o żonie.

Kiepska rada. Bardzo kiepska. Hartley usiłował się skupić na samej walce. Na walce, której zapewne nie miał prawa wygrać. Ale nie wolno mu było tanio sprzedawać skóry.

- Runda pierwsza - oznajmił Jackson. - Boks, panowie.

Markiz podniósł wzrok i wyszedł na środek ringu, witany pomrukiem widzów.

- Dawid i lew - błysnął ktoś dowcipem.

- Raczej Dawid i Goliat - zawołał kto inny z drugiej strony.

Lionel szczerzył zęby w uśmiechu, tańczył w ringu i wymachiwał pięściami w bardzo niesportowy sposób. W ogóle nie przejmował się gardą.

- Wyciągaj procę z za pasa, Hartley - zakpił. - Zobaczymy, czy trafisz prosto między oczy.

W następnej chwili Lionel leżał na deskach, a kibice ryczeli, na poły zaskoczeni i rozbawieni. Potem rozległ się szmer niezadowolenia i okrzyki: „No, nie!” i „Hańba!”

Lionel gniewnie parsknął, podrywając się na kolana.

- Co jest, do kata! - zagrział.

- Dyskwalifikacja, Jackson! - krzyknął wicehrabia Birchley. - Rushford zwyciężył.

- Na Boga, Hartley, wspańiałe uderzenie, przyjacielu - stwierdził ksiązę.

Wrzawa jakby ucichła. - Nie słuchaliście, panowie - stwierdził krótko Jackson. - Reguła brzmiała, że nie wolno uderzać poniżej pasa. Cios trafił w podbródek. Nie było reguły, że wolno zadawać ciosy jedynie pięściami. Obecnie uderzenia stopą mieszczą się w ramach przepisów. Boks, panowie.

- Nie będę walczył z takim cholernym pokurczem - oświadczył pogardliwie Lionel.

Ponieważ wciąż jeszcze był na kolanach, markiz nie musiał się szczególnie wysilać, by wykonać powtórny zamach prawą nogą i poprawić cios w podbródek tak, że Lionel znowu poleciał na deski.

- To się poddaj, Rushford, póki jesteś przytomny - powiedział zimno. - Przed tyloma świadkami, ilu sprowadziłeś. Stracisz resztki honoru, które jeszcze ci zostały.

Lionel zerwał się na równe nogi i przyjął znacznie ostrożniejszą postawę niż poprzednio.

- Chodź tu, Carew - powiedział. - Jeśli jeden z nas może kopać, to drugi też. Chcesz walczyć nieczysto, proszę bardzo. Ale nie oczekuj ode mnie litości. Miałem zamiar oszczędzić...

Przerwało mu uderzenie podeszwą stopy, która wylądowała na jego ramieniu. Lionel zatoczył się do tyłu, choć tym razem udało mu się utrzymać równowagę.

Do końca tej rundy stało się jasne, że hrabia Rushford będzie musiał zrezygnować z użycia nóg. Raz próbował zastosować tę technikę, ale trafił w okolice krocza i dostał surowe ostrzeżenie od Jacksona. Znowu zaklął i wyraził się nieelegancko o pokurczach. Brakowało mu wielu godzin treningu, do tego nie potrafił spożytkować nogi równie skutecznie jak pięści. Natomiast markiz

potrafił bez trudu wykonać skręt ciała i wyrzucić stopę na wysokość głowy.

Przed rozpoczęciem walki poczyniono niewiele zakładów. Co za sens się zakładać, skoro wynik jest z góry przesądzony. Można było się spierać właściwie tylko o długość walki, mierzoną w sekundach. Przy końcu pierwszej rundy zrobił się ruch w interesie, a przy końcu drugiej kibice zakładali się jak szaleni, bo i runda była szalona.

Po czterech rundach markiz miał obolałe całe ciało, dotkliwie czuł wszystkie mięśnie, nawet te, o których istnieniu przedtem nie wiedział. Był na deskach dwa razy, a Lionel trzy, nie licząc dwóch razów z pierwszej rundy. Kilkakrotnie Lionelowi udało się chwycić za atakującą nogę i wytrącić Hartleya z równowagi bardzo bolesnym wykręcaniem stopy. Ale Jackson dał mu ostrzeżenie za przytrzymywanie, więc w czwartej rundzie nie mógł już tego robić.

Lord Francis wyciskał Hartleyowi nad twarzą i plecami gąbkę, nasączoną zimną wodą. Uczucie było wspaniałe. Tymczasem Bridgwater energicznie wachlował Hartleya ręcznikiem.

- Tak trzymaj - dopingował przyjaciela. - Pokaż mu, co potrafisz.

- Myśl o żonie, Carew - cicho powiedział lord Francis.

Zaczął więc myśleć. O niewinnej, żywiołowej osiem - nastolatce, która padła łupem cynicznej intrygi Lionela. O odtrąceniu Samantha przez Lionela i o poczuciu winy, które jej zostało i zatruwało życie przez następne sześć lat. O dwudziestoczteroletniej kobiecie lękającej się, że Lionel wciąż ma nad nią władzę, której nie będzie umiała się oprzeć. I o tym, jak zwróciła się ku niemu, Hartleyowi Wade, by przez resztę życia chronił ją od zgubnej namiętności. Pomyślał o ostatnim wieczorze, o tym, jak Samantha uderzyła Lionela, lecz nawet wtedy zwlekała z powiedzeniem mu prawdy prosto w oczy. Pomyślał jeszcze o żonie, która przyszła zasmucona do niego do sypialni myśląc, że teraz on ją odtrącił. A on chciał po prostu zachować energię na rano.

Wieczorem obiecał jej, że nigdy więcej nie będzie musiała lękać się Lionela. Był tylko jeden sposób, by tego dopiąć. Wiedział o tym i zdobył szacunek mężczyzn ze swojej sfery, nawet gdyby przyszło mu paść bez czucia w następnej rundzie. Miał zresztą wrażenie, że sam również nabrał do siebie szacunku. Wreszcie coś zrobił, przestał znosić przytyki Lionela, wyzwał go i stawił mu czoło jak mężczyzna mężczyźnie.

Ostatniego wieczoru obiecał Samancie, że Lionel już nie będzie jej napastował. Mógł tego dopiąć tylko w jeden sposób. Wiedział, że zyskał szacunek ludzi, nawet jeśli w następnej rundzie padnie na deski. Chyba również sam nabrał dla siebie szacunku, wreszcie zdobył się bowiem na wyzwanie Lionela i stanięcie z nim twarzą w twarz. Teraz jednak już mu to nie wystarczało. Chciał nie tylko nie sprzedać tanio swojej skóry. Chciał tę walkę wygrać.

Musiał ją wygrać. Nie wydawało mu się to już niemożliwe. Lionel siedział twarzą do niego w przeciwległym rogu i spoglądał nań jednym okiem, bo drugie, zapuchnięte, było ledwie widoczne. Ciężko dyszał. I wreszcie, przynajmniej raz, zawarł w spojrzeniu całkiem jawną

nienawiść.

- Czas zaczynać, panowie. Runda piąta - oznajmił Jackson. - Boks.

Łatwiej, naturalnie, było sobie powiedzieć, że trzeba wygrać, niż rzeczywiście wygrać. W dziewiątej rundzie markiz wreszcie wyczuł, że nie tylko może wygrać, ale i wygra. Lionel ślaniał się na nogach. Opuścił gardę, więc Hartley natychmiast skarcił go lewą ręką i poprawił prawą nogą. Jedno oko Lionela było widoczne już tylko przez cieniutką szparkę w opuchliznie. Drugie też było przymknięte. Nos sprawiał wrażenie złamanego.

Hartleyowi jednak kończyły się siły. Ciągnął tę walkę czystą siłą woli i determinacją. Pomagało mu też wyobrażenie Samantha, które raz po raz nasuwało mu się przed oczy.

W sali panowała teraz cisza, chociaż poza pechowym panem Smithersem chyba nikt z kibiców nie wyszedł.

- Myśl o niej, Carew. Myśl o niej - powtarzał uparcie lord Francis po dziewiątej rundzie, tak samo zresztą jak po ósmej i poprzednich. Wyciskał Hartleyowi nad piersią wodę z gąbki. - Myśl o niej, do diabła, i nie waz się mu popuścić.

Kneller kocha Samanthę, pomyślał ospale Hartley. Dobrze o tym wiedział. Ale Kneller był człowiekiem honoru. Należało wobec tego pomścić ją za nich obu.

- Musisz go załatwić w tej rundzie - powiedział książę, nie ustając w gorliwym wachlowaniu. - Kończysz się. W jedenastej padniesz. Dziesiąta runda jest twoja. Naprzód. Oprócz tych dwóch w narożniku naprzeciwno nie ma tu człowieka, który nie trzymałby za ciebie kciuków. Teraz, Hartley.

Potrzebował jeszcze dwóch i pół minuty. W końcu jednak Lionel zachwiał się na miękkich nogach, opuścił ramiona wzdłuż ciała i popatrzył w jego stronę z dziką nienawiścią, choć trudno było powiedzieć, czy naprawdę go widzi. Upadłby sam i stracił przytomność, jeszcze zanim dotknąłby desek. I nawet w tej chwili Hartleya kusiło, by okazać mu odrobinę wspaniałomyślności.

Nagle przypomniało mu się jednak, jak miał sześć lat. Ożyły potworny ból i wyobrażenie matki, nie mogącej znieść widoku cierpiącego dziecka. Potem zobaczył Samanthę, która prosi, by ją pocałował, i mówi mu, że go kocha. W tamtej chwili wierzyła w swoje słowa, bo przeraził ją Lionel, który znów pojawił się w jej życiu sześć lat po tym, jak doszczętnie je zatrał.

Hartley zebrał ostatki sił i uderzył prawą nogą. Ostatni cios, podobnie jak pierwszy, wylądował czysto na podbródku, odrzucił głowę przeciwnika do tyłu, a jego samego powalił. Lionel jeszcze jęknął i znieruchomiał.

I wtedy wybuchł zgiewk. Ogłuszający hałas. Ludzie mówili coś do niego, śmiali się, klepali go po plecach, zanim Bridge nie ryknął pełnym głosem, żeby zachowali odległość, a Kneller nie sklął ich, żeby się cofnęli i dali Carewowi odetchnąć. Zagroził nawet, że sam puści w ruch pięści i zrobi mu miejsce.

- Świetnie, chłopcze - pochwalił go Jackson, którego głos dobiegał z góry, ktoś bowiem posadził Hartleya w narożniku na stołku. - Czuję się w obowiązku powiedzieć, że jesteś chyba najzdolniejszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem. Gdybyś jeszcze pamiętał o tym, żeby wyżej trzymać prawą, to nie miałbyś teraz kotleta z twarzy. Ile razy ci o tym mówiłem? Ale cóż, są na świecie tacy ludzie, którzy sami się proszą o bicie.

Wicehrabia Birchley gromko wołał, żeby ktoś przyniósł wody i przez cały czas wachlował Lionela, który leżał na ringu brzuchem do ziemi. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

- Idź mu pomóc - powiedział Hartley do księcia, nie ryzykując wstania. Nogi miał jak z gumy. Zanim Bridgwater podniósł się z narożnika, przesłał Hartleyowi wymowne spojrzenie, którego ten jednak nie pochwycił.

Lionel wciąż leżał na deskach i pojękiwał, bo powoli odzyskiwał przytomność. Birchley ostrożnie zwilżył mu twarz gąbką, korzystając z tego, że księżę Bridgwater zastąpił go w wachlowaniu ręcznikiem twarzy leżącego. Tymczasem Hartley wreszcie wstał z pomocą lorda Knellera i sztywno wykuśtykał z sali. Musiał się przebrać i wrócić do domu.

Nie było mowy o utrzymaniu walki w tajemnicy przed Samantha, na co wcześniej miał nadzieję. Pomyślał o tym z prawdziwym żalem. Nie sądził, żeby zmyślona historyjka o zderzeniu z drzwiami zabrzmiała dla niej przekonująco. Trudno, może Samantha będzie zadowolona, że ją pomógł. Może nawet będzie z niego dumna.

Wydała naprawdę fortunę, a przynajmniej o wiele więcej, niż zdarzyło jej się kiedykolwiek wydać jednego dnia. Ani przez chwilę nie miała jednak wyrzutów sumienia. Gdyby Hartley zabrał ją do domu od razu, tak jak prosiła, nie przepuściłaby nawet pensa. Nie miał prawa narzekać. Zresztą Hartley nie był taki. Nie umiała sobie wyobrazić, by narzekał z jakiegokolwiek powodu.

Sam zresztą powiedział jej, żeby kupiła coś ładnego dla ciotki Aggy i dla siebie. Jako dobra żona naturalnie go usłuchała.

Ciotce kupiła misternie rzeźbiony wachlarz z kości słoniowej, śmiejąc się z jej protestów, że jest za stara na taki bibelot. Dołożyła do tego rękawiczki z kozłej skóry, bo przez całą wiosnę ciotka powtarzała, że musi sobie kupić nowe. Dla Hartleya wyszukała tabakierkę, chociaż nigdy nie widziała, żeby zażywał tabakę. Ale drobiazg był urokliwy i nie mogła mu się oprzeć, bo srebrne wieczko było wysadzone szafirami. Przyszło jej więc do głowy, że da mu spóźniony prezent ślubny, za który zresztą Hartley miał sam zapłacić. Będą mieli swoje „coś niebieskiego”, zamiast tamtego okropieństwa. Nawet nie spytała Hartleya, czy zatrzymał broszkę, czy oddał ją Lionelowi. Nie chciała tego wiedzieć.

Omów nie zapomniała o sobie, ale w porę wróciła jej pamięć, więc zdążyła jeszcze kupić parę jedwabnych pończoch i nowy kapelusik, tak obwieszony wstążkami i kwiatami, że sprawiała w nim wrażenie, jakby nie miała szyi. Ale był lekki jak piórko, wyglądał efektownie i bardzo...

ekstrawagancko, więc nie mogła go nie kupić, choć nie była pewna, czy odważy się włożyć go w Yorkshire. Potem wyobraziła sobie, jak będzie wyglądać w tym kapelusiku i z wielkim brzuchem, ale w ostatniej chwili stłumiła wybuch śmiechu, bo musiałaby się z niego tłumaczyć przed ciotką Aggy i modystką.

Wbrew sobie była bardzo zadowolona z ostatniego dnia w Londynie. Mimo protestów ciotki Aggy, że lunch poza domem jest ekstrawagancją, w dodatku niestosowną, bo nie towarzyszy im żaden dżentelmen, jakoś ciotkę na ten lunch namówiła. Po przekąsce Samantha spostrzegła na Oxford Street Francisa. Wesoło zamachała do niego ręką i uśmiechnęła się. Lord Kneller podszedł do nich szybkim krokiem.

- Witaj, Samantho. Dzień dobry, lady Brill - powiedział i zwrócił się znów do Samanthy: - Nie było cię w domu, kiedy przyjechał Carew?

- Teraz? - spytała. - To znaczy niedawno? Już wrócił? Myślałam, że ma jakąś sprawę na cały dzień.

Francis ujął ją za ramię i zniżył głos.

- Sądzę, że może cię potrzebować.

Ton jego głosu i wyraz twarzy wzbudziły w niej popłoch.

- Dlaczego? - spytała wystraszona. - Co się stało? Lionel? Czy...

- Tak.

Oczy Samanthy zaszły trwogą.

- Hartley wyzwał go wczoraj wieczorem? Czy on nie żyje? - Ale gdy chwyciła Francisa za rękaw, przypomniała sobie, że Hartley może jej potrzebować. Czy martwy człowiek mógłby jej potrzebować?

- Nie - odparł. - Ależ namotałem, niech to lichy porwie. Walka była bokserska, Samantho. U Jacksona. I twój mąż wygrał.

- Pańskie wyczucie sytuacji i subtelność pozostawiają trochę do życzenia, milordzie - powiedziała lady Brill, widząc, że Samantha uczepliła się oburącz rękawa Francisa. - Ona zaraz zemdleje. Niech pan pomoże jej wsiąść do powozu. Niezwłocznie odwiozę ją na Stanhope Gate. Powiedział pan, że Carew wygrał? Ale z kim, jeśli można spytać? I z jakiego powodu? Było, nie było, warto o tym posłuchać. Nie wątpię, że dziś wieczorem nikt nie będzie mówił o niczym innym. Wsiadaj, kochanie. Lord Francis ci pomoże.

Ulokowana w powozie Samantha dość wątle uśmiechnęła się do Francisa.

- Nie przepraszaj mnie, Francis - powiedziała. - Dziękuję ci. Inaczej mogłabym o tym nie usłyszeć i nie byłoby mnie w domu przez cały dzień. Och, Hartley. - Zaczęła gorączkowo szukać chusteczki w torebce.

- Ma parę sińców, Samantho, ale możesz powiedzieć mu ode mnie, że jest najszcześniejszym

człowiekiem w Anglii. I godnym ciebie bardziej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Do widzenia.

Zamknął drzwi powozu, zanim zdążyła dodać jakieś słowa do płaczliwego uśmiechu.

Hartley wziął kąpiel i zmienił ubranie, a lokaj, sprawiający wrażenie całkiem zadowolonego, natarł mu maścią poważniejsze obrażenia. Potem Hartley przekustykał na dół do biblioteki, gdzie usiadł przy kominku, w którym kazał napalić, mimo że na dworze było ciepło. Nie miał chyba w całym ciele ani jednego mięśnia, który by się głośno przeciwko niemu nie buntował. Jakimś cudem uniknął podbicia oczu, ale była to chyba jedyna część jego ciała, którą oszczędziły pięści Lionela.

Bardzo chciał, żeby Samantha wróciła i rozmasowała mu rękę. Chciał też nie musieć się jej pokazywać przez najbliższy tydzień.

Zwyciężył. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, ale euforia pęczniała w nim niczym balon. Zwyciężył. Wyrównał rachunki. Pomścił Samanthę, a przy okazji siebie. Pozwolił sobie na dumny uśmiech. Nigdy jeszcze nie przyszło mu do głowy, że uśmiech może zabołec.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem. Odwrócił się w porę, by dostrzec małą trąbę powietrzną, wpadającą do wnętrza. Żółte kwiaty na słomkowym kapelusiku gwałtownie podskakiwały. Ale właścicielka zerwała z głowy kapelusik i cisnęła go na bok, nie sprawdzwszy uprzednio, czy jest tam dla niego jakiegokolwiek lądowisko oprócz podłogi. Ktoś cicho zamknął drzwi od zewnątrz.

- Chętnie udusiłabym cię tymi rękami - powiedziała Samantha. - Nawet mi nie powiedziałaś, Hartley! Ładna mi sprawa do załatwienia! On mógł cię zabić! A ja wciąż jeszcze mogę to zrobić!

- Dobrze, że człowiek umiera tylko raz - stwierdził Hartley.

- Posłuchaj, Hartley... - Stała przed nim, ale nagle uklękła i położyła mu dłonie na kolanach. - Och, Hartley, jak wygląda twoja biedna twarz?! Po co to zrobiłeś? No, tak, wiem po co. Zrobiłeś to dla mnie. Nie trzeba było się porywać na takie szaleństwo. Ale dziękuję ci. Bardzo ci dziękuję. I bardzo cię kocham.

- Warto było, choćby dla usłyszenia tych słów - powiedział, ostrożnie się uśmiechając. - Częściowo zrobiłem to także dla siebie, Samantho.

- Czy dlatego, że obrażając mnie, Lionel obraził również ciebie? - spytała patrząc na jego pokancerowaną twarz.

Hartley pomyślał, że nigdy nie był przystojny, ale w tej chwili musi wyglądać wręcz groteskowo. Mimo to Samantha patrzyła na niego z wyrazem, w którym dostrzegł niemal podziw.

- Tak - potwierdził. - Ale również dlatego, Samantho. - Uniósł prawą rękę. - I z powodu mojej nogi. To się stało przez Lionela. To wcale nie był wypadek. Wtedy gdy spadłem z konia, jak miałem sześć lat, on mnie popchnął.

Oczy zalśniły jej łzami.



- Och, Hartley - szepnęła. - Mój biedny, kochany Hartley. Francis powiedział, że wygrałeś. Czyżby Lionel wyglądał gorzej niż ty?

- Znacznie - odrzekł. - Przez resztę życia będzie miał krzywy nos, założę się też, że co najmniej przez tydzień nie przejrzy na oczy.

- To wspaniale - powiedziała i nieoczekiwanie uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Bardzo się cieszę. Dobra robota, sir.

- Krwiozercza kobieta - powiedział.

- Wiesz, Hartley... - Nie odrywając od niego wzroku, oparła mu podbródek na kolanach. - Byłam okropnie głupia. Pojęłam to dopiero w ostatnich dniach, a dopiero wczoraj wieczorem i dzisiaj dotarło to do mnie zupełnie jasno. Źle rozumiałam znaczenie słowa. Zachichotał.

- To rzeczywiście głupie. Jakiego słowa?

- Chyba musi cię strasznie boleć. Czy w żadnym wypadku nie mogę usiąść ci na kolanach?

Był niesamowicie obolały. Czuł nawet lekki ucisk na kolana. Mimo to wyciągnął ręce do żony. Wtuliła się w niego i położyła mu głowę na ramieniu.

- Chodzi o słowo „sympatia” - wyjaśniła. - Nie wiedziałam, że to, co brałam za sympatię, jest w rzeczywistości miłością. Byłam bardzo głupia.

Poczuł się tak, jakby znów dostał cios w żołądek. Zaparło mu dech.

- Daj mi jakiś przykład - powiedział, narażając się na nowy ból, bo przytulił policzek do czubka jej głowy.

- Kiedy poznałam cię w Highmoor, poczułam do ciebie olbrzymią sympatię. Po każdym spotkaniu żyłam myślą o następnym. A kiedy musiałam wcześniej wyjechać z powodu ciotki Aggy, została po tobie straszliwa pustka. Uważałam cię za najlepszego przyjaciela i myślałam, że już nigdy nie doświadczę takiej przyjaźni. Londyn i sezon wydawały mi się nudne, bo nie mogłam ich dzielić z przyjacielem. A gdy cię znów zobaczyłam, byłam taka szczęśliwa, że omal nie pękłam z radości. Chciałam, żebyś mnie pocałował, i chciałam powiedzieć ci to, co powiedziałam ci później, i chciałam wyjść za ciebie za męż... tak wielką sympatię do ciebie czułam. I nigdy nie byłam taka szczęśliwa, jak przez trzy dni po ślubie. Byłam wprost upojona szczęściem. A potem chciałam umrzeć. Chciałam, żeby świat się skończył, bo myślałam, że straciłeś dla mnie sympatię.

- Och, ta miłość - powiedział.

- Czy dałam ci dość przykładów? - spytała. - Rozumiesz już, o co mi chodzi?

Przełknął ślinę i otarł policzek o jej włosy.

- Bo widzisz, ja te okropne przeżycia z pierwszego sezonu nazwałam miłością. Myślałam, że to właśnie jest miłość: potworna obsesja, nie ustające poczucie winy i... no, takie różne. Dlatego od tamtej pory sądziłam, że nie chcę mieć więcej nic wspólnego z miłością. Naturalnie widziałam Jenny z Gabrielem i innych ludzi razem, ale nie wierzyłam, że i ja tak mogę. Więc gdy cię

poznałam, prawdopodobnie bałam się nazwać uczucia prawdziwym imieniem. Myślałam, że wszystko się popsuje. Chciałam darzyć cię sympatią i chciałam, żebyś ty mnie darzył sympatią, żebyśmy mogli być razem szczęśliwi.

- Darzę cię wielką sympatią, najmilsza - powiedział.

- A ja cię kocham - odpowiedziała. - Rozumiesz? Powiedziałam to i wcale nie strześlił w nas piorun. Hartley, jesteś dla mnie wszystkim. Więcej niż wszystkim. Zawsze byłeś, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłam. Dzięki tobie w moim życiu z powrotem zaświeciło słońce.

Znowu przełknął ślinę, a potem nie zastanawiając się nad bólem, jaki to wywoła, pochylił głowę i pocałował ją w usta.

- Nie jest za późno? - spytała szeptem.

- Nigdy nie jest za późno - odparł. - Kocham cię. Westchnęła i podsunęła usta do następnego pocałunku.

Ale przerwała go po chwili i spojrzała na Hartleya z uśmiechem.

- Mam dla ciebie prezent - powiedziała. - Kupiłam go i kazałam ci wysłać rachunek. - Roześmiała się wesoło. - Nawet tego nie używasz. Ale było takie ładne, że nie potrafiłam się oprzeć. No, i jest niebieskie. Coś niebieskiego. Spóźniony prezent ślubny.

- Ja też mam dla ciebie podarek - powiedział. - To właśnie była sprawa, o której wspominałem przy śniadaniu. - Zachichotał. - Też coś niebieskiego. Żeby pomóc ci zapomnieć o czymś innym. - Wsunął swój prezent do kieszeni, zanim zszedł na dół. Sięgnął po niego teraz.

- Ojej - powiedziała, patrząc na pierścionek z szafirami. - Ojej, Hartley, jaki śliczny. Dziękuję ci, kochanie.

- Wyciągnęła rękę, a on nałożył jej pierścionek na palec obok palca z obrączką. Samantha odsunęła rękę dalej od oczu i rozczapierzyła palce dla lepszego efektu.

Hartley uśmiechnął się nad tabakierką.

- Czy powinienem wpaść w nałóg? - zainteresował się. - Chcesz, żebym bez przerwy na ciebie kichał?

- Nie podoba ci się? - spytała z wahaniem. - Głupi miałam pomysł, prawda?

- Będę nosił ją na sercu do końca życia - powiedział.

- Ma dla mnie równie wielką wartość jak pewne zielone pióro, które kiedyś wygrałem.

Dziękuję ci, Samantho.

- Czy chcesz jeszcze jeden prezent? - spytała. - Nie jest niebieski ani zielony i nie mogę ci go włożyć do rąk... jeszcze nie. Ale myślę, że ci się spodoba. - Patrzyła na niego lśnącymi oczami.

- Co takiego? - Uśmiechnął się i z powrotem odchylił głowę na oparcie krzesła.

- Myślę... - zaczęła. - Właściwie jestem prawie pewna. Będziemy mieli dziecko, Hartley.

Ucieszył się, że znów ma głowę na oparciu. Na chwilę zamknął oczy.

- Och, kochanie - powiedział.

- Myślę, że to musi być to. Nawet czuję, nie tylko myślę. Chcę jechać do domu, do Highmoor. Dziecko urodzi się w przyszłym roku, więc przez całą wiosnę i lato będę się nim zajmować, a potem, zanim przyjdzie ci do głowy przywieźć mnie do Londynu na kolejny głupi sezon, postaramy się o następne, więc znowu nie będzie można. Takie w każdym razie mam plany.

- Uśmiechała się do niego czule, choć nieco figlarnie. - Czy nie sądzisz, że są cudowne?

Uśmiechnął się do niej i prawą dłonią pogłaskał jej policzek.

- Sądzę, że ty jesteś cudowna - powiedział. - Jeszcze nie mogę uwierzyć, że to prawda. Mam zostać ojcem? Czyżbym naprawdę był taki zręczny?

- Jesteś, jesteś. A pamiętasz, Hartley, jak mówiłeś mi, że można się jeszcze więcej nauczyć? Że ty będziesz uczył mnie, a ja ciebie?

- Tak - powiedział.

- Nie wiem, czego ja mogłabym nauczyć ciebie - zastanowiła się - ale czy ty pomożesz mi w nauce? - Jej oczy były pełne rozmarzenia i miłości. - I w uczeniu? Chcę wszystkiego, co łączy się z tobą. I chcę ci dać tyle szczęścia, ile tylko można.

Znów położył sobie głowę Samantha na ramieniu i przytulił policzek do jej włosów.

- Zaczynamy dziś wieczorem, kochanie - powiedział. - Dalszy ciąg będzie trwał przez całe życie.

Przez kilka chwil panowała miła cisza.

- A co ci się nie podoba w tym popołudniu? - spytała. Nie jest złe, chociaż bolą mnie wszystkie kości, wszystkie mięśnie i wszystko, co jest porozbijane. A poza tym wszystko jest w najlepszym porządku, pomyślał.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, kochanie - powiedział. - Idziemy do ciebie czy do mnie?

- Do ciebie - wybrała, zrywając się na równe nogi i chwytając go za rękę. - Dla odmiany. Twoje łóżko wydało mi się wczoraj niezwykle miękkie, chociaż tylko w nim spaliśmy.

- No, dobrze. - Jakoś się podniósł z krzesła i podał Samancie lewe ramię. - Będziemy musieli naprawić to niedopatrzenie w ciągu najbliższej godziny. Nie możemy dopuścić, żeby ktoś kiedyś mi powiedział, że w moim własnym łóżku z moją własną żoną tylko spałem.

Zachichotała wesoło i wsparła się na ramieniu Hartleya, zupełnie jakby prowadził ją na parkiet.

- To z pewnością będzie lepsze zajęcie niż zakupy - powiedziała. - Chwała niebiosom, że spotkałam Francisa. O, właśnie, mam ci powiedzieć w jego imieniu, że jesteś najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Święte słowa - przyznał otwierając drzwi. Przeprowadził ją przez sień do schodów i na górę.

- A ja - stwierdziła Samantha - jestem, naturalnie, najszczęśliwszą kobietą w całym wszechświecie. Kocham i mam za małżonka najdroższego przyjaciela. Kogoś bardzo szczególnego.